



Joyce
Carol
Oates

TATULO

Joyce Carol Oates

TATULO

Przełożył
Łukasz Witczak

*Warrenowi Frazierowi
i Mosesowi Cardonie*

CZEŚĆ PIERWSZA

KWIECIEŃ – WRZESIEŃ 2006

1

YPSILANTI, MICHIGAN

11 kwietnia 2006

– Daj mi rączkę.

Chłopiec posłusznie chwycił dłoń mamy. Działo się to może na pięć minut przed porwaniem.

– Widzisz gdzieś nasze autko? Pamiętasz, gdzie zaparkowaliśmy?

To była taka ich gra. Robbie miał pamiętać, w którym miejscu zostawili samochód. Dinah ćwiczyła w ten sposób jego pamięć i spostrzegawczość.

Nissan taty, szarozielony metalik, nie rzucał się w oczy.

Robbie raczej nie miał problemów z koncentracją, chyba że był zmęczony, tak jak teraz.

– Przed którym sklepem? Home Depot czy Kresge? Pamiętasz?

Zawęziła wybór do dwóch, żeby ułatwić mu zadanie. Umysł pięciolatka nie radził sobie jeszcze z ogromem centrum handlowego.

Mały patrzył przed siebie wytężonym wzrokiem. Traktował swój obowiązek bardzo poważnie.

Zaczęła się martwić, że może przesadziła z tą zabawą i niepotrzebnie go zestresowała.

– Mamo, auto się zgubiło? Jak wrócimy do domu?

– Cierpliwości, skarbie! – odparła wesoło. – Nie zgubiło się, zaufaj mi.

Parking, który nieraz przypominał morze lśniących pojazdów, tamtego dnia świecił pustkami. Był środek tygodnia, zaczynało się ściemniać. Lampy na wysokich słupach jeszcze się nie zapaliły.

Oślepiająco jasne lampy centrum handlowego Libertyville. Niezapalone.

Pamiętała, że zaparkowała nissana w alejce naprzeciwko sklepu z farbami Kresge, za czterema, pięcioma samochodami. Front sklepu zdobiła wielka malowana tęczą.

Dinah lubiła atmosferę Libertyville. Już przed wejściem klientów witały dźwięki odprężającej muzyki.

Na tych ogromnych parkingach nie ufała swojej pamięci przestrzennej i dlatego przed odejściem od samochodu zawsze znajdowała punkt orientacyjny, najlepiej jakiś charakterystyczny widok, bo litery i cyfry, którymi oznaczano alejki, zbyt łatwo wylatywały jej z pamięci.

Chyba że spisała je sobie na kartce, ale tym razem tego nie zrobiła.

Robbie coraz bardziej się niepokoił, zaciskał nerwowo palce na jej dłoni, nos chodził mu jak u królika.

– Musi być w następnym rzędzie – powiedziała. – Za tym dużym, który stoi prostopadle.

Robbie wysiłał wzrok, ale widać było po nim, że stracił nadzieję. Auto się zgubiło. Jak teraz wrócą do domu?

Mama zapytała, czy wie, co to znaczy „prostopadle”. Nowe słowa zazwyczaj go fascynowały, teraz jednak był wystraszony i w ogóle nie usłyszał pytania.

– Mamo, a co, jak się zgubiło?

Po co bawiła się z nim w tę głupią grę? Tym razem to chyba nie był dobry pomysł. Za dużo wrażeń na zakupach, za mało snu w ciągu dnia; Robbie był rozdrażniony i bliski płaczu. Dinah poczuła przyływ matczynej miłości, miała ochotę przytulić go mocno i obiecać, że nie stanie się nic złego, a samochód wcale nie zginął, zaraz się znajdzie, jeszcze tylko parę kroków.

Ale kiedy stanęła przed szeregiem aut, w którym spodziewała się ujrzeć nissana, okazało się, że tu też go nie ma.

Skoro nie w tym, pomyślała, to na pewno w następnym. Proste.

– Już prawie jesteśmy, Robbie. Jeszcze chwila.

Trzeba ukrywać przed dzieckiem swoje niemądre wątpliwości.

Trzeba ukrywać ostrą jak brzytwa pogardę dla samej siebie.

Dinah próbowała myśleć pozytywnie (po tym poznaje się dobrą matkę): jak to dobrze, że dziecięce zmartwienia szybko się rozwiewają. Wystarczy znaleźć samochód i Robbie od razu się uspokoi, a zanim wrócą do domu i usiądą we troje do kolacji, zdąży o wszystkim zapomnieć.

Tata zapyta go, gdzie dzisiaj byli, a on zacznie opowiadać o wizycie w centrum handlowym, o zakupach, o wielkanocnych króliczkach w zagrodzie pośrodku pasażu, białych i puszystych, z różowymi nosami, pogłaskał je nawet, bo wolno je głaskać, nie wolno ich tylko karmić ani straszyć.

LUBIMY GŁASKANIE, NIE LUBIMY SZCZYPANIA!

Potem Robbie wdrapie się tacie na kolana i zada mu pytanie, które wcześniej zadał mamie: „Czy możemy mieć króliczka?”. Tata odpowie tak samo jak mama: że nie w tym roku, ale może w przyszłym.

A do niej szepnie: „Prędszej duszonego zająca. Z czerwonym winem”.

Prowadząc synka przez labirynt zaparkowanych samochodów, zobaczyła w końcu nissana: czekał na nich tam, gdzie go zostawiła. Poczuła ulgę i już miała na końcu języka triumfalne: Widzisz, kochanie? Mówiłam, że się znajdzie.

2

– Robbie, daj rączkę.

Uniósł pulchniutką dłoń, a Dinah zacisnęła na niej palce i poczuła dreszczyk szczęścia.

Przypomniało jej się słowo „apofatyczny” – taki, którego nie da się wyrazić słowami.

Macierzyństwo – przekonywała się o tym codziennie – było pełne rzeczy, których nie dawało się wyrazić słowami.

– Widzisz gdzieś auto taty? Pamiętasz, gdzie zaparkowaliśmy?

Szukali nissana, rocznik 2001, szarozielonego w odcieniu morskiej skały.

Przy okazji wspólnych wypraw na zakupy Dinah starała się uczyć Robbiego samodzielności. Nie chciała, żeby jej syn był bierny jak większość dzieci w epoce mediów elektronicznych, dlatego przyzwyczajała go do pomagania jej w różnych codziennych sytuacjach.

Potrafił na przykład znaleźć sklep na mapie galerii handlowej. Jego pięcioletni mózg szybko rozpoznawał barwy i łączył kolorowe pola z nazwami i cyframi, jak w grze planszowej.

Odkąd skończył trzy lata, jego zadaniem było pamiętać, gdzie mama zaparkowała samochód.

Był żwawym, wesołym, uroczym chłopcem, zazwyczaj nie zamykała mu się buzia. Zасыpywał mamę i tatę tysiącem pytań: „Jak to? A dlaczego? A po co?”. Zaczęło się, gdy miał dwa lata, od tamtego czasu jego elokwencja osiągnęła nowe wyżyny.

Nocą to żywe usposobienie bywało zmorą rodziców. Robbie nieraz budził się o wpół do czwartej, przychodził do nich do łóżka i oznajmiał, że „już się wyspał, więc musi być rano”.

– Pamiętasz? – łagodnie spytała mama. – Przed którym sklepem parkowaliśmy? Home Depot czy Kresge?

Zawęziła wybór do dwóch, żeby ułatwić mu zadanie. Ogrom centrum handlowego trochę go przytłaczał i choć zakupy sprawiały mu dużą frajdę, był nimi wyczerpany.

– Home Depot czy Kresge?

Robbie spoglądał przed siebie, wysilając wzrok. Traktował swoje zadanie bardzo poważnie.

Gra powoli przestawała być grą. Dinah zaczęła się martwić, że przesadziła, Robbie będzie zły na siebie, jeżeli nie uda mu się znaleźć auta.

Problem z samodzielnym dzieckiem jest taki, że dużo od siebie wymaga, nawet jeśli sobie tego nie uświadamia. A pięciolatek nie powinien oceniać się zbyt surowo.

Na zakupach z mamą Robbie był jak ruchliwy, furkoczący ptaszek – miał w sobie tyle energii! Dookoła tyle

różnych rzeczy, tyle cisnących się pytań! „Mamo, a co to jest? A to? A to?”. Na widok zagrodki z puszystymi wielkanocnymi króliczkami oszalał z zachwytu. Ciągnął mamę za rękę tak mocno, że aż ją bolało. W rozmowach ze znajomymi żartowała, że od ciągłego przechylania się w prawo ma coraz mniej symetryczną sylwetkę.

Robbie był wesołym dzieckiem. Nie marudził, nie dąsał się, rzadko płakał. Czasem jednak ogarniała go frustracja, zwłaszcza gdy nie radził sobie z czymś, co teoretycznie miał już opanowane, albo gdy spotykała go jakaś przygoda w ubikacji; wybuchał wtedy płaczem pełnym żalu i złości. Ta zraniona mina pięciolatka! Trzeba by Rembrandta, żeby oddać tę rozpacz ze wszystkimi jej subtelnościami. W takich chwilach Dinah patrzyła na niego jak zaczarowana.

Powtarzał teraz zmartwiony, że „auta nie ma – prawda, mammo? Auto się zgubiło – prawda, mammo?”.

Mama zaprzeczyła, nie mogło się zgubić.

– Jeszcze chwilkę. Na pewno zaraz je zobaczymy.

Robbie dopytywał się, jak wrócą do domu, jeżeli auto się zgubiło.

– Skarbie, nie bądź taki niecierpliwy. Nie zgubiło się, zaufaj mi.

Przypomniała sobie, że jako dziecko miewała chwile grozy, kiedy wydawało jej się, że się zgubiła. To pewnie podskórny lęk wszystkich dzieci. Zagubienie jest uczuciem, które trudno uchwycić w słowach, zagadką ukrytą w głębi ludzkiej duszy.

Parking, który często zamieniał się w morze lśniących pojazdów, tamtego dnia, przedwieczorną porą, był zapełniony ledwie w jednej trzeciej. Lampy na wysokich słupach jeszcze się nie paliły. Powietrze miało w sobie jakąś mglistość, wszystko było trochę rozmazane, a jej zmysły przytępione. I owszem – była zmęczona.

Zmęczenie to coś, do czego nie przyznawała się przed mężem ani tym bardziej przed synkiem, było jej sekretną skazą, bolączką i wyrzutem sumienia, ponieważ uważała je za oznakę słabości. *Człowiek szczęśliwy i zadowolony z życia nie czuje zmęczenia, tylko radość, która dodaje mu sił.*

Nie była religijna, ale w głębi serca uważała się za wierzącą.

Whit by ją wyśmiał, on kiwał z takich frazesów, kiwał z cudzych słabości.

Była pewna, że zaparkowała na wysokości wejścia do sklepu z farbami Kresge. W piątym, może szóstym rzędzie. Front sklepu zdobiła wielka malowana tęczą.

Na tych ogromnych parkingach nie ufała swojej pamięci przestrzennej i przed odejściem od samochodu zawsze znajdowała jakiś punkt orientacyjny, najlepiej charakterystyczny widok, bo litery i cyfry, którymi oznaczano alejki, zbyt łatwo wylatywały z pamięci, jeżeli ich sobie gdzieś nie zapisała.

Pamiętała, że samochód stał w sektorze C.

Wizyta w centrum handlowym rozkojarzyła Robbiego, każda sklepowa wystawa przyciągała jego uwagę,

a niektóre – z elektroniką, zabawkami, sprzętem sportowym – wywoływały lawinę pytań, nic więc dziwnego, że zapomniał o tęczowym sklepie z farbami Kresge, który mama wskazała palcem, kiedy wysiedli z auta. Widocznie zbyt dużo się wydarzyło. Zbyt wiele bodźców. Teraz Robbie nerwowo zaciskał rączkę na dłoni mamy, a nosek chodził mu jak u królika. Miała ochotę go pocałować, był taki zdezorientowany – i taki obowiązkowy.

Okrutny rodzic mógłby w takiej chwili powiedzieć: „Miałeś pamiętać, gdzie zaparkowaliśmy. To było twoje zadanie. Jeżeli sobie nie przypomnisz, nie będziemy mieli jak wrócić do domu”. Ale Dinah nie była okrutnym rodzicem i nigdy by czegoś takiego nie powiedziała.

Choć słyszała podobne rzeczy od własnej matki, kiedy miała tyle lat co Robbie.

Oczywiście jej matka mówiła to żartem, takie miała poczucie humoru.

Nie tędy! Cofnij się.

– Skarbie, chyba wiem, gdzie jest nasze autko. Za tym dużym. Jeszcze go nie widać, ale stoi tam na pewno, prostopadle do wejścia.

Robbie miał wątpliwości. Wyteżał wzrok.

– Widzisz sklep z farbami? Ten kolorowy? Tam jest nasze auto.

Chłopiec pokręcił głową, zmarszczył czoło – auto się zgubiło.

– Robbie, poczekaj. Nie ciągnij mnie. Jesteśmy już blisko.

Zmusiła się do uśmiechu. Dzieci może i są małe, ale mają dużo siły.

Dorośli musi sobie ciągle przypominać, że dziecko jest dzieckiem. Czasem bardzo łatwo o tym zapomnieć.

Zwłaszcza gdy przebywała z Robbiem przez dłuższy czas, w samochodzie lub w domu; oglądając filmy, czytając (w każdym razie jemu wydawało się, że czyta, a tak naprawdę znał swoje ulubione bajki na pamięć, tyle razy je słyszał); kiedy siedział obok i byli prawie równego wzrostu; albo kiedy siedział jej na kolanach i prawie ją przewyższał. Albo gdy nie zamykała mu się buzia, a Dinah słuchała go z uśmiechem, przyznając w myślach rację jego tacie, który twierdził, że ich syn ma w sobie coś takiego, co sprawia, że myśli się o nim jak o kimś znacznie większym.

Był bystry, szybko się uczył. Fascynowały go słowa.

– Prostopadle. Wiesz, co to znaczy, skarbie?

Robbie potrząsnął niecierpliwie głową.

– To jak litera L – zetknęła dłonie pod kątem prostym – jedna rzecz jest tak, a druga tak. Rozumiesz?

Robbie skinął głową bez przekonania. Rozglądał się niespokojnie za autem – gdzie jest auto? Dlaczego nigdzie go nie widać?

Mama ścisnęła jego miękką rączkę i szła dalej w kierunku nissana, zaparkowanego ledwie godzinę wcześniej, klucząc między innymi pojazdami, przepuszczając samochód o blade świecących reflektorach, ściskając zmartwione dziecko za rączkę, teraz już lekko zdener-

wowana, nie tyle na Robbiego, ile na siebie, bo niepotrzebnie zachęcała go do tej głupiej zabawy, niepotrzebnie próbowała ćwiczyć jego pamięć i samodzielność; to nie był dobry pomysł, nie tym razem. Czasem była świadkiem tego, jak młode matki traciły panowanie nad sobą i wydzierały się na swoje pociechy w sklepie albo na ogromnym parkingu – anonimowość tych miejsc jakby sprzyjała takim wybuchom – czasem nawet potrząsały dzieckiem, a Dinah przyglądała się temu ze zgrozą, nie mogąc oderwać oczu od rozdzierającej sceny; musiała jednak chronić własne dziecko przed takim widokiem i robiła to, oddalała się czym prędzej, nie oglądając się za siebie.

Pocieszała ją myśl, że Robbie uspokoi się już niedługo, gdy tylko znajdą samochód (którego, jak się okazało, nie było tam, gdzie myślała, że będzie; widocznie to nie ten rząd, tylko następny); zrozumie, że nic się nie stało, a parę minut później w ogóle nie będzie już pamiętał o swoim zmartwieniu, bo uczucia pięciolatka są gwałtowne i krótkie, jak podmuchy wiatru. „Widzisz, skarbie? – powie triumfalnym tonem. – Stoi tam, gdzie go zostawiliśmy”.

Ale słowa grzęzły jej w gardle. Były jak kawałki betonu albo kredy. Próbowała powiedzieć: *Nie pamiętam. Chyba... Nie pamiętam.*

Dochodziliśmy już do samochodu i wtedy coś mnie uderzyło... w tył głowy... spadło na mnie z góry jak ciężki ptak... jak łabędź... jakby wisiał tuż nade mną i bił mnie

skrzydłami... skrzydłami ostrymi jak siekiera... Potem wszystko pociemniało.

Wszystko pociemniało i ktoś zabrał Robbiego. Wyrwał mi go z dłoni, czułam to...

Chciałam wzywać pomocy, ale nie mogłam z siebie nic wydusić, czułam się, jakby wepchnięto mnie do wody, ale zaraz wynurzyłam się z powrotem i jakimś cudem stanęłam znów na nogach... nie wiem, jak udało mi się podnieść, ale byłam na nogach... chyba za nim pobiegłam... to był chyba mężczyzna?... krzyczałam i biegłam za dużym samochodem osobowym... a może minivanem... to się działo tak szybko... podobno miałam wstrząśnienie mózgu od pierwszego ciosu... potem mogłam już krzyczeć i krzyczałam za nimi... do niego... biegłam za vanem, potykałam się... to było na końcu rzędu samochodów, parking robił się pusty... nikogo tam chyba nie było... biegłam za vanem i krzyczałam, a potem, nie wiem, jak to się stało, nie widziałam, bo krew zalała mi oczy, ale van zawrócił... kierowca zawrócił... i jechał prosto na mnie... widziałam jego twarz... widziałam, jak szczyrzy zęby... miał zarost... jakąś czapkę, może bejsbolówkę, wciśniętą na czoło... nosił okulary... ciemne... lustrzane, takie, jakie noszą motocykliści... i chyba... nie chciałam zejść mu z drogi... wołałam Robbiego, myślałam wtedy tylko o nim... van jeszcze się nie rozpędził i pomyślałam... tak widocznie pomyślałam... że uda mi się złapać za klamkę albo uderzyć pięścią w szybę... że uda mi się odzyskać Robbiego... tak chyba myślałam... a on... on chyba przyspieszył i mnie rozjechał...

Nie pamiętała, że samochód włókł ją przez piętnaście metrów ani że kierowca gwałtownie skręcał i hamował, żeby się jej pozbyć, aż w końcu poleciała w bok niczym worek kartofli, a kiedy na miejscu zjawili się pierwsi świadkowie, leżała na ziemi bez żadnych oznak życia – chwilę przedtem patrzyli z przerażeniem, jak duży samochód przejeżdża młodą kobietę, ciągnie ją po asfalcie i wreszcie puszcza.

Minivan wyjechał z parkingu, mocno przyspieszył i wyjechał, wychodziliśmy właśnie z Home Depot, z daleka nie było widać, kto siedzi za kierownicą ani nawet jakiego koloru była karoseria, ani jaki miał numer rejestracyjny, podbiegliśmy do tej biednej kobiety, leżała na jezdni i wyglądała na nieżywą.

3

– Robbie, proszę cię, daj mi rączkę.

Posłuchał. Dał jej rączkę.

W centrum handlowym był rozkojarzony i parę razy musiała na niego podnieść głos, ale teraz, na wielkim parkingu, był zdezorientowany i przygaszony.

Później doszła do wniosku, że to był jej pierwszy błąd.

– Jesteś zmęczony, skarbie? Za pół godziny będziemy w domu. Pomożesz mamusi znaleźć auto?

Takie miał zadanie. Na tym polegała gra. Robbie uwielbiał gry, bo zazwyczaj świetnie sobie w nich radził.

– Widzisz je? Powinno być gdzieś tam z przodu.

W tej grze to Robbie prowadził mamę za rękę. Ciągnął ją, żeby się pospieszyła.

Ale tym razem nie wiedział, gdzie jest samochód. Zbyt wiele się działo w centrum handlowym, tyle nowych rzeczy, tyle wrażeń, a ponieważ tego ranka wstał wczesnie, był zmęczony i markotny. A przecież nie mogła powiedzieć ruchliwemu pięciolatkowi: „I co, nie mówiłam, żebyś się zdrzemnął?”.

Ciężko jej przychodziło strofowanie syna. Czy w ogóle kogokolwiek.

Nawet kiedy jej kochany Robbie hałasował i zaczepiał inne dzieci na Spotkaniach z Książką w miejscowej bibliotece – miał w sobie tyle energii!

Albo kiedy wyrwał się jej w centrum handlowym i pobiegł na tych swoich krótkich nóżkach do zagrody króliczków wielkanocnych, ignorując wołania mamy przepłatanę bezsilnym śmiechem.

Centrum handlowe przyciągało tłumy matek z dziećmi. Był tam plac zabaw i dużo ogródków restauracyjnych z niedrogim jedzeniem. Dekoracje zmieniano stosownie do pory roku: Boże Narodzenie trwało bardzo długo, a teraz, przed Wielkanocą, można było podziwiać puszyste białe króliczki wśród krwistoczerwonych tulipanów i jaskrawożółtych żonkili. Niektóre matki prowadziły aż trójkę–czwórkę? – dzieci; Dinah przyglądała się im z niekłamanym podziwem. Jak one to robiły? Robbie wystarczająco ją absorbował. Cała jej matczyzna miłość, potężna jak wulkan, skupiała się na jedyńaku. Whit miał na punkcie rodzicielstwa tylko trochę mniejszego bzika.

Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby Robbie to byli dwaj bliźniacy – powiedziała kiedyś znajoma, na co Whit zażartował: *Wcale nie musimy sobie wyobrażać.*

– Tędy, skarbie. Chyba powinniśmy iść w tym kierunku.

Robbie ścisnął nerwowo jej dłoń. Najwidoczniej zapomniał o sklepie z farbami Kresge, mimo że mama

zwracała jego uwagę na tęczową fasadę, gdy wysiadali z auta.

Jakaś część jej (podzielonej) uwagi zarejestrowała przejeżdżający samochód, minivan, który minął ją i Robbiego bardzo powoli, jak gdyby kierowca szukał wolnego miejsca parkingowego jak najbliżej wejścia do Home Depot. Mocno chwyciła Robbiego za rączkę, żeby nie wbiegł pod koła; dopiero gdy samochód przejechał, wyszli pomiędzy dwóch zaparkowanych aut, a Dinah natychmiast zapomniała o minivanie, który znów był tylko jednym z wielu pojazdów w zasięgu jej wzroku. Nie widziała kierowcy, nie zwróciła uwagi, czy jechał z nim pasażer. Być może spostrzegła, że samochód nie lśnił nowością i był nieokreślonego koloru zeszlatorocznych liści zalegających w rynnie albo w kanale. Na pewno nie zatrzymała wzroku na żadnej z tablic rejestracyjnych.

– Pamiętaj, skarbie, nigdy nie wychodź pomiędzy zaparkowanych aut, dopóki się nie rozejrzysz.

Nie powinna była dopuścić, żeby wizyta w centrum handlowym tak go zmęczyła. Była to słabość młodej matki odurzonej macierzyństwem jak narkotykiem.

Jego radość stawała się jej radością. Wspaniale było patrzeć na świat oczyma dziecka. Zwłaszcza że nie pamiętała, jak to jest być pięciolatką.

Dopóki nie zaczęła zabierać Robbiego na zakupy – na początku w spacerówce – nie zdawała sobie sprawy, jak fascynujące mogą być witryny sklepów i wystawy

w trzypiętrowym atrium obok windy. Sama winda była zresztą dla maluchów przeżyciem na miarę przejazdki kolejką górską, w dodatku zupełnie bezpiecznym. Wszystko w tym konsumenckim rajku ruszało się i skrzyło kolorami, by przyciągnąć wzrok kupującego.

Dinah to rozumiała: centrum handlowe miało wabić klientów. Wystawy sklepów dla dzieci projektowano w taki sposób, aby wabiły dzieci, które następnie błagały rodziców, by kupili im to lub tamto. Ona i Whit z zasady nie kupowali nic pod wpływem impulsu ani tym bardziej zachcianki pięcioletka. Zresztą nie powodziło im się na tyle, by mogli trwonić pieniądze na tandetne zabawki lub rzeczy, z których Robbie prędko wyrośnie.

Mimo to centrum handlowe miało swój niezaprzeczalny urok. Czasem dość absurdalny, jak w wypadku olśniewających nowych modeli samochodów na obrotowych platformach. Uwodziły już samą nazwą: Forester, Wrangler, Optima, Cavalier, Echo, Lancer, Sunfire. Whit narzekał na nissana, którym jeździł od wielu lat. Mówił, że czas pomyśleć o nowym samochodzie, może jakimś większym. Kiedyś będą przecież wozic syna i jego kolegów – na mecze piłki nożnej? Albo softballu? (Whit zawsze gardził stylem życia charakterystycznym dla mieszkańców przedmieść, ale z każdym upływającym rokiem przesiąkał nim coraz bardziej). Przyda im się coś większego od sedana. Choć raczej nie będzie to samochód fabrycznie nowy, co najwyżej „bez śladów użytkowania”.

Tak, było coś rozkosznego w twarzach dzieci ciągnących mamę za rękaw w centrum handlowym.

Maa-mo! Maa-mo! MAA-MO!

W otoczeniu, które go zachwycało i dezorientowało, Robbie potrafił być uparty, a nawet nieposłuszny. A połyskliwe wnętrze Libertyville było właśnie takim otoczeniem – przy nim dom, w którym mieszkał z mamą i tatą, wydawał się czymś najwykleszszym.

Whit przeczytał jej kiedyś fragment jakiegoś tekstu z psychologii: instynkt niszczycielski u osobników *homo sapiens* osiąga szczytowe natężenie w trzecim roku życia.

Oboje parsknęli śmiechem. Najwyraźniej ich syn był wyjątkiem – nie tylko nie przejawiał instynktów niszczycielskich, ale w ogóle nie sprawiał szczególnych problemów wychowawczych, a jako trzylatek zaczął nawet zdradzać oznaki dziecięcej dojrzałości: grzecznie stał w kolejce, nie przerywał innym, wstydził się za swoje błędy. Było mu wstyd, zwłaszcza gdy coś wylał albo upuścił. Jednak w chwilach zmęczenia lub poirytowania cofał się jakby w rozwoju i ponownie stawał się grymaśnym skrzatem, gotowym w każdej sekundzie wybuchnąć płaczem.

Libertyville było po prostu zbyt duże. Przeszli całe kilometry – co chwila wabieni jakimś obiecującym widokiem. Dinah wiedziała, co chce kupić i gdzie tego szukać, ale po wejściu do centrum handlowego wypełnionego łagodną zakupową muzyką człowiek wpada

w trans i zapomina o swoich postanowieniach. A teraz Robbie był zmęczony i nie mógł się skupić.

Na parkingu myślała: *Jeszcze chwila, niech tylko zobaczy ten cholerny samochód i wszyscy będą szczęśliwi.*

Przypomniała sobie, jak dwuletni Robbie zachorował na zapalenie oskrzeli. Był rozpalony, gorączka osiągnęła zatrważające 39 stopni. Zawieźli go na pogotowie w Ann Arbor, bo Whit nie chciał czekać na karetkę. Tak pędził swoim starym nissanem, że samochód zaczął drżeć i trzeszczeć, jakby miał się rozlecieć na kawałki. Dinah tuliła rozpalonego synka i modliła się w duszy: *Boże, uratuj go, a już nigdy w ciebie nie zwątpię. Proszę cię, pomóż nam, Robbie jest taki malutki, a my nie możemy nic zrobić.*

Na pogotowiu podłączono go do kroplówki. Jaką małą miał wtedy rączkę, jaka mała była „igła motylkowa”, którą pobierano mu krew! *Państwa syn ma infekcję oskrzelową i jest mocno odwodniony.* W tonie lekarza pobrzmiwała nuta wyrzutu i pogardy, o której Dinah starała się zapomnieć. *Odwodniony? To znaczy, że ma za mało wody? Ale jak zmusić dwuletnie dziecko do picia wody?*

Później trzymała Robbiego za rączkę. Leżał na intensywnej terapii. Infekcja wdarła się do płuc. Był taki malutki, szpitalne łóżko wydawało się ogromne. Przyjechała rodzina, ale nie pozwolono im zostać, pokój był zbyt mały. Matka Dinah stała w korytarzu i załamywała ręce. Twarz czarownicy, jakby wyrąbana w kamieniu. Wyglądała jednak na mocno stroskaną, może nawet

żałowała swoich słów o małżeństwie córki z „brązowym disc jockeyem” – tak wyraziła się kiedyś o uwielbianym przez Dinah Perrym „Whicie” Whitcombe.

Kiedy dwulatek trafia do szpitala w poważnym stanie, ktoś musi być winny. Takie rzeczy jak ostra infekcja oskrzelowa nie dzieją się same. Dinah w pierwszym odruchu wzięła to na siebie. *To moja wina. Nie zdawałam sobie sprawy, że Robbie za mało pije.* Miał co prawda gorączkę, ale pediatra powtarzał jej wielokrotnie, że u małych dzieci to normalne, podobnie jak płacz, katar i zatknięty nos, i że nie powinna wpadać w panikę za każdym razem, gdy mały się posmarka. Mimo to przy każdej okazji wmawiała sobie i innym: *To moja wina. Moja wina.* Jak gdyby licząc, że ta skrucha uleczy jej syna. Że Bóg zamiast dziecka ukarze (złą) matkę. Whit szlachetnie protestował: *Nie, Dinah, to nasza wspólna wina. Poza tym to się stało tak szybko – w ciągu jednej doby.*

Robił, co mógł, żeby ją pocieszyć: *Jesteśmy przecież początkujący. Uczymy się. Robbie wyzdrowieje i w ogóle nie będzie o tym pamiętał.*

Zastanawiała się, czy to możliwe: nie zapamiętać ośmiodniowego pobytu na oddziale dziecięcym szpitala klinicznego Uniwersytetu Michigan.

Małe dzieci niewiele zapamiętują. Choć może należałoby powiedzieć inaczej: wiele zapominają.

Nie znają jeszcze takich pojęć jak śmierć, umieranie, więc nie przywiązują do nich wagi emocjonalnej.

Robbie wyzdrowiał. Oczywiście, że wyzdrowiał.

Był podatny na infekcje płuc i silne przeziębienia. Ale wyzdrowiał i na pewno nie pamiętał, nie wiedział, że rodzice drżeli o jego życie, że siedzieli po przeciwnych stronach wąskiego łóżeczka, trzymali go za jego śliczne rączki, płacząc, śmiejąc się i wspominając: *Kiedy go poczęliśmy? To było tamtej nocy? Jestem pewna, że wtedy – pamiętasz – w tym strasznym motelu w Bozeman, gdzie rano zaatakowała nas chmara meszek, mieliśmy je we włosach, w oczach, w ustach...*

Tak właśnie tworzy się głęboka więź między ludźmi. Bardzo bliski jej mężczyzna stał się jeszcze bliższy za sprawą dziecka, czuła się z nimi nierozzerwalnie złączona, jak gdyby byli częścią jej duszy.

Na samą myśl o tym przechodził ją dreszcz. Ale czy nie był to dreszcz niewysłowionego szczęścia?

– Robbie? Nasze auto jest w następnym rzędzie, zobaczysz. Proszę cię, nie płacz.

Jeden ze świadków powiedział później policjantom, że tuż przed porwaniem chłopiec płakał na parkingu. Ciągnął mamę za rękę, a ona coś mu tłumaczyła. Zapytany, czy słyszał, co matka mówiła do chłopca, odparł, że nie. Stał zbyt daleko, szedł w stronę wejścia do Home Depot, a nie w stronę parkingu.

Świadkowie, którzy kwadrans wcześniej widzieli matkę i dziecko wewnątrz centrum handlowego, zapewniali policję, że *niczym się nie wyróżniali. Zachowywali się zupełnie normalnie.*

Młoda mama z dzieckiem. Wyglądali sympatycznie, ale trudno powiedzieć o nich coś więcej.

Mały był bardzo zaafierowany króliczkami. Jak wszystkie dzieci.

Nie widziałam, żeby ktokolwiek ich zaczepiał albo szedł za nimi.

Powietrze rozdarł krzyk. Nie był wołaniem o pomoc, lecz po prostu krzykiem – zaskoczenia, grozy.

To nie Robbie krzyczał, lecz ona sama.

Coś ją uderzyło, spadło na nią z góry. Zdawało jej się – ale wszystko działo się w mgnieniu oka – że widzi ogromnego ptaka młóćącego skrzydłami, latającą bestię podobną do tej, która wyjadała Prometeuszowi wątrobę. Runęła na ziemię i ktoś wyrwał spomiędzy jej palców dłoń Robbiego, który krzyczał:

– Mamo!

4

Daj mi rączkę.

Codziennie wypowiadała te słowa niezliczoną ilość razy. O ile tylko byli poza domem.

A Robbie dawał jej rączkę, bo był grzecznym dzieckiem.

Ściskała ją mocno w dłoni, bo była jego mamą, była za niego odpowiedzialna.

W centrum handlowym kilka razy jej się wyslizgiwał i uciekał przed nią z wesołym piskiem.

Ale to była zabawa. Zabawa, która kończy się śmiechem.

Kiedy był zmęczony, markotny, najchętniej posadziłaby go w spacerówce, ale był na to za duży. *Jestem już duży!* Lubił jej o tym przypominać także wtedy, gdy próbowała wziąć go na ręce.

Był wesołym, gadatliwym dzieckiem. Czasem psotnym i męczącym, jego tata nieraz w łóżku nakrywał sobie głowę poduszką i narzekał: *Chryste, kogut już wstał i pieje.*

Tata lubił bawić znajomych opowieściami o psotach Robbiego, o tym, jak budził rodziców w środku nocy

i domagał się, by już było rano, bo lubił wspólne śniadania przed wyjściem taty do pracy. W niektóre dni mama miała zajęcia i wtedy zawoziła go do świetlicy, w której były inne dzieci. Większość z nich lubił, ale nie wszystkie. Nie wiadomo dlaczego, choć Dinah próbowała się tego dowiedzieć.

Dał jej rączkę. Zbliźali się do strefy C parkingu.

Nie była przygotowana. Zero ostrzeżenia. Nie odezwał się w niej żaden szósty zmysł ani matczyzny instynkt.

Runęła w czarną otchłań. Docierało do niej, że prawdopodobnie umiera, bo przestała oddychać, miała pękniętą czaszkę, przez którą wypływała jej dusza, niczym dym z opuszczonych kopalń w Pensylwanii, po dziś dzień wydobywający się ze szczelin w asfalcie. Zdażyła o tym pomyśleć, a przecież nie było czasu, wszystko działo się tak szybko. Jak później ustalono, mimo krwawiącej rany głowy podniosła się z jezdni i pobiegła za minivanem, do którego porywacz wrzucił jej syna, biegła za nim nieprzytomnie, jak maszyna; ledwie świadoma własnego strachu, albo raczej szału, wściekłego szału, rzuciła się na samochód, próbowała chwycić klamkę u drzwi, potem minivan zawrócił i ruszył w jej stronę, a ona nie usunęła się na bok, uderzenie było tak silne, że wyrzuciło z niej duszę. A kiedy ocknęła się w jasnym pomieszczeniu o mdłym zapachu, zapewne jodyny, zapytano ją, kto zabrał jej syna, ile pamięta z napaści i porwania. Starła się zachować

przytomność, powiedzieć im wszystko, co wiedziała, ale miała złamaną szczękę i wybite zęby, słowa nie chciały przyjść.

Była za to wystarczająco przytomna, by zdać sobie sprawę z tragedii, jaka ją spotkała.

Zabrano jej dziecko. Ktoś wyrwał jego dłoń z jej dłoni. Mamie nie starczyło siły.

Była to największa klęska w jej życiu. Przegrała jako matka i jako człowiek. Choć oczywiście zapewniano ją, że to nie jej wina.

Ktoś zabrał jej syna. Syna Whita.

Na razie nikt nie zażądał pieniędzy. Prawdopodobnie nie było to porwanie dla okupu.

Oraz: *Policja w trzech stanach szuka porywacza. Sprawa została nagłośniona.*

Szykowano ją do kolejnych zabiegów. Jej ciało było jak zgnieciona rozgwiazda. Uśmiechnęła się do niego ze współczuciem.

Pacjentka traci przytomność. Zapadając w sen, wyraźnie słyszała te słowa.

5

Później – ale to mógł być już inny dzień. Czas płynął inaczej w tym miejscu, w którym nie była już matką, tylko budzącą litość połamaną istotą z twarzą obdartą ze skóry.

Wszyscy wokół byli bardzo życzliwi. Pielęgniarki mówiły łagodnymi głosami, okazywały jej dużo troski i serdeczności. Na przemian traciła i odzyskiwała przytomność, traciła i odzyskiwała wolę życia.

Próbowała zatrzymać minivana. Głupi pomysł, skazany na porażkę. Gdyby miała więcej rozumu, poszłaby z Robbiem prosto do auta – zaparkowała je przecież na wysokości wejścia do Kresge Paints, wystarczyło pójść chodnikiem zamiast pozornym skrótem przez labirynt samochodów; jej dziecko byłoby wtedy bezpieczniejsze.

Próbowała zatrzymać minivana. Nie udało jej się.

Napastnik uderzył ją tępym narzędziem, prawdopodobnie młotkiem. Potem samochód włókł ją po asfalcie przez dwadzieścia metrów. Miała złamane obie nogi, prawą rękę, żebra i obojczyk; straciła większość skóry po prawej stronie twarzy, kilka górnych i dolnych zębów.

Nie była już atrakcyjną młodą kobietą, tylko hallo-weenową maskarą.

Nie musiała przeglądać się w lustrze. Wiedziała.

W morfinowym delirium pocieszała się myślą, że przynajmniej Robbie nie musi jej oglądać w tym stanie. Pewnie na jej widok zacząłby krzyczeć.

Zawsze bardzo się przyglądał mijanym na ulicy niepełnosprawnym, zwłaszcza dzieciom. Wyzierał mu wtedy z oczu dziecięcy strach, w którym nie było cienia sympatii ani współczucia.

Albo to nieme przerażenie i odraza, z jakimi patrzył na wiewiórkę rozjechaną przez samochód niedaleko ich domu, jeszcze żywą, wijącą się w rysztoke.

Nie patrz, kochanie. Zamknij oczy.

Odezwała się do męża nagłym tonem, jak gdyby sprawa, o której mówili – o której sama zaczęła mówić w półprzytomności – wymagała pilnego uzgodnienia. Że kiedy Robbie przyjdzie ją odwiedzić, będzie musiała zakryć twarz „taką ładną, białą, satynową maską”, żeby go nie wystraszyć. Trzeba mu oszczędzić widoku matki w tym strasznym stanie.

Gdyby zamiast niego wziął mnie.

Ale takie myślenie oczywiście nie miało sensu. Było myśleniem naiwnym.

Porywacz nie był zainteresowany dorosłą kobietą, tylko dzieckiem. To ono było jego celem.

Whita pokazano w telewizji. Nieogolony mężczyzna o błagálnym wzroku i potarganych brązowych, lecz siwiejących włosach. Błady, ale niewątpliwie należący do „rasy mieszanej” (Czarny? Indianin? Arab?). Pokazano też zdjęcia pięcioletniego Robbiego.

Ojciec nazywał się Whit Whitcomb. Jego audycja *American Classics & New Age* w stacji WCYS-FM, nadawana co wieczór o jedenastej, z wyjątkiem niedziel, należała do najpopularniejszych emitowanych przez publiczne radio. Obecnie zastępował go inny dziennikarz.

WCYS-FM nadało wywiad z Whitem, który idąc za radą policjantów z Ypsilanti, zaapelował do słuchaczy o pomoc. Tym razem jego zmysłowy radiowy głos łamał się, brzmiał matowo i ponuro.

Jeżeli ktoś coś wie. Cokolwiek. Zaginął pięciolatek Robbie Whitcomb. Porwano go z parkingu centrum handlowego Libertyville.

Z matką nie można się skontaktować, *przebywa w szpitalu w stanie krytycznym.*

Media podały, że porywacz potrafił matkę dużym samochodem. Że próbował ją zabić.

Zakochałabyś się we mnie, gdybyś usłyszała mnie w radiu, nie znając mnie? – Whit lubił zadawać jej to pytanie.

Tak! Oczywiście, że tak.

A czy ty zakochałabyś się we mnie, gdybyś tylko słyszała mój głos?

Pewnie, odpowiadał ze śmiechem Whit.

Gdybyś znał tylko mój głos? Zakochałbyś się we mnie?
No pewnie, że tak.

To było dawno, dawno temu. Zanim urodziło im się dziecko.

Ale może była już wtedy w ciąży? Byli małżeństwem dopiero od czterech miesięcy, leżeli w łóżku i odsłuchiwali nagraną audycję Whita, jak to mieli w zwyczaju. Uwielbiała ten jego głęboki radiowy głos, seksowny, ciepły, wesoły, szczery. *A teraz posłuchamy czegoś przepiękne-go, Billie Holliday zaśpiewa nam What is This Thing Called Love, nagranie z 1945 roku.*

Oto wielka zagadka. Pytanie za sto punktów. Czym jest miłość?

Zanim Dinah stała się mamą, była po prostu Dinah i nikim więcej; nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była wolna, nieokreślona, niekompletna, dopóki nie zaszła w ciążę i nie urodziła dziecka.

Przez te wszystkie lata była półosobą. Nic dziwnego, że czuła się samotna!

Chociaż jej matka nie była szczęśliwa nawet z córką. Na pewno nie dało się o niej powiedzieć, że jest spełniona.

Teraz Dinah nie była już tylko Dinah. Była mamą, która tak miała na imię, ale nie był to najważniejszy składnik jej tożsamości.

Czy kobieta po urodzeniu dziecka nie dostaje lekkiego bzika? Czy w końcu przechodzi nad macierzyństwem do porządku dziennego? Czy w ogóle chce?

Przypominając sobie życie sprzed narodzin Robbiego, sprzed ciąży, nie mogła uwierzyć, jak bardzo było ono pozbawione treści.

Zakochała się w Perrym „Whicie” Whitcombie, mając dwadzieścia trzy lata. Nigdy wcześniej nie była w nikim zakochana, to nowe uczucie zapierało jej dech – a jednak nie mogło się równać z matczyną miłością do dziecka, która miała w sobie coś rozpaczliwego.

To był szczęśliwy czas. Nawet o problemach myślało się wtedy z pewną słodyczą.

Tamten czas się skończył. Ich miłość nie kwitła już tak bujnie. Nie mieli tej młodzieńczej zuchwałości. Mama skończyła dwadzieścia osiem lat, tata – trzydzieści cztery. Już nigdy nie będą znowu młodzi.

Próbowała mówić przez złamaną szczękę. Zapytała: *Znaleźli Robbiego?*

Whit odparł, że nie, jeszcze nie. To „jeszcze” miało ją pocieszyć.

Siedząc przy jej łóżku, emanował spokojem. Wszędzie indziej odchodził od zmysłów.

Tulił ją w ramionach. Pochylał się nad nią, uważając, żeby nie zrobić jej krzywdy. (Ale czy w ogóle coś by poczuła? Ból był niewyraźny, jak huczenie w uszach przypominające stłumione krzyki). Powiedział jej, że bardzo ją kocha. I że jest pewien, że ich syn się znajdzie i wróci do nich.

Nie powtarzał jej najnowszych wieści, bo nie było żadnych wieści. Dzień, noc, drugi dzień i następny,

tydzień, dwanaście dni, wreszcie piętnaście – i wciąż nic.

Zdarzały się mylne tropy, tych było sporo. Ktoś widział chłopca i porywacza. Ktoś widział beżowego minivana.

Matkę utrzymywano przy życiu za pomocą kroplówki. Oddychała już bez respiratora, ale nadal trzeba ją było karmić dożylnie. Odżywka w płynie nazywała się Mechanical Soft.

Dwadzieścia dziewięć dni w szpitalu w Ann Arbor, dwa tygodnie ponownej nauki chodzenia w klinice rehabilitacyjnej. Co wcale nie oznaczało, że Dinah będzie kiedyś chodzić normalnie.

Doznała pęknięcia czaszki. Miała wylew krwi do mózgu.

To, że przeżyła, zakrawało na cud. Jak i to, że stanęła na nogi, o chodzeniu nie wspominając.

Później przyszedł czas na wielomiesięczną rehabilitację w domu. Dinah miała kłopoty z równowagą. Często zdawało jej się, że stąpa po krzywej podłodze, a nawet, że niebo się przechyliła. Nie przesypiała nocy, najwyżej parę godzin, budziła się wystraszona i zdezorientowana. Zaciskała mocno palce na dłoni dziecka – już nigdy jej nie puści.

Kochasz mnie mimo wszystko? – pytała Whita. To pytanie stało się jej cichą, smutną mantrą.

Chryste, Dinah, kocham cię najbardziej na świecie. Zawsze cię kochałem.

Kiedy Robbie się urodził i przywieźli go do domu ze szpitala, Whit wypalił kilka skrętów. Wydmuchiwał przez nozdrza kłęby dymu i mówił: Niech mnie, Dinah, wychowamy naszego syna na szczęśliwego człowieka. Bez tego syfu, który mieliśmy w naszych rodzinach.

Zgadzała się z nim całkowicie. Żadnego syfu.

Żadnych neurotycznych jazd. Żadnych komplikacji. Nasz syn jest cudowną istotą, trzeba tylko pozwolić mu rozkwitnąć. Nie przeszkadzać.

Podpisywała się pod tym w stu procentach.

Nie wierzyła w mściwego i gniewnego Boga – w małostkowego bożka awanturnika. Wierzyła w Boga, o którym można było powiedzieć, że stworzył człowieka na swoje podobieństwo – i taki miał być Bóg Robbiego, o ile Robbie będzie miał jakiegoś Boga.

A pytał już o Boga – to słowo obito mu się o uszy, a każde dziwne słowo rozbudzało jego ciekawość. *Mamo, co to jest Bóg?* Powiedział to takim tonem dziecięcej zadumy i dociekliwości, że aż się roześmiała, pocałowała go w czoło i odparła: *Bóg jest duchem, który czuwa nad wszystkimi ludźmi. Jest wszędzie, nawet u nas w domu, ale jest niewidzialny.*

Niewidzialny? – zdziwił się Robbie.

To znaczy, że nie można Go zobaczyć.

To skąd wiadomo, gdzie On jest?

Dinah i Whit potrafili bez końca przytaczać powiedzonka swojego synka. Był chyba najbystrzejszym chłopcem pod słońcem.

To skąd wiadomo, gdzie On jest?

Któregoś wieczoru, kiedy Dinah leżała jeszcze w szpitalu w Ann Arbor, Whit zjawił się u niej bardzo późno, dopiero po dziesiątej. Mówił niewyraźnie i wionęło od niego piwem. Rozpłakał się. Zapytała go, czy są jakieś wieści, odpowiedział, że nie ma i właśnie dlatego płacze. Do tej pory był silny, ale dłużej nie wytrzyma. Położył głowę na brzegu łóżka i zakrył ją ramionami, przyciskając twarz do uda Dinah. Jego łzy zwilżyły pościel. Ścisnął jej posiniaczoną dłoń. Była skonsternowana i nie całkiem przytomna. Nienawidziła morfiny, która mąciła jej umysł, ale nie mogła bez niej zasnąć. A może usnęła i śniło jej się, że czuje wilgoć obok uda, że ktoś płacze przy niej i mówi ściszym głosem, żeby nikt nie usłyszał: *Dlaczego! Dlaczego go tam zabrałaś. Dlaczego go puściłaś.*

6

KOŚCIÓŁ NIEUSTAJĄCEJ NADZIEI DETROIT, MICHIGAN

12 kwietnia 2006

Czyż nie zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga?

Kaznodzieja przechadzał się powoli wśród chłonących jego słowa parafian. Jego błogosławieństwo było dla nich jak drogocenne ziarno. Jego oczy wpatrywały się głęboko w ich oczy, przenikały ich samotność, ich wielki głód, który zaspokoić mógł tylko człowiek o wielkiej sile duchowej.

Mojżesz Majmonides uczy nas, że czas jest tak cenny, iż Bóg daje nam go w atomach. W najmniejszych możliwych kawałkach, abyśmy mogli je udźwignąć, nie czyniąc sobie krzywdy.

Albowiem nie śmiemy spojrzeć prosto w słońce. Nie chcemy, aby nas oślepiło.

To kaznodzieja spogląda w nie za nas, ryzykuje zdrowie dla swoich wiernych.

Jesteśmy dumnym narodem. Nie jakimś prymitywnym, skomlałym, tchórzliwym ludem, lecz wielkim

narodem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jesteśmy ludźmi stworzonymi na obraz i podobieństwo Boga, wierzymy niezachwianie w wielką tajemnicę Istnienia.

Czyż nie jest prawdą, że niezbadane są granice bożej łaski? Że nie potrafimy zgłębić otchłani naszej własnej, pojedynczej duszy, a co dopiero otchłani Boga?

Wiemy tylko, że choć każdy z nas nosi inną skórę, wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami w Bogu.

Kaznodzieja przemawiał tonem pociechy. Tonem troski i wyrozumiałości. Głosem, który nie osądzał zbyt surowo. Głosem kogoś, komu nieobcy jest grzech.

Nie stał naprzeciwko wiernych, nie spoglądał z góry w uniesione twarze, lecz chodził między nimi główną i boczną nawą skromnego kościoła, nosząc się z lekkością i gracją prawdziwego pasterza. Często podnosił rękę i dotykał czyjś ramienia, głowy, wyciągniętej dłoni. *Bądź błogosławiony, mój bracie w Chrystusie. Bądź błogosławiona, moja siostró w Chrystusie! Bóg cię kocha.*

Kaznodzieja nie był tutejszy. Nie po raz pierwszy jednak wygłaszał gościnne kazanie w niewielkich rozmiarów kościele przy skrzyżowaniu Labrosse i Fifth Street, w cieniu drogi ekspresowej przecinającej śródmieście Detroit.

Wierni Kościoła Nieustającej Nadziei – blisko osiemdziesiąt osób, z których większość przekroczyła już pięćdziesiątkę, a tylko garstkę można by określić mianem młodych – wpatrywali się w Kaznodzieję w hipnotycznym

transie. Ten biały człowiek przemawiał do nich słowami, jakich rzadko mieli okazję słuchać, była to mowa wspa-
niała i wzniosła jak hymn, lecz w jego ustach brzmiała
czule niczym pieśniczota.

Nie musieli wszystkiego rozumieć, od tego mieli
swojego pastora Tindalla.

Kaznodzieja był wysokim mężczyzną w nieokreśl-
onym wieku – jego twarzy o surowo rzeźbionych rysach nie
pokrywały zmarszczki, stalowe oczy miał bystre i czuj-
ne, osadzone głęboko, brodę imponująco gęstą i ciemną.
Usta, które mogły być srogie i wykrzywione, uśmiechały
się ujmująco.

Kaznodzieja mówił podniośle, ale z iskrą w oku. *Moi
bracia w Chrystusie. Moje siostry w Chrystusie. Niech was
Bóg błogosławi!*

Ponieważ okazja była poważna, ubrał się w czerni.
Czarny płaszcz z cienkiej wełny, czarne spodnie z kan-
tem, czarne buty.

Ale ponieważ okazja była też radosna, miał na sobie
szkarłatną aksamitną kamizelkę i jedwabny szal w czar-
no-purpurową kratę.

Co najdziwniejsze, skóra Kaznodziei nie była ciemna
jak skóra parafian czy pastora Tindalla. Była blada, jak
gdyby wybielona, a gdy podeszło się bliżej, można było
dostrzec, że składa się ona z wielu cienkich i przezroczy-
stych warstw, albo łusek, niczym palimpsest. Kaznodzieja
był jedynym białym człowiekiem w kościele i podchodził
do swojego zadania z godnością i poczuciem misji.

Jego włosy w kolorze rdzy, z pojedynczymi srebrnymi nitkami podobnymi do błyskawic, opadały szeroko na ramiona. Przedziałek nosił pośrodku, a jego nobliwa głowa przywodziła na myśl rzeźby starożytnych.

Wierni wpatrywali się w niego jak w wysłannika z „białego świata”, który jednocześnie był jednym z nich.

Kaznodzieja powiedział kilka ciepłych słów o wielkim przywódcy Williamie Edwardzie Burghardcie Du Bois, który apelował, abyśmy dostrzegli piękno bycia czarnym – *albowiem to coś więcej niż sam kolor skóry. To piękno Chrystusa.*

Powiedział kilka ciepłych słów o pastorze Martinie Lutherze Kingu, który apelował, abyśmy nigdy nie zrezygnowali się naszego marzenia – *o pełnej integracji, o pełni praw obywatelskich, o pięknie Chrystusa, które ziści się w nas, Amerykanach.*

Następnie, zmienionym głosem, opowiadał o tym, jak dorastał w Detroit, bo właśnie tutaj przyszedł na świat, w tym mieście umiłowanym przez Boga, choć wystawianym przez Niego na ciężkie próby.

To tutaj, na gruzach podupadłej dzielnicy na południe od Cass Avenue, wykuwał się jego charakter. Na gruzach zawiedzionych nadziei. Teraz wśród zniszczonych domów wyrastały całe kępy drzew. Z popękanego asfaltu wystrzeliwały ogromne chwasty i cieniście krzewy. Tak wyglądał teraz dom jego dzieciństwa. Ojciec pracował w zakładach Fisher Body, dawno już zamkniętych. Dziadek pracował na centralnym dworcu

kolejowym, dawno już zamkniętym. Wszystkie te potężne budowle popadły w ruinę. Tak jak i elegancka aleja Woodwarda. Tak jak i wysokie budynki przy Bellevue Street, jak gdyby zniszczone przez biblijny kataklizm. A jednak boski duch nie opuścił Detroit. On wciąż tu jest i jeszcze da o sobie znać. Spójrzcie na ten niezwykły, barwny pejzaż kwiatów, roślin i ptaków. Zamieszkały tu dzikie zwierzęta. Smog nadał ceglanym murom piękny sepiowy odcień. Odłamki szkła na ulicach lśnią boskim majestatem. Ktoś mógłby pomyśleć, że Bóg opuścił Detroit, ale byłby w błędzie, albowiem Bóg nigdy nie opuści żadnego miejsca, w którym mieszkają ludzie, tak jak nie opuści żadnego człowieka. Wielki mąż chrześcijański Jan Kalwin rzekł: przyroda to lśniąca szata, która skrywa Boga i zarazem nam Go objawia.

Kaznodzieja był synem tej ziemi. Urodził się pierwszego dnia zamieszek w lipcu 1967 roku, kiedy to tłący się od dłuższego czasu niepokój wybuchł w Detroit żywym płomieniem.

Urodził się w domu przy Cass Avenue. Urodził się w czasach napięć na tle rasowym. Lecz teraz już wiemy, że jesteśmy błogosławieni.

Albowiem płonące miasto nad rzeką stało się symbolem oburzenia czarnoskórych ich sytuacją w Stanach Zjednoczonych, wówczas kraju hańby i obskurantyzmu, obłudy i fałszu. Bóg zesłał płomienie, by obnażyć niesprawiedliwość. Bóg był płonącym miastem, tak jak

w Starym Testamencie był płonąącym krzakiem. Takiego objawienia niepodobna było zlekceważyć.

Od tamtych wydarzeń minęły dziesiątki lat. Wiele się zmieniło.

Kaznodzieja mówił dobitnym głosem. Głosem tego, który wie.

A teraz, w nowym wieku, przepowiadano, że rasy staną ramię przy ramieniu. W tym nowym wieku prezydentem zostanie ciemnoskóry – Kaznodzieja wiedział, co mówi, ponieważ miał wizję.

Wierni słuchali jak zahipnotyzowani. Nie słysząc było nawet oddechów. Fantastyczna wizja kłóciła się ze wszystkim, co wiedzieli o świecie, a mimo to w głębi duszy wierzyli w każde słowo.

Wierzyli w każde proroctwo Kaznodziei.

Kazanie zbliżało się do końca. Kaznodzieja był wyraźnie poruszony własnymi słowami. Na jego palimpsestowej skórze zabłyśły łzy.

Bracia i siostry w Chrystusie, nasze życie to długa podróż po niezbadanych morzach. Nie usłyszycie ode mnie łatwych odpowiedzi na wasze wątpliwości, lecz uwierzcie mi, gdy mówię, że macie piękne dusze, a z tego piękna rodzi się piękno wiekuiste.

Wprost z mojego serca do waszych serc, drodzy bracia i siostry w Chrystusie, mówię wam: Amen.

Amen – rozległa się w kościele radosna odpowiedź.

Kazanie dobiegło końca. Kaznodzieja stanął z boku, blisko mównicy, a gdy chór zaczynał śpiewać – najpierw

Gdy patrzę na cudowny krzyż, potem Balsam w Gileadzie
– przyłączał się głębokim, donośnym głosem.

Teraz młodszy członkowie Kościoła bardziej rzucali się w oczy. Twarze promieniające młodością stanowiły co najmniej jedną trzecią chóru.

Na koniec nabożeństwa pastor Tindall uściśnął dłoń Kaznodziei. Zmącone jaskrą oczy pastora wezbrały łzami, jego cera przypominała spękaną skórę zwierzęcą. Nad ciemnym, lśniącym czołem powiewała bielutka grzywka. Był to człowiek próżny, zarazem jednak nieśmiały i pełen dobrych chęci. Widać było, że bardzo się szczyli przyjaźnią z elokwentnym białym kaznodzieją.

Dziękuję, bracie Chesterze! Właśnie na takie słowa czekaliśmy.

Pastor zaproponował Kaznodziei, by zjadł kolację z nim i jego rodziną. Kaznodzieja wytłumaczył mu jednak, że tym razem nie może skorzystać z gościny. Jest potrzebny gdzie indziej, czekają na niego.

Potrzebujących nie brakuje. Nieraz myślę sobie, że nie wolno nam zmrużyć oka, bo stracimy wszystko, cośmy zyskali.

Kaznodzieja lubił wygłaszać takie poważne, dobitne stwierdzenia. Ich sens nie zawsze był jasny, ale nikt nie wątpił, że Kaznodzieja wie, co mówi.

Bracie, odwiedzisz nas jeszcze kiedyś, prawda?

Oczywiście, że was odwiedzę, bracie. Cały czas będę z wami duchem.

Zebranymi podczas nabożeństwa 362 dolarami pastor Tindall i Kaznodzieja, znany w Kościele Nieustającej Nadziei jako Chester Cash, podzielili się po równo.

Minivan Kaznodziei stał w uliczce obok kościoła.

Był ciemny jak morski stwór, nawet okna były przyciemnione. Na dachu, przymocowany sznurem i pomalowany białą farbą, stał drewniany krzyż, na którym wielkie purpurowe litery układały się w napis:

K
O
Ś
C
I
Ó
Ł
NIEUSTAJĄCEJ
N
A
D
Z
I
E
I

Był to samochód marki Chrysler, rocznik 2000, z porysowaną karoserią, ale wyglądał na świeżo odmalowany

– najwyraźniej w pośpiechu, bo tu i ówdzie na szybach widać było ślady ciemnofioletowej farby w kształcie odcisków palców.

Pojazd był widoczny dla każdego, kto wychodził z kościoła. Przyciemnione szyby nie pozwalały jednak zajrzeć do środka.

Kaznodzieja najwyraźniej nie miał już w Detroit żadnych bliskich, bo nie umówił się z nikim ani nie chciał o nich rozmawiać. Zapytany przez pastora Tindalla o matkę, spuścił wzrok i odrzekł niewyraźnie: Płacz nadchodzi z wieczora, ale rankiem okrzyki radości.

Pastor zapytał Kaznodzieję o jego dziesięcioletniego syna, z którym przyjechał do Kościoła Nieustającej Nadziei poprzedniej wiosny.

Kaznodzieja zmarszczył brwi, jak gdyby nie mógł sobie przypomnieć, o kogo chodzi. Jak gdyby pytanie go zaskoczyło.

Cóż, Nostradamus wybrał inną drogę. Zamieszkał z matką i jej rodziną na Górnym Półwyspie.

To świetny chłopak – zauważył pastor. – Wspominałeś, bracie, że pójdzie w twoje ślady i zostanie duszpaste-rzem.

Był wtedy jeszcze dzieckiem. Nadal zresztą jest nie-dojrzały. Woli żyć wśród Filistynów, to jego wybór.

Kaznodzieja wypowiedział te słowa ze smutkiem, a zarośnięta twarz lekko mu zadrżała, jak gdyby pamięć o synowskiej zdradzie była świeża i bolesna.

Pastor Tindall już miał zadać kolejne pytanie, ale się rozmyślił, widząc, że Kaznodzieja oddycha szybko i bez uśmiechu gładzi brodę.

Z jego światłem kroczyłem w ciemności – powiedział ściszym, drżącym głosem.

Amen, bracie! – Pastor Tindall położył mu dłoń na ramieniu.

Będąc człowiekiem oszczędnym, unikającym niepotrzebnych wydatków, Kaznodzieja w trakcie podróży na ogół pomieszkował w minivanie. Trzymał w nim ubrania, książki i dokumenty, kuchenkę naftową, żywność w puszkach. Wizyty w małych parafiach i gościnne kazania należały do jego duszpasterskich powinności. Kościół Nieustającej Nadziei jest rodziną, mawiał. Jesteśmy braćmi i siostrami w Chrystusie. Pod skórą stanowimy jedność. Poznajemy naszych braci, gdziekolwiek ich spotkamy.

Stojąc w progu skromnego kościoła przy Labrosse Street, rozmawiając z pastorem Tindallem wczesnym wieczorem 12 kwietnia 2006 roku, Kaznodzieja zerkał na zaparkowany kilka metrów dalej minivan. Omiatał go spojrzeniem głęboko osadzonych oczu. W tym nieruchomym pojeździe, w jaskrawym fiolecie nadwozia, w świecącym białym krzyżu na dachu było coś, co przyciągało jego uwagę.

Bracie, jesteś pewien, że nie możesz u nas przenocować? Albo chociaż zjeść kolacji?

Pastor Tindall zdawał się rozczarowany. Jego zmęczone jaskrą oczy mrugały niespokojnie.

Kaznodzieja podziękował serdecznie. Trzymał już w ręku kluczyki do minivana. Uśmiechając się szeroko, wyjaśnił, że śpieszno mu na Zachodnie Wybrzeże, do Carmel, gdzie oczekują go wierni nowej parafii Kościoła Nieustającej Nadziei.

7

**DROGA I-80
MICHIGAN/OHIO
13-14 kwietnia 2006**

Daj mi rączkę.

Dziecko nie posłuchało.

Synu, mówię do ciebie. Daj mi rączkę.

Nie mogąc się doczekać, aż roztrzęsiony chłopiec spełni jego prośbę, Tatulo chwycił go za dłoń i ścisnął drobne paluszki tak mocno, że w najmniejszym chrupnięciu kość.

Dziecko zawyło w knebel.

Autostradą I-80 w kierunku wschodnim płynął potok aut.

Tatulo jechał z dozwoloną prędkością, dbając, by wiatr nie zerwał pomalowanego na biało drewnianego krzyża. Był cierpliwym kierowcą; nie przeszkadzało mu, że co chwila ktoś go wyprzedza. Pęd ciężarówek z wielkimi przyczepami wprawiał jego chryslera w lekkie kołysanie.

Są jak wędrujące dusze, pomyślał Tatulo. Te sznury pojazdów.

Był jednym z nich i zarazem ponad nimi. Należał do wąskiego grona ludzi, którym przypadł w udziale wyjątkowy dar widzenia.

Wyznawcy wschodnich religii wierzyli w istnienie trzeciego oka – znajdowało się ono na czole, tuż nad nosem. Można je było otworzyć dzięki medytacji i gorliwym praktykom religijnym, wówczas człowiekowi ukazywały się obrazy.

Tatulo był jedną z takich osób. Od dzieciństwa doświadczał wizji. Niczym rentgenowski aparat przenikał wzrokiem ludzkie ciało. Widział więcej niż inni.

Sekret tkwił w mózgu, w jego pobudliwej przedniej części, tuż za oczami, zwanej płatem czołowym. Neurony rozrzarzały się zniemacka, jak ciche błyskawice na czarnym lipcowym niebie.

Ale te naukowe opisy, będące zaledwie słowami, niewiele znaczyły dla Tatula, który rozumiał, że słowa są wynalazkiem człowieka i że ten, kto panuje nad słowami, panuje nad ludźmi.

Zwykli śmiertelnicy tego nie rozumieli. Tacy stanowili nieco ponad 99 procent gatunku *homo sapiens*.

Prawdopodobnie Budda doznał oświecenia, a więc nirwany – a może to było niebo hinduskie, a nie buddyjskie? – mniej więcej w tym wieku, w którym Tatulo, wówczas jeszcze tyczkowaty chłopak imieniem Chester Czechy, po raz pierwszy otworzył trzecie oko.

Wiedział, że jest inny niż wszyscy. Że przez całe życie będzie pielgrzymem, odbywającym (tajemną, rozkoszną) wędrówkę, której nikt nie będzie się domyślał.

Nawet jego rodzina. Zwłaszcza jego rodzina.

Tatulo uśmiechnął się na tę myśl. Nie widział „rodziny” – swoich „bliskich” – odkąd dwadzieścia sześć lat temu te kurwy wydały go, wtedy dwunastolatka, policji.

Teraz, na autostradzie międzystanowej, zwykłe oczy zamiast minivana widziały przytwierdzony do jego dachu lśniący biały krzyż.

Krzyż miał wysokość nieco ponad metr, pozioma belka była trochę krótsza.

Drewniana konstrukcja drżała na wietrze. Ale Tatulo, który miał wrodzony talent do stolarki, który był nie tylko wizjonerem, ale też złotą rączką, przymocował ją solidnie sznurem i drutem.

Krzyż prezentował się osobiwie: niektórzy kierowcy zapewne uśmiechali się na jego widok. Jedni z szacunkiem, inni z pobłażaniem dla tak dziwnego pomysłu. Ten i ów pewnie próbował odczytać purpurowe litery.

Większość po paru sekundach traciła zainteresowanie i kierowała wzrok gdzie indziej.

Policjanci, rozglądający się za porysowanym beżowym minivanem, tylko prześlizgiwali się spojrzeniem po opalizującym fioletowym aucie Kościoła Nieustającej Nadziei. Zresztą tablice rejestracyjne były z New Jersey. Porwanie miało miejsce w centrum handlowym Libertyville w Ypsilanti w stanie Michigan.

Tatulo uwielbiał być niewidzialny. A oczy zwykłych śmiertelników i głupców tak łatwo dawały się oszukać.

Wystarczyło przemaalować minivana opalizującą farbą w spreju, postawić na dachu biały krzyż – i od razu stawał się niewidzialny.

Tatulo nie pierwszy raz stosował tę sztuczkę. Człowiek, który co jakiś czas potrzebuje być niewidzialny, musi umieć stwarzać pozory, które zmylą zwyczajnych ludzi. A zwyczajni ludzie w swych nawykach i wyobrażeniach niewiele różnią się od dzieci.

Prawie niewidzialnym Tatulo stawał się choćby podczas łowów. Ubierał się wtedy jak zwyczajny człowiek – dokładnie w takie rzeczy, w jakich zwyczajny człowiek odwiedza w tygodniu centrum handlowe, żeby zrobić drobne zakupy w Home Depot.

Rozpięta nylonowa kurtka, T-shirt, dżinsy, wygodne spodnie. Buty do biegania, nienowe i niedrogie.

Na głowie czapka bejsbolowa, ale żadnej konkretnej drużyny. Kolor nieokreślony, może szary albo beż.

Zarost rzucał się w oczy, to fakt. Ale teraz był siwy, innego koloru niż na parkingu Libertyville. Poza tym Tatulo nosił przyciemniane okulary, nie można mu było spojrzeć w oczy.

W grającym cicho radiu słuchał najnowszych wiadomości na temat porwania w Ypsilanti. „Z ostatniej chwili”, jak zapewniał niezmordowanym głosem prezenter. Tatulo parsknął śmiechem, słysząc relację osoby,

która była w centrum handlowym na kilka minut przed porwaniem i która nie zauważyła, żeby ktokolwiek przyglądał się matce i dziecku – nie widziała nikogo podejrzanego.

Świadkowie zawsze się mylą. Widzą tyle, ile widzą ich oczy, nie dostrzegając tego, co nie widzialne.

Któregoś razu Tatulo obandażował sobie (lewą, gołą) nogę aż do kolana i bardzo sugestywnie kuśtykał o kulach. Stara sztuczka Teda Bundy’ego, którą łatwo przejrzę rozumne oko, a na której nie poznały się głupie, ufne oczy młodej matki ośmiolatka na placu zabaw w Carbondale w Illinois. *Przepraszam panią bardzo, czy zechciałaby pani mi pomóc – nie mogę otworzyć bagażnika -- kule mi przeszkadzają...*

Tym razem wybrał centrum handlowe Libertyville w Ypsilanti. Środkowy Zachód. Ann Arbor, miasto uniwersyteckie, z góry odrzucił jako zbyt ryzykowne, to nie był prawdziwy Środkowy Zachód, tam każdy skądś przyjechał i dokądś zmierzał. Za to Ypsilanti było ucieleśnieniem Środkowego Zachodu: miejscem bez właściwości.

Czyhał na zdobycz przez kilka dni. Miał przecucie, że los szykuje dla niego pięknego chłopczyka.

Rozglądał się to wewnątrz centrum, to na zewnątrz. Nie spieszyło mu się, z łatwością mieszał się z innymi tatusiami, którzy przyjechali na zakupy.

Grzecznie przepuszczał w drzwiach młode matki z dziećmi, a one rewanzowały mu się cichym „dziękuję bardzo”.

Prawie na niego nie spoglądały. Jedne pchały wózek, inne trzymały dziecko za rękę.

Szły dalej, nie oglądając się za siebie.

Jedno na sto dzieci zwracało uwagę Tatula. Jedno na dwieście budziło w nim rozkoszny dreszcz.

Może jedno na tysiąc przyprawiało go o drżenie serca.

Tatulo ufał wyższej sile, która przepływała przez niego i pozwalała mu widzieć.

Dziecko, które było mu pisane, rozpoznawał natychmiast.

Takie, które dla własnego zbawienia potrzebowało kogoś więcej niż biologicznego rodzica, potrzebowało takiego rodzica jak Tatulo.

Poszukiwanie było rozkoszą. Szukał niestrudzenie. Szukał niewidzialnie.

W centrach handlowych, na placach, w lunaparkach, na kempingach i szlakach turystycznych, na plażach. Unikał szkół, tam było zbyt niebezpiecznie.

No i oczywiście unikał placów zabaw (choć w ciągu tych dwudziestu pięciu lat zdarzały się wyjątki).

Najlepszą porą było późne popołudnie przechodzące w zmierzch. Na krótko przed rozbłyśnięciem latarni. Kiedy oczy dopiero oswajają się z gęstniejącym mrokiem.

Ludzie są wtedy zmęczeni. Młode matki garbią ramiona.

Tatulo delektował się każdą chwilą poszukiwań. Był cierpliwy i opanowany, przechadzał się wśród zwyczajnych ludzi, jakby był jednym z nich.

Ale nigdy nie był jednym z nich.

Jego pomysłowość nie znała granic. Wymyślił na przykład postać Kaznodziei. Ciemny strój i kontrastową szkarłatną kamizelkę oraz szal. Dostojne obejście, gest błogosławienia i promienny uśmiech.

Tatulo był młodszy niż Kaznodzieja. Nie tak pobożny, nie tak zapatrzony w siebie. Lubił żartować, co Kaznodziei w ogóle się nie zdarzało.

Tatulo myślał o Kaznodziei tak, jak myśli się o poczciwym wujku, któremu przydałoby się trochę luzu.

Kiedy jakaś kobieta dotykała dłoni Kaznodziei albo przesuwała palcami po jego ramieniu, albo nachylała się z uśmiechem w jego stronę, by szepnąć mu coś do ucha, zaprosić go na kolację, Kaznodzieja nie wiedział, jak się zachować i tylko sztywno się uśmiechał. Co innego Tatulo.

Kaznodzieja intrygował Tatula, lecz do czasu. Jego zaletą było to, że nieźle zarabiał. Kto napotkał pełne powagi i życzliwości spojrzenie Kaznodziei, ten zaraz miał ochotę sięgnąć do portfela, bo wspierając jego, wspierał – tak mu się zdawało – samego Jezusa Chrystusa. Jednak Tatulo z ulgą zrzucał z siebie strój Kaznodziei, składał go i chował w bagażniku minivana. Czuł się jak ryba w wodzie w swoim gibkim ciele młodego mężczyzny o szelmowskim uśmiechu, mężczyzny, który tańczy do rapu i rocka, mężczyzny, z którym człowiek chętnie by się napił.

Tatulo był lubiany przez innych mężczyzn. A już na pewno był lubiany przez kobiety.

Oraz przez dzieci. Przez chłopców poniżej dwunastego roku życia.

Tatulo był typem amerykańskiego wędrowca. Gdyby nie to, że osiadł (z grubsza) na Wschodzie, względnie na Środkowym Zachodzie, mógłby uchodzić za ranczera z Wyoming. Albo za (nie najmłodszego) autostopowicza w drodze na Zachodnie Wybrzeże.

Sam nie mógł się zdecydować, czy najlepiej czuje się w ruchu, w swoim wielokrotnie przemaalowywanym minivanie, podróżując na wschód lub na zachód autostradą I-80, czy może jednak w chwilach wytchnienia od podróży, kiedy zatrzymuje się gdzieś na dłużej, co najmniej na kilka miesięcy, czasem na rok. Gdziekolwiek był Tatulo, tam było jego królestwo.

Jak przemyślnie były jego strategie kamuflażu i ucieczki! Zwyczajni ludzie nie mogli tego pojąć.

Synu, jedziesz do domu!

Już niedługo będziesz w domu.

Słyszysz, co do ciebie mówię, synu? Myślę, że słyszysz.

Tatulo cię kocha.

Przez te wszystkie długie, zlewające się ze sobą godziny podróży przez wiejskie obszary Ohio i Pensylwanii, przez rzekę Delaware aż do New Jersey, Tatulo nie przestawał mówić przez ramię do dziecka z tyłu samochodu.

Tatulo zawiezie cię do twojego prawdziwego domu, bo Tatulo jest twoim prawdziwym ojcem, który cię kocha.

Dziecko, uwięzione w zmyślnie skonstruowanej „drewnianej dziewicy”, ani razu nie pisnęło.

Ani razu nie załkało w knebel.

Tatulo był ojcem surowym, lecz kochającym. Złamany paluszek dziecka usztywnił taśmą i patyczkiem. Dziecięce kości szybko się zrastają, trzeba tylko uważać, żeby nie zrosły się krzywo.

Chłopiec szybko się nauczył, że każde, choćby najmniejsze nieposłuszeństwo, będzie natychmiast karane. *Bez wyjątków! Zero pobłażliwości!*

Jeżeli natomiast będzie posłuszny, jak przystoi dobremu synowi, nagrodą będzie jedzenie, woda, kojący głos Tatula i czułe objęcia jego silnych ramion. *Ten jest mój syn umiłowany, w którym mam upodobanie.*

W ten sposób szybko nauczył się dobrego zachowania. Tak jak wszyscy przed nim.

Tatulo dużo czytał o warunkowaniu, pisał o tym wybitny amerykański psycholog Burrhus Skinner, a przed nim, jeszcze w dziewiętnastym wieku, Rosjanin Iwan Pawłow. Osobiście jednak wolał nagradzać i karać w taki sposób, aby wpoić dziecku miłość, strach, szacunek i całkowite oddanie.

W jego rękach dziecko było jak instrument, na którym czasem gra się delikatnie, a czasem wręcz przeciwnie. Grunt, by zawsze mieć nad nim pełną kontrolę.

Kiedy Tatulo zobaczył chłopca po raz pierwszy, dawał mu cztery lata. Był to stosunkowo młody wiek.

Chłopcy jedenasto-, dwunastoletni już go nie pociągali. Zaczynali dojrzewać. Tatulo szybko tracił do nich cierpliwość.

Im dziecko było młodsze, tym lepsze. Co nie znaczy, że Tatulo gustował w niemowlętach – co to, to nie! Zresztą niemowlęta były zbyt kłopotliwe. Wymagały kobiecej ręki.

Starsze dziecko miało pewne oczywiste wady: pamiętało poprzednią rodzinę, trzeba mu było pomóc o niej zapomnieć.

Jego wybraniec, szczebioczący wesoło do wielkanocnych króliczków, zrobił na nim wrażenie nadzwyczaj bystrego i elokwentnego. Tatulo był urzeczony!

I pomyśleć, że taki chłopiec miał przeciętną matkę.

Nie to, że była ordynarna jak niektóre. Nie malowała się krzykliwie, burobrązowe włosy schludnie zaczesywała za uszy, w których nie nosiła tuzina błyskotek. Miała na sobie dzinsy, ale nieobcisłe. Ściągnięty paskiem sweater wyglądał na zrobiony na drutach. Z tyłu pasek był skręcony, co przydawało jej niezamierzonej nonszalancji. Jej ciało było szczupłe, żyłaste. Prawie nie miała bioder ani piersi. Jakim cudem wyżywiła dziecko? Na pewno miała wodniste, zsiadłe mleko. To ma być matka? Chodziła w trampkach. Prosta srebrna obrączka na trzecim palcu lewej ręki krzyczała: „Tak! Może wam się to wydać nieprawdopodobne, ale ktoś mnie zechciał”. Wyglądała na trzydziestkę i najlepsze lata miała już za sobą: gdy jej twarzy nie rozjaśniał najbardziej banalny z uśmiechów,

wyraz matki miłości i dumy, była to twarz kobiety zmęczonej. Mąż pewnie wkrótce zacznie ją zdradzać, jeśli już nie zaczął. Komu by się chciało wtykać fiuta w coś takiego? Krótko mówiąc, to była bardzo zwyczajna kobieta, niezastępowalną na swoje pełne wigoru dziecko.

Chłopiec miał białą skórę, ale jego włosy były bardzo ciemne i bardzo kręcone. Tatulo poczuł dreszcz odkrycia: czyżby dziecko mieszanej rasy?

Nigdy wcześniej nie przywłaszczył sobie takiego dziecka. A bynajmniej nie był rasistą.

Chodził za nimi po centrum handlowym. Był cierpliwy i niewidzialny.

Zagląдали do wielu sklepów: JCPenney, Macy's, Sears. Spędzili trochę czasu w atrium, gdzie wszystkie dzieci lgnęły do zagrody z króliczkami jak ćmy do światła.

Tatulo rozglądał się wprawnym, byстрыm okiem. W miejscach, gdzie zbierają się małe dzieci, gdzie śmieją się i piskliwie rozmawiają, (zazwyczaj) pod opieką tylko jednego z rodziców, którym (zazwyczaj) jest matka, w takich miejscach często widuje się – Tatulo widywał ich prawie zawsze – samotnych mężczyzn w (zazwyczaj) średnim wieku, stojących nieco z boku, nie za blisko, by nie rzucać się w oczy.

Tatulo nie był jednym z nich. Nie był notowany za przestępstwa seksualne.

Śledząc matkę z dzieckiem do wyjścia, nie miał wątpliwości, że jego misja jest słuszna i konieczna i że nie wolno mu zwlekać – zwłaszcza po tym, jak matka przystanęła

na chwilę i wygrzebała z kieszeni swetra paczkę papierosów! Po czym szybko zapaliła jednego przy Bogu ducha winnym dziecku, kilka razy zaciągnęła się głęboko, jak gdyby trujący dym był dla niej życiodajnym tlenem, i ruchem pełnym wzgardy rzuciła papierosa na sąsiadujące z chodnikiem klepisko, gdzie leżało już kilka niedopałków po innych nonszalanckich i egoistycznych palaczach.

Palaczka, która próbuje zerwać z nałogiem, ale nie potrafi.

Palaczka, która wstydzi się swojej słabości. Słabości, o której ojciec dziecka być może w ogóle nie wie.

Bóg chciał, aby Tatulo przygarnął to dziecko.

Ruszył szybkim krokiem w stronę minivana. Będzie śledził ich wzrokiem. Nie mogą zniknąć mu z oczu. Wiedział z doświadczenia, że wszystko musi się odbyć bardzo szybko. Trzeba trafić w dobry moment, kiedy w pobliżu nie będzie świadków.

Ileż razy krążył wokół niedoszłej zdobyczy, zbliżał się do niej, by w ostatniej chwili wycofać się z powodu jakiegoś przypadkowego przechodnia.

Tym razem odebranie chłopca matce sprawiło mu więcej problemów, niż przypuszczał. Uderzył ją w głowę młotkiem z pazurem – wystarczająco mocno, by rozbić jej czaszkę, tak mu się przynajmniej zdawało. Upadła całkiem bezwładnie, lecz jakimś cudem po chwili dźwignęła się z jezdni niczym ogłuszony bokser i zataczając się, ruszyła w pogoń. Zdążył w tym czasie załadować

chłopca do auta. Był taki mały i lekki, a tak rozpaczliwie się bronił! Jak przerażone zwierzątko. Tatulo szarpał się z nim przez chwilę, aż wreszcie uciszył go ciosem pięścią w skroń.

Jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył, że matka biegnie za samochodem – i ten wyraz na jej zakrwawionej twarzy!

Zakręcił gwałtownie, żeby ją rozjechać. Suka! Jak śmie!

8

I-80, KIERUNEK WSCHODNI
OHIO, PENSYLWANIA
14 kwietnia 2006

Ze mną jesteś bezpieczny, synu.

Bóg przysłał mnie, żebym cię uratował. Najwyższy czas!

Kobieta, która się tobą opiekowała, była nieczysta. Wydała cię na świat, ale to jedyna rola, jaką miała do odegrania.

Twoje miejsce jest przy mnie. Tatulo będzie dla ciebie tatą i mamą.

Od teraz na zawsze. Amen.

Po uprowadzeniu dziecka zjechał z obwodnicy do swojej kryjówki pierwszym zjazdem za centrum handlowym Libertyville. Zawczasu zbadał okolicę i znalazł najdogodniejsze miejsce. Nikomu – to znaczy żadnemu zwyczajnemu człowiekowi – nie przyszłoby do głowy, że porywacz pozostanie w odległości kilku kilometrów od miejsca porwania. Wszyscy spodziewali się, że będzie chciał uciec jak najdalej. Z pewnością ustawiono blokady, radiowozy pędziły na syrenach. Ale Tatulo nie nale-

żał do tych, którzy dają się złapać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Znalazłszy się za opuszczoną stacją benzynową Shella, trzy kilometry na wschód od Libertyville, zaparkował samochód i umieścił przerażone dziecko w przygotowanej na tę okoliczność „drewnianej dziewicy”. Znowu zachwyciła go lekkość chłopca – lekkość jego kości. Nostradamus nigdy nie miał tak drobnych kości.

Zgodnie z planem Tatulo przemalował samochód na metaliczny ciemny fiolet. Po tym zabiegu sfatygowany minivan nabrał porządniejszego wyglądu. Tatulo nie działał w pośpiechu. Nie było takiej potrzeby. Na drogach stały blokady, policjanci jeździli jak dzieci z włączonymi syrenami, ścigając – no właśnie, kogo? Nikt nie widział twarzy Tatula. Włącznie z kobietą, którą przejechał, nawet w tamtej chwili, gdy uderzył ją przednim zderzakiem i upadła, nie na bok, tylko pod samochód, który powlókł ją po jezdni... To było dziwne doświadczenie. Gdyby z góry wiedział, jak to się dalej potoczy, pewnie miałyby nawet z tego frajdę – ot, zabawny incydent w doczesnym życiu. Ale wszystko działo się tak szybko, nie był na to przygotowany.

Jak zwykle pokierowała nim wyższa siła. Ostro zakręcił, wpadł w kontrolowany poślizg, zatrzymał się, a potem wyrwał do przodu i wreszcie udało mu się zgubić bezwładne kobiece ciało.

Jeżeli nie żyje, to sama jest sobie winna.

Przemaalowując minivana, pamiętał oczywiście o rękawiczkach. Robił to już nieraz, z chryslerem, a wcześniej z innymi samochodami. Sprawiało mu to pewną satysfakcję. Poczucie dobrze wykonanego zadania. Nowy lakier zawsze wyraźnie poprawiał wygląd pojazdu.

To było jak farbowanie brody na ciemny mahoń, ciemniejszy od włosów z rudawymi pasemkami. Aczkolwiek teraz pudrował ją jasnym pudrem, kobiecym pudrem do twarzy, który rozprowadzał po twardym zarostie pędzelkiem.

Tym sposobem postarzył się o dwadzieścia lat. Jeśli ktoś na niego spojrzy, zamiast szczupłego trzydziesto-dziewięciolatka zobaczy szczupłego sześćdziesięciolatka.

Czekając, aż lakier wyschnie, Tatulo zjadł kolację: danie na wynos z jednego z fast foodów w Libertyville. Miał słabość do cheeseburgerów z ostrym sosem chili, a także do frytek – mogły być nawet zimne.

Dziecko spało zamknięte w „drewnianej dziewicy”. Szmata nasączona chloroformem podziałała błyskawicznie, chłopiec był w końcu bardzo młody, ważył nie więcej niż dwadzieścia kilogramów.

Podobne substancje i lekarstwa, również takie, które wstrzykiwało się dożylnie, Tatulo woził w specjalnej skrytce w samochodzie. Zawdzięczał je swoim licznym kontaktom w szpitalach i przychodniach w różnych miastach, głównie kobietom zatrudnionym jako pomoc

pielegniarska. Parafiankom, które pracowały w publicznej służbie zdrowia i miały dostęp do wielu substancji kontrolowanych. Każda z tych kobiet wielbiła Tatula na swój sposób. Każda myślała: *Może to on! Będzie mnie kochał i chronił.* A gdy te uczucia nie wystarczały, Tatulo nie wahał się sięgnąć do portfela.

Chloroform dostał od pracownicy kliniki weterynaryjnej, którą poznał w parafii Kościoła Nieustającej Nadziei w Trenton w stanie New Jersey.

Tylko żeby to nie była żadna trucizna. Potrzebuję czegoś, co uspokoi nerwowego owczarka niemieckiego.

To mogło być dwadzieścia lat temu, kiedy Tatulo nie był jeszcze w pełni niewidzialny i zdarzały mu się potknięcia. Tamte wczesne lata, początek jego pielgrzymki.

Nie był wtedy jeszcze Tatulem. Był Chetem Cashem, a wcześniej Chesterem Czechu. Miał dwadzieścia jeden lat i właśnie wyszedł na wolność z więzienia dla niepełnoletnich w Wayne County.

Skurwysyny zamknęły go na dziewięć lat! Pracownica społeczna i obrońca publiczny, który reprezentował go w sądzie, utrzymywali, że nie wiedział, co robi, że wcale nie chciał udusić kuzyna, z którym tak wesoło dokazywał, ale te skurwysyny, prokurator i sędzia sądu rodzinnego, krzywo na niego patrzyli i wlepili mu najwyższy możliwy wymiar kary. To go nauczyło: *Musisz okazywać skruchę. Żal i skruchę. W przeciwnym razie jesteś głupcem i możesz mieć pretensje wyłącznie do siebie.*

Przez kolejnych osiem miesięcy sumiennie meldował się u swojego kuratora sądowego. Wiedział, że tak trzeba. Chet Czechi zrozumiał reguły gry.

Bądź uprzejmy. Bądź spokojny. Uśmiechaj się i mów: Tak jest, proszę pani! Tak jest, proszę pana! Nie daj po sobie poznać, że masz ich głęboko w dupie.

To wtedy zaczęły się jego podróże. Jego pielgrzymowanie.

Oczywiście regularnie wracał i stawiał się u kuratora.

Tamto dziecko było jego pierwszą własnością. Inne pojawiały się w jego życiu i znikwały, nie zostawiając po sobie śladu. Akt płciowy, jego wybuchowy finał, niewiele się różnił od zjedzenia posiłku czy wypicia szklanki wody.

Ale tamto dziecko, ten śliczny chłopczyk, na oko dziewięcioletni, o jedwabistych blond włosach, piwnych oczach i długich rzęsach, był jego pierwszym. Bo trudno liczyć nieszczęsnego kuzynka. To naprawdę był wypadek. I zarazem pierwszym, którego stracił.

Jego małe serce pewnego dnia przestało bić...

Chet Czechi nie wiedział, jak to się stało. Nie taki był przecież jego zamiar. Podał chłopcu tabletki valium rozpuszczone w cola-coli i wkrótce potem dziecko zapadło w śpiączkę, a potem umarło.

Tatulo wciąż nad tym bolał. Śliczny blondynek miał być jego synem.

W tamtych czasach działał w dość prymitywny sposób. Bez przemyślanego planu. Był niefrasobliwy, ulegał

impulsom. Zabrał chłopca matce o grubych udach, świńskim ryju i dużych, roztańczonych piersiach – odebranie dziecka komuś takiemu było rzeczą słuszną i sprawiedliwą.

Wydarzyło się to na parkingu przy autostradzie I-80, na południe od Erie w stanie Pensylwania. Chet Czechy zrobił postój, żeby się wysikać. Kiedy zobaczył dziecko z kobietą o świńskim ryju, był wniebowzięty, bo wiedział, że jest mu ono przeznaczone.

W podobny sposób wyłaniano dalajlamę. O ile dobrze pamiętał, nazywano tak kolejne wcielenia duchowego przywódcy Tybetu.

Dalajlama rodzi się w zwyczajnej rodzinie. Jego rodziców można by nazwać zastępczymi. Kiedy panujący dalajlama umiera, buddyjscy mnisi wędrują po wsiach w poszukiwaniu jego nowego wcielenia. Kierują się wizjami, intuicją. A może to sam dalajlama, niemowlę lub małe dziecko, przyciąga ich do siebie? To jak z bibliją Maryją i Józefem, których zadaniem było wydać Jezusa na świat i przygotować go do posługi.

Nie były to może identyczne sytuacje, ale istniało pewne podobieństwo. W wypadku Tatula dziecko rodziło się w zastępczej rodzinie, ale w rzeczywistości było jego synem. Wiedział o tym już jako dwudziestoparolatek, jako Chet Czechy; było to dla niego tak oczywiste jak to, że dwa plus dwa równa się cztery.

Jego logika była nieubłagana jak matematyka i geometria. Wewnętrzne oko budziło się w nim i widziało.

To, co kretyni z mediów nazywali „porwaniem” – „uprowadzeniem” – „kidnappingiem” – było w istocie aktem odwagi. Tatulo byłby tchórzem, udając, że nie widzi.

Nie planował niczyjej śmierci. Ani kobiety o świńskim ryju, ani tym bardziej ślicznego blondynka o piwnych oczach. Cóż, stało się inaczej.

Drogi Boga nie są naszymi drogami. Któż jest w stanie objąć je umysłem!

Od tamtego upalnego wieczoru na zachwaszczonym przydrożnym parkingu w Pensylwanii dzieliły go tysiące kilometrów. Wiele tysięcy kilometrów przerywanych długimi okresami życia domowego. Tatulo nigdy jednak nie przestał być pielgrzymem, albowiem każdy kolejny chłopiec, każdy odnaleziony syn, nieuchronnie dorastał, a co za tym idzie – tracił swój urok.

Setki, tysiące godzin. Niewprawne ręce Cheta Czechiego z biegiem czasu stały się pewnymi, wyćwiczonymi rękoma Tatula.

Nauczył się też lepiej dobierać środki uspokajające.

Teraz nie stanie ci się już żadna krzywda, synu. Tatulo cię uratował.

Jestem twoim prawdziwym ojcem, a ty – moim jedynym prawdziwym synem.

Bóg kazał mi uratować cię od płomieni.

Ziemię nawiedził wielki kataklizm, spadła na nią kula ognia. Miejsce, które nazywano „Ypsilanti”, przestało ist-

nieć. To zapowiedź Królestwa Bożego. Stary świat zginął, synu. Teraz czeka cię nowe życie.

Takimi słowami przemawiał Tatulo do dziecka w „drewnianej dziewicy”, żeby go słyszało, a z czasem i rozumiało. Głosem cierpliwym i przychylnym. Głosem czulej tkliwości. Głosem surowej miłości. Głosem mądrym. Głosem ponurym. Głosem radosnym. Głosem poważnym. Wiedział, że przerażony i bezsilny pięciolatek nie jest w stanie przyswoić sobie jego słów, lecz było jedynie kwestią czasu, by zaczęły przynosić efekt.

Nawet najbardziej oporna skała, gdy się ją wystawi na ciągłe działanie kropeł, w końcu ulega erozji.

Otworzył pokrywę „drewnianej dziewicy”, żeby dziecko widziało cokolwiek (nawet jeśli był to sufit miniwana) i żeby lepiej go słyszało. Krzyczeć nie mogło, bo miało w ustach knebel zaklejony taśmą.

Nie mogło płakać. Nie mogło prosić o litość.

Nie mogło skomleć.

Tatulo lubił dziecięce błagania – do pewnego stopnia. Nie lubił, gdy dziecięce błagania stawały się nieznośne.

Kaznodzieja był cierpliwszy. Miał więcej zrozumienia dla ludzkich słabości.

Ogólnie rzecz biorąc, Chet Cash, czyli Tatulo w swoim najbardziej niepozornym wcieleniu, nie lubił tchórzów. Podziwiał natomiast chłopców, którzy zuchwale stawiali mu opór, mimo że ściągali na siebie w ten sposób karę.

„Drewniana dziewczica” była jego autorskim wynalazkiem. Tak jak Jezus był cieślą, tak i Tatulo miał zwinne ręce, a majsterkowanie go uspokajało. Przyuczał też do rzemiosła synów. Dziecko nigdy nie było zbyt młode, by pomagać ojcu.

„Drewniana dziewczica” stanowiła ulepszoną wersję prostszej, mniej eleganckiej skrzyni, której Tatulo używał przed laty. Nadal była to skrzynia z wiekiem wyposażonym w zawiasy, zamki i rygle, teraz jednak wykonana z wysokiej jakości drewna wiśniowego. Kształtem przypominała dziecięcą trumnę, a chyba jeszcze bardziej – z racji eleganckiej konstrukcji – sarkofag małego faraona. Tatulo czasem fantazjował, co by powiedzieli stróżowie prawa, gdyby odkryli „drewnianą dziewczicę”. Gdyby nakryli Tatula i wyciągnęli z niego historię jego życia.

Nie miał wątpliwości, że jego historia jest warta miliony dolarów. O ile sprzedano by ją w drodze licytacji. Wymarzony materiał dla telewizji, dla któregoś z ambitniejszych kanałów kablowych – HBO albo Showtime. Bestseller o prostym, bezpretensjonalnym tytule: *Tatulo: moja historia*.

Stróżowie prawa byliby pod wrażeniem: *W życiu nie widziałem czegoś podobnego. Ten człowiek to artysta.*

„Drewniana dziewczica” została zaprojektowana z myślą o dziecku poniżej dwunastu lat: była długa na sto dwadzieścia centymetrów, szeroka na siedemdziesiąt i głęboka na dwadzieścia. Tatulo nigdy w życiu nie wybrałby otyłego dziecka!

Skrzynia składała się z dwóch stosunkowo niezależnych od siebie części: mniejszej górnej, czyli maski, i większej dolnej.

Maska, podobnie jak wieko trumny, otwierała się i zamykała na zawiasach i tak jak ono była wyściełana. Albowiem synowie Tatula zasługiwali na czułe i troskliwe traktowanie.

Dopóki dziecko było grzeczne, dopóty maska pozostawała otwarta.

Reszta „drewnianej dziewicy” była zwieńczona wiekiem na zawiasach, zamykanym na klucz. Całość pomysłano w taki sposób, by ręce uwięzionego w środku dziecka przylegały ściśle do jego boków. Nie było, niestety, możliwości, by dziecko mogło załatwić swoje potrzeby. Dlatego z czasem uczyło się ono panować nad swoim pęcherzem i odwlekać wypróżnienie do czasu, aż Tatulo pozwoli mu opuścić skrzynię i skorzystać z ubikacji.

Projektując „drewnianą dziewicę”, zmyślny Tatulo uczynił ją o kilkanaście centymetrów głębszą w nogach, by z łatwością zmieściły się tam stopy dziecka. Nie chciał przecież, by jego syn kulał!

Teraz już nic ci nie grozi, synu. Jesteś bezpieczny.

Niedługo będziemy w domu. W twoim nowym – prawdziwym – domu.

Zacniemy wtedy nową zabawę – w zapominanie.

Właściwie to już ją zaczęliśmy.

Spojrzał w lusterko wsteczne: coś się szybko zbliżało, migało, wyło. Radiowóz.

Policja stanowa Ohio. Czerwony kogut pojawił się znikąd, późną porą na autostradzie I-80 w kierunku wschodnim, dziesięć kilometrów przed granicą Pensylwanii.

Kilkanaście minut wcześniej Tatulo zatrzymał się na stacji. Zatankował do pełna i kupił w restauracji cheeseburgera z frytkami, surówką i ogromną diet coke na wynos. Kiedy zobaczył w lusterku radiowóz, był jeszcze w trakcie jedzenia z tekturowego pudełka na kolanach. Przeżuwając, zaczął się modlić. Jadł i modlił się jednocześnie, choć ledwie zdawał sobie z tego sprawę.

Z tyłu, w „drewnianej dziewicy”, dziecko leżało całkiem nieruchomo. Nie płakało ani nie próbowało się wydostać. Skrzynia już teraz była ciasna, a z czasem stanie się jeszcze ciasniejsza.

Radiowóz był coraz bliżej, aż w końcu, tak jak Tatulo się spodziewał, minął go, jadąc sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

Nawet na niego nie spojrzeli. Frajerzy, ciekawe, za kim tak pędzą?

Tatulo spociał się pod pachami i w kroczu. Nie mógł się jednak nie roześmiać.

W takich sytuacjach człowieka zawsze chwyta strach. Tatulo rzadko wpadał w panikę, ale strach towarzyszył mu dość często. A za sprawą adrenaliny przechodził w podniecenie. To było (prawie!) lepsze niż seks.

A podniecenie przechodziło w śmiech.

Z rozbawieniem słuchał radia. Po cichu, by dziecko za jego plecami nie słyszało. W sprawie porwania w Ypsilanti wciąż podawano śmiechu warte wiadomości „z ostatniej chwili”.

Tatulo był ciekaw – umiarkowanie ciekaw – czy matka przeżyła. Może zmarła?

Jeżeli przeżyła, należało się liczyć z tym, że widziała jego twarz przez szybę i być może jest w stanie ją opisać. Ale może (po cichu na to liczył) zmarła, co wprawdzie oznaczałoby, że niezidentyfikowany porywacz dziecka jest ścigany także za morderstwo, ale zarazem utrudniłoby jego schwytanie.

Los tej kobiety zależał od Boga. To On zdecyduje, czy nałogowa palaczka przeżyje, czy umrze.

O dwudziestej trzeciej, wjeżdżając do Pensylwanii prawie pustą autostradą, Tatulo dowiedział się z radia, że policjanci z Ypsilanti zatrzymali „podejznanego”.

Został „wskazany przez świadków”.

Tatulo nie mógł przestać się śmiać.

Poniekąd właśnie to zwycięstwo i ten śmiech sprawiały mu najwięcej radości. To był jego cel, a dziecko było tylko środkiem.

9

AUTOSTRADA I-80 PENSYLWANIA/NEW JERSEY 15–16 kwietnia 2006

Spał w samochodzie, na siedząco, w fotelu kierowcy. Często za dnia, nigdy dłużej niż godzinę.

Przypuszczał, że dziecko z tyłu też spało.

Na tym wczesnym etapie przesypiało większość podróży.

Odkąd wyjechali z Detroit w kierunku autostrady na wschód, Tatulo kilka razy zatrzymywał się na odludnych parkingach i doglądał chłopca. Musiał go myć i karmić. Nie miał wyboru. Nie lubił zwłaszcza sprzątania dziecięcego moczu i wodnistego kału i żałował, że nie ma kobiety, która mogłaby go w tym wyręczyć, był jednak sumiennym ojcem i spełniał swój obowiązek. W sklepie z używaną odzieżą przy Labrosse w Detroit kupił zapas dziecięcych ubrań, między innymi piżamę i skarpetki. Rzeczy, które chłopiec miał na sobie w chwili porwania, były już bardzo brudne i nadawały się do wyrzucenia.

Za każdym razem Tatulowi towarzyszył strach – osobliwie przyjemny dreszcz strachu! – że kiedy otworzy skrzynię, ukaże mu się twarz wiotka, blada i zgasła: że zamiast dziecka znajdzie w środku małego trupka.

Po raz pierwszy od chwili porwania Tatulo zerwał dziecku taśmę i wyjął knebel.

Musiał go wymienić, bo był obrzydliwy, cały nasiąknięty śliną.

Chłopiec łapczywie nabrał powietrza. Oczy mu się przewracały. Tatulo pochylił się nad nim i uśmiechając się, rzekł cichym, kojącym głosem:

– Cześć, Gedeonie! To ja, twój nowy tatuś. Twój Tatulo.

Chłopiec mrugał nerwowo. Źrenice wypełniały mu prawie całe oko. Choć był „mieszanej rasy”, twarz miał bladą jak kreda. Nie odpowiedział Tatulowi, tylko wpatrywał się w niego przerażonym wzrokiem zwierzęcia schwytanego w potrzask.

– Nazywasz się Gedeon, synu. To starożytne hebrajskie imię z Biblii. Gedeon znaczy „dzielny wojownik”.

Wcześniej chłopiec nazywał się Robbie Whitcomb. Ale to już przeszłość.

Tatulo podsunął mu do ust mały kąsek. Dziecko najwyraźniej nie zrozumiało, że to jedzenie, kąsek stoczył mu się po twarzy i wylądował gdzieś za głową.

– Gedeonie. Jesteś głodny i spragniony. Masz mnie słuchać.

Musiał otworzyć większą pokrywę i posadzić chłopca. Dziecko cuchnęło, trzeba je było umyć. Potem Tatulo z anielską cierpliwością próbował karmić je kawałkami cheeseburgera i poić colą.

Colą, w której rozpuścił wcześniej środek uspokajający, żeby nie miało problemów z zaśnięciem, gdy ruszą w dalszą podróż. Chłopiec jakby coś przeczuwał, bo nie chciał wziąć nawet łyka.

Kurczowo zaciskał usta. Miał zeszywniałe mięśnie szczęki. Nie był w stanie ruszać rękami ani nogami. Tatulo zrozumiał, że będzie musiał wyrwać go z tego paraliżu. Ale jeszcze nie teraz, nie na parkingu, na który w każdej chwili mógł ktoś zajechać.

W takich miejscach ludzie na ogół pilnowali swojego nosa. Wątpliwe, by ktokolwiek zwrócił uwagę na ojca próbującego przemówić synowi do rozumu. Nikt też nie podszedłby do minivana z krzyżem na dachu i nie zajrzał do środka przez ciemną szybę. Mimo to Tatulo wolał nie ryzykować.

Gdyby dziecko miało przynajmniej siedem, osiem lat, mógłby je zanieść albo zaprowadzić do łazienki, do kabiny toaletowej, i obmyć z grubsza pod kranem. Takie starsze dziecko zrozumiałoby, co Tatulo ma na myśli, kiedy mówi: „Jeśli ktoś wejdzie i choćby piśniesz, zabiję cię”. Ale mały chłopiec, w dodatku sparaliżowany strachem, mógłby nie zrozumieć i dlatego nie można mu było zaufać.

Tatulo podmył go zmoczoną gazetą i rzucił ją na ziemię, oddychając ciężko. Był zirytowany, ale się uśmiechał.

– Od teraz nazywasz się Gedeon, synu. Kiedy już będziemy w naszym nowym domu, ochrzczę cię jak należy. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Tatulo pogłaskał dziecko po głowie. Po tych rozkosznych gęstych kędziorkach. Pochylił się i przywarł ustami do jego nienaturalnie zimnego czoła; dopiero teraz chłopiec wzdrygnął się, zaczął dyszeć i kwilić jak ranne zwierzątko.

Przynajmniej zareagował. Opór to normalna reakcja, na początku.

Nostradamus początkowo też się opierał. A potem uległ.

A przed nim – Kanaan.

A przed Kanaanem – Księżę Pokoju.

Ich ciała spoczywały w górach Kittatinny w północno-zachodnim zakątku stanu New Jersey, niedaleko przełomu rzeki Delaware, pogrzebane pod kamieniami niebudzącymi żadnych podejrzeń u zwykłego człowieka.

Pozostały po nich już tylko kości, resztki skóry i włosów, zgniłe ubranie. Najpierw stracili swój dziecięcy wdzięk. Za bardzo urosli. Tatulo gustował w chłopczykach, nie w podrostkach. Jedenaście lat to już trudny wiek; Tatulo przeczuwał to, czego nie spodziewał się ani Nostradamus, ani Kanaan, ani Księżę Pokoju: że jego miłość do nich, a więc i jego cierpliwość, i ojcowska troska wkrótce się wyczerpią.

Dwunastolatkiowie byli za starzy. Trzynastolatkiowie budzili w nim wstręt.

Jego nowy syn był bardzo młody, według doniesień radiowych miał zaledwie pięć lat i cztery miesiące. Czekają ich zatem co najmniej sześć rozkosznych lat.

Tatulo nigdy wcześniej nie porwał tak młodego dziecka. Dotychczas uważał, że optymalny wiek to osiem, dziewięć lat. Ale wśród zakonników Kościoła rzymskokatolickiego panowało przekonanie, że najłatwiej posiąść duszę chłopca poniżej siódmego roku.

Długo nie rozumiał fragmentu jednego z psalmów: *Sprawiłeś, że usta dzieci i niemowląt oddają Ci chwałę, na przekór Twym przeciwnikom, aby poskromić nieprzyjaciela i wroga.*

Gedeon był młody, a zatem łatwiej go będzie ukształtować. Jego wspomnienia z Ypsilanti rozmyją się jak akwarele na deszczu.

Tatulo będzie go kochał całą miłością. Jego poprzedni synowie sprawili mu zawód, zordynarnieli. Między nim a Gedeonem nie będzie żadnej bariery. Gdy tylko znajdą się w domu, w Kittatiny Falls, rozpocznie kampanię miłości.

Będą stanowić jedność.

Oto moje ciało, oto moja krew. Bierz i jedz.

Oczywiście nie byłoby przyjemności, gdyby dziecko w ogóle się nie broniło. Tatulo oczekiwał oporu – w rozsądnych granicach. Podobnie ze starszymi chłopcami nie byłoby przyjemności, gdyby nie walczyli o przetrwanie.

Gedeonie. Zjesz grzecznie? Zrób to dla Tatula.

Tatulo delikatnie rozwarł dziecku szczęki. Chłopiec wzdrygnął się, przewrócił oczami w panicznym spazmie i w tej samej chwili omiotły ich światła reflektorów – jakiś samochód zjechał z drogi na parking.

Roztrzęsione dziecko nabrało powietrza, żeby krzyknąć, lecz Tatulo w porę zakrył mu usta.

Jeszcze tej samej nocy, przejechawszy wysoki, smagany wiatrem most nad rzeką Delaware, dotarli na farmę, a raczej na to, co z niej zostało, pięć kilometrów za miejscowością Kittatinny Falls.

Hopla, synu! Wyłaż stamtąd. No już.

Oto twój nowy dom, Gedeonie.

Tatulo nie odda cię już nikomu.

10

KITTATINNY FALLS
NEW JERSEY
27 kwietnia 2006

Kobieta wciąż stała w drzwiach. Jej oczy biegały po Checie Cashu jak wygłodniałe mrówki.

Chet, gdybyś czegoś jeszcze potrzebował, zadzwoń.

Dziękuję, Darlene.

Masz mój numer.

Mam, Darlene.

Całkiem tu przytulnie, co? Wystarczyło trochę uprzątnąć.

Świetnie się spisałaś, Darlene. Będziemy w kontakcie.

Mogę wpaść w przyszłym tygodniu, Chet. Mam teraz dużo wolnego. W przychodni skrócili godziny otwarcia stołówki. Mam więcej czasu.

Przykro mi to słyszeć, Darlene. To znaczy, mam na myśli te cięcia w przychodni.

Takie czasy, Chet. I jak tu odkładać? Mam dług na karcie kredytowej, to poważna sprawa.

Zadzwonię do ciebie, Darlene. Jeżeli nie w przyszłym tygodniu, to w następnym.

Ten pokój z tyłu trzeba przewietrzyć i wyszorować. Mogę to zrobić teraz, jest jeszcze wcześniej.

Nie, Darlene, dziękuję. Na razie może zostać tak, jak jest.

Pewnie masz tam sypialnię? Widziałam od zewnątrz, że rolety są zaciągnięte.

To dlatego, że muszę mieć ciemno, żeby się wyspać. Inaczej rano budzi mnie światło.

Pewnie masz płytki sen, co?

Wciąż nie ruszała się z progu, na przemian zwiąjała, rozwijała i wygładzała banknoty, którymi Chet Cash jej zapłacił. Dostała czterdzieści pięć dolarów w jedno- i pięciodolarówkach. Ubodzy parafianie z Kościoła Nieustającej Nadziei w Detroit nie dawali na tace większych nominałów. Wywietrzyła i wysprzątała pięć pokoiów na parterze starego wiejskiego domu przy Saw Mill Road. Umyła nawet okna. Chet Cash uśmiechał się do niej ustami, lecz nie oczami.

Darlene Barnhauser była grubokościstą kobietą sporo po trzydziestce. Tęgie ramiona, umięśnione (odsłonięte) łydki, liche klapki na stopach. Włosy miała z blond pasemkami, długie i gęste jak końska grzywa, upięte na czubku głowy w luźny niby-cygański kok. Pośrodku jej twarzy, okrągłej jak księżyc w pełni, sterczał perkaty nos. Z czerwoną szminką wyglądała trochę jak umalowana maciora, choć było w tym makijażu coś seksownego i dziewczęco zuchwałego. Na prawym ramieniu nosiła wytatuowaną różę, jakby rozmazaną. Mieszkała

w odległym o pięć kilometrów miasteczku Kittatinny Falls, przy River Road. Chet ostatni raz widział ją dziewięć miesięcy temu; od tamtego czasu przybrała na wadze, ale nie można było powiedzieć, że jest gruba czy sflaczała, za to krzepka, owszem – sama wyciągnęła drabinę ze starej stodoły i zaniósła ją do domu.

Ten śmiech pełen łagodnego obrzydzenia, gdy szorując na kolanach szafkę pod zlewozmywakiem, sięgnęła ręką w gumowej rękawiczce i wyjęła wyschniętego szczura.

Kurczę blade! Ten dom jest jak mauzoleum! – Śmiała się, próbując zwrócić na siebie uwagę.

Chet, który nie miał w zwyczaju sprzątać na klęczkach, zamiatał w tym czasie przedpokój.

Nie podobało mu się, że Darlene nigdy nie przychodzi w stroju odpowiednim do takiej pracy. Jak gdyby nie pozwalała jej na to kobieca duma. Wielka, silna dziewczyna w koszulce w kwiatki i różowych spodniach na gumkę, teraz całych w kurzu i pajęczynach. Była mokra od potu. Jej perkaty nos błyszczał. Ale dobrze się spisała i Chet był skłonny za jakiś czas znów do niej zadzwonić.

Wiesz, Chet – w jej głosie pobrzmiwał teraz odcień tęsknoty – brakowało nam ciebie. Wielu osobom. Bez ciebie w kościele było jakoś tak smutno i pusto. Pastor Prentiss też to czuł. Jak gdyby opuścił nas dobry duch.

Mnie też was brakowało, Darlene. Ale musiałem wyjechać.

Czasem tu przyjeżdżałam, rzucałam okiem, czy wszystko w porządku. Czy nikt się nie włamał, bo wiesz, młodociani wandalę lubią takie domy, w których nikt nie mieszka. A to jest ładny dom. Mimo że zarósł, no i szkoda tych jabłoni, nie przetrzymały zimy...

Zamilkła. Chet Cash powtarzał sobie w myślach: *Spokojnie. Zaraz sobie pójdzie.*

Tak, Darlene, odparł beznamiętnym tonem, który nie zachęcał do dalszej rozmowy. To miłe, że tak uważasz.

Trzeba by go tylko odmalować, no i dach naprawić. Ten kamienny komin też już się sypie. Mój szwagier Lyle jest świetnym cieślą. Jeśli chcesz, mógłby ci pomóc. Dać ci jego numer?

Dziękuję, Darlene. Może za jakiś czas. Ta podłoga z linoleum w kuchni nie wygląda źle, co? Wystarczyło ją porządnie wyszorować. Z wanny i toalety też udało się zmyć większość zacieków. W sedesie utopił się chyba jakiś mały gryzoń, pływały tam takie małe kości... Trzeba tylko włożyć w ten dom trochę pracy i nie można się zniechęcać.

Może – odparł Chet Cash, jeszcze usilniej się uśmiechając.

Ktoś tu z tobą zamieszka? Ktoś z rodziny?

Może.

Nostradamus?

Nie, Nostradamus jest z matką.

Nigdy jej nie poznałam! Dokąd go zabiera?

Do Michigan, na Górny Półwysep. Tam mieszka jej rodzina.

Szkoda! To taki słodki chłopak.

To prawda.

Ty i ona jesteście w separacji? Po rozwodzie?

Chet Cash jeszcze mocniej zacisnął usta w uśmiechu.

Daję ci jeszcze minutę, Darlene.

Korciło go, żeby chwycić ją za szyję i ścisnąć z całej siły.

Zakopałby ją tam, gdzie resztę. Ale musiałby ją wlec przez dwa kilometry, a potem wykopać dla niej grób, a nie miał na to siły, nie po długiej podróży z Michigan. Poza tym jej rodzina w Kittatinny Falls wiedziała, dokąd pojechała. A on musiał zająć się dzieckiem. Przemówił więc do niej z wielkim spokojem: Świetnie się spisałaś, Darlene. Zadzwoń do ciebie.

Dzięki, Chet! Tak jak mówię, trzeba tylko włożyć trochę pracy.

Kobieta z ociąganiem cofnęła nogę za próg. Jej twarz pokryła się rumieńcem. O tak, Chet Cash potrafił ją uszczęśliwić.

Masz numer do mnie na komórkę? Powinieneś mieć.

Tak, mam.

No dobrze. To dobranoc, Chet.

Dobranoc.

Ledwie uszła kilka metrów, odwróciła się jak żywotne dziecko, uśmiechnęła i pomachała.

Dobrze, że wróciłeś, Chet!

Ta kobieta będzie mi potrzebna. Bez jej pomocy się nie obejdzie.

Odprowadził Darlene Barnhauser wzrokiem do jej samochodu. Miała rozkołysany krok grubawego dziecka. Nie oderwał od niej oczu, dopóki nie wdrapała się do swojego głównianego saturna, z trudem wciskając tęgie cielsko za kierownicę, i nie odjechała.

Przez cały ten czas w Tatulu narastało podniecenie. Krew gorąca jak lawa napływała mu do pachwiny.

W sypialni z tyłu domu czekał jego syn.

11

YPSILANTI, MICHIGAN

Maj – czerwiec 2006

Czekali.

Czekali o każdej porze każdego dnia.

Kiedyś zadzwoni telefon i czyjś głos oznajmi: *Mamy dla pani dobre wieści. Znaleźliśmy pani syna. Robbie...*

Wiele zależało od tego, jak zakończy się to zdanie – *jest cały i zdrowy?* Albo – *żyje i nic mu nie jest?* Albo po prostu – *żyje?*

Ile by dała, żeby usłyszeć to jedno słowo.

– Zdrowy. Zdrowy.

Ćwiczyła mówienie swoim chropawym głosem. Poruszanie szczęką nie było już tak bolesne jak wcześniej, choć wciąż miała trudności z jedzeniem i unikała pokarmów, które wymagały gryzienia.

Ćwiczyła samotnie. Miała wiele ćwiczeń zaleconych przez terapeutkę i wykonywała je sumiennie. Do chodzenia po schodach używała już tylko jednej kuli.

*Gdybym miała artretyzm, byłoby mi tak samo ciężko.
A miliony ludzi chorują na artretyzm.*

Domowy telefon rzadko się odzywał, ale Dinah słyszała go często.

Krótki, pojedynczy dzwonek. Dałaby sobie uciąć głowę.

Nasłuchiwała z biciem serca. W pustym domu trudno było nie usłyszeć dzwoniącego telefonu, a mimo to bała się, że go przegapi.

*Czy rozmawiam z panią Whitcomb? Mam dobre wieści.
Przed chwilą dostaliśmy wiadomość...*

Było jej głupio, że pociesza się w ten sposób, ale nie umiała sobie odmówić ukojenia, jakie spływało do jej serca, kiedy własnym chropowatym głosem udawała cudzy głos w słuchawce telefonu – telefonu, który prawie nigdy nie dzwonił, bo numer był zastrzeżony i znała go wyłącznie policja.

Ćwiczyła na głos słowa, które miała nadzieję kiedyś usłyszeć:

– Znaleźliśmy pani syna. Robbie żyje.

Albo:

– Znaleźliśmy pani syna. Robbie jest cały i zdrowy.

Na tablicy korkowej w kuchni, na drzwiach lodówki i na ścianie nad telefonem wisiły zdjęcia Robbiego, samego i z rodzicami, jego rysunki ołówkiem i akwarele – Dinah codziennie wpatrywała się w nie niezliczoną ilość razy.

Sama w domu przy 7th Street. Często była sama.

Musiła zrezygnować z pracy na pół etatu w bibliotece Wydziału Biologii Uniwersytetu Michigan. Dostała urlop zdrowotny, ale nie wiedziała, kiedy wydobrzeje na tyle, by móc wrócić do pracy, a ponieważ chciała być w porządku wobec przełożonych, złożyła wymówienie.

Musiła też rzucić studia, choć tylko kilka zaliczeń dzieliło ją od tytułu magistra pedagogiki szkolnej.

Koledzy i koleżanki z biblioteki prawie przestali ją odwiedzać, bo nie miała im nic nowego do powiedzenia. Poza tym smutno było na nią patrzeć – na jej problemy z mówieniem i koordynacją ruchową, na oszpeconą twarz, na udawany optymizm.

Bardziej lojalni okazali się przyjaciele i sąsiedzi. Zwłaszcza że Dinah często siadała na werandzie i godzinami stukała w klawiaturę laptopa.

Internet nie dostarczył jej żadnych przydatnych wskazówek. Nadal jednak uważała, że to morze informacji.

Tyle zaginionych dzieci! Spoglądały na nią z ekranu wielkimi oczyma, jak gdyby błagając o pomoc.

Niektóre z tych zdjęć wisiały w internecie od lat.

Z niedowierzaniem patrzyła na zdjęcia dzieci, które porwano jeszcze w poprzedniej dekadzie.

Jednym z poszukiwanych był „Robbie Whitcomb, pięciolatek z Ypsilanti, Michigan. Uprowadzony z centrum handlowego Libertyville 11 kwietnia 2006 roku. Świadcowie widzieli zdezelowanego beżowego minivana. Jeżeli masz jakieś informacje o porwanym dziecku, zadzwoń pod bezpłatny numer...”

Przeglądając strony internetowe, można było odnieść złudne wrażenie, że te wszystkie porwane, wykradzione lub zaginione dzieci przebywają razem w jednym miejscu i czekają, aż ktoś je odnajdzie.

Kiedy już wypisano ją ze szpitala i widziała na tyle dobrze, by móc korzystać z komputera, każdego dnia dziesiątki razy wystukiwała na klawiaturze imię i nazwisko Robbiego. A także swoje i Whita.

Sprawdzała pocztę. Sto razy dziennie.

Whit ją przestrzegał. Dinah, bądź ostrożna.

Nie wiesz, co tam zobaczysz. Internet jest pełen popaprańców.

Dinah podejmowała to ryzyko. Dzień w dzień, godzina za godziną.

Raz przeczytała coś, co ją przeraziło i napełniło wstrętem: doklikała się do jakiegoś otwartego forum, na którym anonimowi użytkownicy rozprawiali o porwaniu jej syna.

„Podobno matka zgubiła go na zakupach. Powiedziała małemu, żeby na nią poczekał, bo chciała sobie zajarać. A jak wróciła, jakiś kolo w dredach ciągnął już małego do samochodu”.

„Powinni sukę aresztować za niedopełnienie obowiązków rodzicielskich”.

„Ej, przecież ona o mało nie zginęła. Porywacz ją przejechał. Biegła za nim, próbowała go zatrzymać”.

„Szkoda, że nie zginęła, byłoby o jedną głupią sukę mniej. Jak można zostawić dziecko bez opieki”.

Dinah z trudem wstała od komputera i po chwili upadła na kolana.

– Niech Bóg mi wybaczy. Wiem, że byłam złą matką.

– Wiesz, gdzie on teraz jest? Czy ty w ogóle wiesz, gdzie on bywa?

Matka siedziała na krześle w salonie z miną mitycznej furii. Jej szpony lśniły czerwonym blaskiem.

– Twój mężulek. Twój egzotycznej urody didżej.

Dinah milczała. Ból w oczodołach i w okolicy serca był nie do zniesienia.

Wiedziała, że matka ją obwinia. Z jakiegoś powodu to Whit odpowiadał za porwanie jej wnuka, a więc i Dinah ponosiła winę – bo się z nim przespała i za niego wyszła.

Whit Whitcomb od początku był u teściowej w niełasce, nie kwapił się bowiem do składania jej hołdów, jakich oczekiwała. Ona z kolei w rozmowach z córką rzadko potrafiła powstrzymać się od złośliwych uwag na temat jej małżeństwa z przedstawicielem „rasy mieszanej”.

– To nie znaczy, że jestem rasistką, Dinah. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Dinah skinęła głową. O tak, wiedziała aż nazbyt dobrze.

– Po prostu Whit jest – jak by to ująć – pewnym typem człowieka.

Innym niż my, pomyślała Dinah. To się zgadza.

Ojciec Dinah był kierownikiem średniego szczebla w Ford Motors w Dearborn w stanie Michigan. Mieszkali dawniej w Birmingham, na zamkniętym osiedlu willowym Bloomfield Vistas, zamieszkanym przez białych. Geraldine i Lewis McCrackenowie oraz ich córeczka Dinah, którą posłali do prestiżowej niepublicznej szkoły w miasteczku. W jej klasie było dwoje bardzo zdolnych dzieci z małżeństw chińsko-amerykańskich; żadnych Latynosów, ani jednego Afroamerykanina czy nawet przedstawiciela „rasy mieszanej”.

Innym niż my – Dinah aż się uśmiechnęła na tę myśl.
Bogu dzięki.

Sześć lat wcześniej Geraldine McCracken zauważyła, że Whit Whitcomb pali jointa na podwórku swojego niewielkiego, wynajmowanego domu w Ypsilanti. Choć sama miała słabość do whisky i nieraz, kiedy odwiedzała córkę, plątał jej się język, nie posiadała się z oburzenia. Marihuana jest nielegalna. Znajduje się na liście substancji kontrolowanych.

Whit odparł łagodnie, że może gdzie indziej, ale nie w Ypsilanti.

Był to żart, który jednak matki Dinah w ogóle nie rozbawił.

Po porwaniu, kiedy Dinah wypisała się ze szpitala i wróciła do domu, wizyty matki stały się częstsze. Z Birmingham do Ypsilanti było sześćdziesiąt kilometrów, ale to nie zniechęcało starszej kobiety, która jak sama wszystkim opowiadała, postanowiła poświęcić

swój wolontariat i życie towarzyskie w Birmingham, by pomóc swojej „niepełnosprawnej” córce.

Dinah zaczęła lękać się głosu matki, jej pukania do drzwi. Dinah? Wiem, że jesteś w domu. Otwórz, proszę.

Jeżeli akurat źle się czuła i leżała skulona na kanapie w salonie, matka obchodziła dom i przystaniając oczy od słońca, zaglądała do środka przez okno.

– Dinah, wpuść mnie albo zadzwonię na pogotowie. To nie jest normalne.

Czasem Dinah kładła się na łóżku Robbiego na piętrze.

Jego pokój, rzecz jasna, nie zmienił się od czasu porwania. Był to mały pokoik przylegający do sypialni rodziców. Będąc w ciąży, Dinah marzyła o wybiciu w ścianie drzwi łączących sypialnię z pokojem dziecka – zostawiałaby je otwarte na noc. Widziała takie rozwiązanie w bogatszych domach.

Teraz pokój dziecka był pokojem małego chłopca. Whit zrobił Robbiemu szklany regał na książki obrazkowe, których uzbierało się całkiem sporo. Czasem Dinah w paroksyzmie nadziei i strachu sięgała po którąś z tych książeczek – na przykład po ilustrowanego przepięknymi akwarelami *Najmniejszego liska* – i przebiegała wzrokiem znajomy tekst, który i ona, i Robbie znali na pamięć. Przypominała sobie, jak synek zaczynał czytać na głos razem z nią, przesuwając palcem po literach. Chwilami nawet ją wyprzedzał! Teraz znów miała w uszach jego głos i lzy stanęły jej w oczach.

Na błękitnych ścianach pokoju wisały rysunki i obrazki Robbiego, a także kilka zdjęć, które z takiego lub innego powodu sobie upodobał: niektóre przedstawiały jego, mamę i tatę; na jednym siedział z kolegami z przedszkola Montessori pod okiem wesoło uśmiechniętej pani Jameson; resztę stanowiły błyszczące fotografie zwierząt – dinozaurów, ogromnej ośmiornicy, lwów, słoni, żyraf, antylop, dzikich koni. Jakiś czas temu dostał bzika na punkcie koni i wymyślił sobie, że mamusia i tatuś kupią wiejską farmę, a on będzie miał własnego kuczka.

– A kto się będzie nim zajmował? – zapytał tata.

– Ja.

– Sam?

– Nie... Z mamusią!

Później nieraz wspominali z Whitem ten dialog. Dinah nie potrafiła wyjaśnić, co w nim było takiego zabawnego, ale za każdym razem oboje wybuchali śmiechem.

„Nie... Z mamusią!”

Niedługo potem Robbie poprzyklejał taśmą do ścian plakaty przedstawiające międzygalaktycznych wojowników z gier wideo, burząc nastrój dziecięcego pokoju. Dinah powiedziała Whitowi, że według niej to jeszcze nie czas na takie zainteresowania – Robbie ma dopiero pięć lat! Whit rozsądnie zauważył, że nie wolno im cenzurować własnego dziecka. Wykluczone.

Teraz, gdy Robbiego nie było w domu, Dinah zastanawiała się, czy nie zdjąć tych plakatów. Miała nadzieję, że kiedy wróci, nie będzie o nich pamiętał.

Późnym rankiem, kiedy otępiała od lekarstw snuła się po piętrze, zazwyczaj wchodziła do pokoju Robbiego i kładła się ostrożnie – nigdy nie rzucała się bezwładnie – na starannie zaślany łóżku.

– Robbie. Mój Robbie...

Leżała w bezruchu. Łzy zbierały jej się w kącikach oczu i spływały na policzki.

– To moja wina, skarbie. Dlaczego, dlaczego, dlaczego puściłam twoją rączkę?

Czekała ze wstrzymanym oddechem, aż Robbie do niej przemówi. Tak długo, że serce zaczynało jej bić nierównno.

– Słyszysz mnie, Robbie? To ja, mamusia. Szukamy cię, skarbie. Nigdy się nie poddamy. Nigdy.

Dinah! Dinah! – Na dole, od strony drzwi frontowych, rozległo się gwałtownie pukanie.

Jeżeli Dinah nie dość szybko zeszła, by otworzyć matce, jeżeli zabrakło jej sił, wówczas po chwili przerwy pukanie rozległo się ponownie, tym razem z tyłu.

Dinah! Jesteś tam? Gdzie jesteś? Wpuść mnie.

Otwórz mi, Dinah. Albo zadzwonię na pogotowie.

Chcąc nie chcąc, Dinah musiała kuśtykać na dół. Wpuścić furję.

Najchętniej powiedziałyby jej: „Miałaś w życiu okazję, żeby udowodnić, że jesteś dobrą, kochającą matką, i nie skorzystałaś z niej. Co cię teraz naszło?”

Geraldine wielokrotnie przeproszała Dinah za to, że była „zaaferowaną” matką. Oczywiście głównym

winowajcą był „twój ojciec – wiesz dobrze, że nas zdradził”.

Ojciec rozstał się z matką, gdy Dinah miała dziesięć lat. Odniosła wtedy wrażenie, że to matka wypędziła ojca z domu, a potem jeszcze śmiała się z tego i mówiła znajomym: *Krzyżyk na drogę! To nie jest prawdziwy mężczyzna.*

Dopóki miała dom przy Summit Drive w Birmingham. Dopóki dostawała comiesięczne alimenty.

Nie wyszła ponownie za mąż. Zapewne nie udało jej się znaleźć „prawdziwego mężczyzny” gotowego łożyć na jej utrzymanie.

Po zniknięciu Robbiego udzieliła kilku wywiadów lokalnej telewizji i gazetom. Opowiadała o swoim „straszliwym bólu” – jej ukochany wnuczek został uprowadzony „w biały dzień” – o „frustrującym” oczekiwaniu na rezultaty policyjnego śledztwa – o „ufności w Boga”, że Robbie się odnajdzie. Dinah czytała te wywiady z drzeniem serca, bojąc się pomyśleć, co tym razem jej matka pod wpływem impulsu powiedziała dziennikarzom. *Moja córka nie zrobiła nic złego. Ani na minutę nie spuściła dziecka z oka.*

Whit na widok tych wywiadów prychnął pogardliwie i ciskał gazetę na podłogę.

– Twojej matce to chyba sprawia frajdę! Można by pomyśleć, że znalazła nowe hobby w swoim nudnym życiu.

– Whit! Przecież ona nie kłamie. Kocha Robbiego. I też mocno to przeżywa.

Życie Geraldine McCracken miało teraz więcej dramaturgii. W kręgu swoich przyjaciółek – głównie rozwódek i wdów – znajdowała się nieprzerwanie w centrum uwagi.

Jej ufryzowane i rozjaśnione włosy lśniły jak sztuczna brzoskwinia. Kupiła sobie nowe ubrania, żeby mieć w czym wystąpić w lokalnym popołudniowym talk-show jako „pogrążona w smutku babcia zaginionego pięciolatka Robbiego Whitcomba z Ypsilanti”.

Pod koniec maja przez tydzień, może dziesięć dni, żyła czym innym – wykryto u niej torbiel piersi, konieczne było przeprowadzenie biopsji; przez ten krótki czas Geraldine McCracken ani razu nie odwiedziła córki, zadzwoniła tylko parę razy. Co za ulga!

Torbiel okazała się niegroźna. Matka wznowiła wizyty.

W końcu Dinah powiedziała jej, że muszą od siebie trochę odpocząć.

– Co to znaczy, że musimy od siebie odpocząć? Jak można powiedzieć coś takiego kobiecie opłakującej wnuka? Jedyne wnuka?

– Mamo, idź już sobie.

– „Idź sobie”? Niby dokąd?

Matka Dinah była zbyt zaskoczona, by się rozgniewać. Uważała najwyraźniej, że przebywając w domu córki i zięcia, ma święte prawo odbierać telefony i wypowiadać się autorytatywnie na wszelkie tematy związane z Robbiem; że ma święte prawo odpowiadać na pytania reporterów i udzielać wywiadów, nie troszcząc się o to,

kim są ci reporterzy ani dla jakiej gazety pracują – o ile w ogóle dla kogoś pracują. Miała święte prawo oznajmić do słuchawki: „I moja córka, i mój zięć są gorliwymi chrześcijanami. Modlimy się, żeby Robbie do nas wrócił. Zapewne nie trwałoby to tak długo, gdyby policja mniej się patyczkowała”.

– To pewnie pomysł Whita, czy mam rację? Twojego... męża.

Wymawiając to słowo, wydeła wargi.

– Nie, mamo. To nie Whit. To ja. Proszę cię, idź już sobie.

– Jesteś chora. Niespełna rozumu. Nałykałaś się za dużo tabletek. Jak mam cię zostawić samą?

– Nie nałykałam się za dużo tabletek! Biorę mniej, niż mam przepisane. – Dinah starała się zachować spokój.

Zdawało jej się, że z sąsiedniego pokoju dobiega wesoły szczebiot Robbiego. Miał do niej mnóstwo pytań – musi tam pójść i go uściskać.

– Dinah, nie wiem, czy nie będę musiała tego zgłosić. Zadzwońię do szpitala... do twojego lekarza...

– Mamo, idź sobie! Zadzwońię do ciebie, jak będę chciała się z tobą zobaczyć, ale to nie stanie się prędko.

Teraz to Dinah była wściekła. Wcale nie miała umysłu zmaconego przez leki, przeciwnie, zyskała jasność widzenia, okrutną i bezlitosną jak ostrze noża. Ukryła udręczoną twarz w dłoniach z nadzieją, że gdy je opuści, Furia zniknie.

Twój mążulek. Gdzie on się podziewa?

Przez większość tygodnia Whit siedział do wieczora w radiu – albo gdzie indziej.

Od czasu porwania regularnie, co najmniej dwa razy w tygodniu, zaglądał na komisariat policji w Ypsilanti. Aktywnie uczestniczył w poszukiwaniach syna. Organizował lokalne grupy ochotników, którzy szukali chłopca i rozwieszali plakaty w miejscach publicznych. Udzielił wielu wywiadów dla radia i telewizji, jeździł po Michigan, Ohio, Indianie i Minnesocie i rozmawiał z tamtejszymi stróżami prawa, policją miejską i stanową, szeryfami. Był w stałym kontakcie z oficerami FBI przydzielonymi do sprawy. Twarz Whita Whitcomba – skupiona, zboląta i szczerą – stała się równie rozpoznawalna jak twarz poszukiwanego Robbiego Whitcomba.

Whit zaangażował się w działalność fundacji Zaginione Dzieci Ameryki, kilka razy wystąpił w ogólnokrajowych telewizjach – CNN, MSNBC.

W stacji WCYS-FM nadal prowadził swoją popularną audycję, do której teraz mogli dzwonić słuchacze. Wielu z nich składało mu na antenie wyrazy współczucia.

Spotykał się ze znajomymi. Nie z tymi, którzy byli również znajomymi Dinah, tylko z kolegami z czasów kawalerskich. Nieraz po powrocie do domu pachniało od niego alkoholem.

To zapach rozpachy – myślała Dinah. Nie mogę mieć do niego żalu.

Jej matka dawała jej do zrozumienia, i to mało subtelnie, że „ktoś taki jak Whit Whitcomb” nie wytrwa długo w wierności małżeńskiej. *Tacy jak on mają to w genach.*

Co właściwie chciała przez to powiedzieć? Przecież jego geny musiały być bardzo zróżnicowane – czy nie na tym właśnie polegała przynależność do „rasy mieszanej”?

Wcale by się nie zdziwiła, gdyby jego korzenie sięgały jakiegoś starożytnego królestwa w Afryce.

Chodziło pewnie o to, że Whit nie będzie jej wierny teraz, kiedy jest niepełnosprawna. I ma oszpeconą twarz.

Matka zaprotestowała: po prostu jest z nią szczerą! Mówi to, co myślą wszyscy.

Prawdą było, że Whit spędzał poza domem dwa razy więcej czasu niż dawniej. Dinah często jadła obiad sama, co wcześniej prawie się nie zdarzało. Whit przestał też oglądać kanały, które zwykł oglądać razem z nią i z Robbiem: Animal Planet, Discovery, Comedy Central; w ogóle nie włączał już telewizora. Będąc w domu, siedział głównie przed komputerem, szperał w internecie i obsesyjnie sprawdzał pocztę.

Nie zapominał jednak przynajmniej raz dziennie zadzwonić do Dinah – zawsze na komórkę, nigdy na specjalny numer domowy.

Cześć, skarbie. Jak leci?

W porządku. A u ciebie?

Świetnie.

Coś nowego?

Nie bardzo. A u ciebie?

Nie bardzo.

Potem chwila ciszy. W tle jakieś podniesione głosy, czasem śmiech. Whit przebywał w jasnym świecie pełnym ludzi, w świecie, z którego Dinah na razie była wykluczona.

Jesteś bardzo obolała?

Nie, nie jest źle.

W nocy chyba źle spałaś?

Naprawdę? Nie.

Może dzisiaj będzie lepiej.

Może.

Kocham cię, Dinah.

Ja ciebie też, Whit.

To do zobaczenia.

O której?

Najpóźniej o dziewiątej. Obiecuję.

Nie zawsze dotrzymywał obietnicy.

Nie robiła mu wyrzutów. Leżała na kanapie do północy i oglądała telewizję, a właściwie nie tyle oglądała, ile skakała po kanałach, jakby czegoś szukała – tylko czego? W szpitalu i na rehabilitacji straciła mnóstwo kilogramów, teraz łapczywie zajadała mrożony jogurt prosto z pojemnika, zaspokajała swój rozpaczliwy apetyt i gardziła sobą. Potem zawlekała się na górę, do łóżka.

Już nigdy nie będzie chciał się ze mną kochać. Jestem ludzkim wrakiem.

Oddałabym to – oddałabym wszystko – za Robbiego.

Większość nowych znajomych Dinah stanowiły kobiety z kliniki rehabilitacyjnej. Fizjoterapeutki, pielęgniarki, inne pacjentki. Klinika to mały, zamknięty świat. Człowiek szybko uczy się obowiązującego tam języka. Fizjoterapeutka Dinah, Jamajka Rachelle, miała miękkie palce o kojącym dotyku, ale silne i zwinne. Kiedy Dinah się rozklejała i zaczynała płakać z bólu i rozpacz, Rachelle mówiła jej: *Już dobrze, skarbie, zaraz przestanie. Za trzy minuty poczujesz się lepiej, zobaczysz.*

Kiedy spoglądała na nią inna pacjentka, Dinah zwalczła w sobie odruch, by zasłonić twarz dłonią, uśmiechała się i zagajała rozmowę.

Jestem w trakcie „rekonstrukcji”. Miałam poważny wypadek. Czeka mnie jeszcze co najmniej jedna operacja, może dwie.

Oraz:

Wcale nie jest tak źle, jak wygląda. Dobrze widzę i mam piękne nowe zęby.

Osoba dotknięta kalectwem szybko zdaje sobie sprawę z pewnych jego zalet. Nikt nie wzbudza większej sympatii niż uśmiechnięta kaleka.

Opowiadała o Robbiem, gdy ją o niego pytano. Mówiła wtedy cicho, spokojnie, bez przestojów. Wiedziała – wszyscy jej to powtarzali, na czele z policją – że im więcej ludzi będzie wiedzieć o zaginięciu jej syna, im więcej ludzi zobaczy jego zdjęcie i będzie w stanie go rozpoznać, tym większa szansa, że pojawi się jakiś trop.

Policja twierdziła, że wiele zaginionych dzieci odnajduje się właśnie w taki sposób – przez niesamowity zbieg okoliczności.

Tak, poszukiwania trwają – mówiła pogodnym tonem. Latem będziemy trochę jeździć, prawdopodobnie po Michigan. Poza głównymi miastami. Oczywiście policja i FBI cały czas pracują nad tą sprawą, obiecali, że się nie poddadzą.

Nie dawała po sobie poznać, że czasem, w chwilach czarnej rozpacz, pragnie śmierci. Że czasem, w chwilach frustracji, ma ochotę krzyczeć. W razie potrzeby tłumiała płacz rącznikiem. Płakała i płakała, aż oczy jej puchły i czerwieniały i nie miała już więcej łez. Kryła się z tym nawet przed Whitem.

On chrapał w łóżku, ona szlochała w ręcznik na podłodze w łazience.

Nawet paznokcie u stóp miała zdeformowane, rosły krzywo. Wszystko w niej było ułomne i wypaczone, wszystko prócz ostrego jak brzytwa wspomnienia chwili, gdy ktoś wyrwał dłoń jej dziecka z jej dłoni.

Wiedziała, że Robbie żyje. Że tęskni za nią.

Tęskni za nią i za tatusem. Gdziekolwiek jest.

Skąd miała pewność? Po prostu wiedziała.

Tak czekali.

2

KITTATINNY FALLS

NEW JERSEY

Lipiec – sierpień 2006

Gedeonie? Chodź tu, synu.

Bose dziecko zbliżyło się nieśmiało.

Patrzyło wzrokiem osłupiałym z przerażenia.

Miało na sobie spodnie od piżamy.

Na jego klatce piersiowej mlecznobiała skóra ciasno opinała żebra.

Chodź na kolana do Tatula, Gedeonie. No chodź!

Dziecko stało jak zahipnotyzowane.

Gedeonie, słuchaj, co do ciebie mówię. Chodź na kolana do Tatula.

Znajdowali się w telewizorni, jak nazywał ją Tatulo.

Skórzana kanapa, jedno krzesło. Ratanowy dywan. Trzydziestocalowy telewizor. W jednym z okien hałaśliwy klimatyzator, parny letni upał New Jersey. W obydwu oknach ciężkie adamaszkowe kotary oraz czarne żaluzje.

Nadeszła pora przytulania.

Darlene? Cześć.

Uznał, że może już do niej zadzwonić i zamówić sprzątanie. Przedstawić jej Gedeona.

Chłopiec był bardzo cichy, można by pomyśleć, że głuchoniemy. Mało prawdopodobne, by rozgadał się lub rozplakał przy obcej osobie, jaką była dla niego Darlene Barnhauser.

Mogłabyś wpaść? Kiedy by ci pasowało?

Poznasz mojego synka Gedeona.

Tak, będzie u mnie mieszkał przez całe lato. Przywiozłem go z Traverse City.

Darlene wyrwała się z jakimś głupim żarciem na temat matki chłopca. Chet Cash zaśmiał się sucho.

Tak, Darlene, powiedzmy, że coś w tym rodzaju. Ale nie mówmy o niej przy nim, dobrze? Nigdy.

Oczywiście, Chet – obiecała, poważniejąc.

Prawda była taka, że na dłuższą metę trudno się obejść bez kobiety. Pucowanie łazienki, szorowanie naczyń, wietrzenie pościeli na sznurkach, zmywanie lino-leum w kuchni – to nie są męskie zajęcia, a jeśli człowiek nie mieszka z kobietą lub przynajmniej z nią nie sypia, musi jej zapłacić.

Chet był tym nieco poirytowany. Ale niech tam, Darlene jest w porządku. Tutaj, w prowincjonalnym zakątku New Jersey, nie brakowało białej biedoty, podobnej do tej z gór Ozark w Appalachach. Małe drewniane domki, całe miasteczka przyczep mieszkalnych. Kiedy Darlene rozwierała usta w uszminkowanym

uśmiechu, widać było, że zęby ma szczerbate i przebarwione.

Śmiać mu się chciało na myśl, że ta kobieta się w nim kocha.

On, Chet Cash, miał władzę nad kobietami.

Podobał im się jego pewny krok, włosy związane z tyłu w kucyk. Koszulki uwydatniające umięśnioną klatkę piersiową, dżinsy nisko zawieszzone na biodrach. Błyszczący rozporek.

Broda, z której zmył już puder, znów była ciemna w odcieniu mahoni, stercząca i męska.

Chet Cash był właścicielem nieruchomości, o czym wielu mieszkańców tej zapadłej okolicy mogło jedynie pomarzyć.

Odziedziczył stary dom przy Saw Mill Road wraz z sypiącymi się zabudowaniami gospodarczymi i czterdziestoma akrami ziemi uprawnej po pewnej kobiecie, którą poznał w latach dziewięćdziesiątych w parafii Kościoła Nieustającej Nadziei w Trenton w stanie New Jersey.

Sześćdziesięciodziewięcioletnia wdowa szukała mężczyzny, który jej nie porzuci, tak jak to uczyniły jej dorosłe dzieci, i znalazła go w osobie dobiegającego wtedy trzydziestki Cheta Casha. Nazywała się Myrna Helmerich, a później – na krótko przed tym, zanim w 1999 roku zmarła w swoim przytulnym ceglanym domku w Trenton z powodu niewydolności serca – została panią Cash.

Było to jedyne małżeństwo w życiorysie Cheta Casha. Nie wiedział o nim nikt prócz duchownego, który poświęcił ich związek.

Ślub był jak najbardziej prawomocny, udzielił go pastor Thornton Silk w Kościele Nieustającej Nadziei przy South Washington Street w Trenton.

Prawie siedemdziesięcioletnia panna młoda wyszła za mąż po osiemnastu latach wdowieństwa. Jej długowłosy, brodaty wybranek miał wtedy lat trzydzieści jeden. Oboje byli gorliwymi chrześcijanami, członkami wielorasowego Kościoła Nieustającej Nadziei. Myrna Helmerich w 1968 roku pomagała jako wolontariuszka przy kampanii Eugene'a McCarthy'ego w prawyborach prezydenckich, w latach siedemdziesiątych udzielała się w organizacjach broniących praw obywatelskich. Do ślubu poszła w sukni z białego muślinu, z konwaliasami wplecionymi w srebrnobiałe włosy, które opadały jej swobodnie na ramiona. Wyglądała tak baśniowo, że zdawało się, że stąpa boso, lecz miała na stopach białe baletki. Chet Cash był ubrany w elegancki garnitur z purpurowego aksamitu, kupiony w sklepie z używaną odzieżą w Trenton. Przystrzygł sobie brodę i związał włosy srebrną wstążką. Różnica wieku nie miała dla nich żadnego znaczenia. Myrna często powtarzała, że młodość to stan ducha. Chet Cash powtarzał, że Myrna jest wybranką jego serca.

Zgodnie z prawem stanu New Jersey w razie śmierci jednego z małżonków jego własność przechodzi na dru-

giego. Na wszelki wypadek Cashowie spisali też testamenty.

Ponadto każde z nich ubezpieczyło się na kwotę pięćdziesięciu tysięcy dolarów – był to pomysł Cheta, do którego Myrna się przychyliła.

Oprócz domu w Trenton Myrna posiadała gospodarstwo nieopodal Kittatinny Falls, lecz nie przywiązywała do niego większej wagi, ponieważ od lat tam nie zaglądała i mogła się tylko domyślać, w jakim jest stanie.

W niewielkim kościele przy Washington Street, gdzie się poznali, Chester Cash śpiewał w chórze i pomagał młodym ludziom z problemami, a Myrna Helmerich dyrygowała chórem i pomagała samotnym matkom. Chet Cash cieszył się dużą popularnością wśród członków Kościoła i wkrótce zwerbowano go do udziału w miejskim programie pomocy potrzebującym, który władze stanowe zgodziły się dofinansować kwotą miliona dolarów.

Niedługo potem Chet Cash został skarbnikiem programu pomocy. Burmistrzowi Leanderowi Hollisowi spodobał się ten biały człowiek z poczuciem humoru. Od tej pory to Chet Cash robił przelewy i wypisywał czeki. Lubił mawiać: *We właściwym miejscu o właściwym czasie. To właśnie nazywamy przeznaczeniem.*

Oprawione w ramkę zdjęcie, na którym Chet Cash i burmistrz Hollis uśmiechają się i ściskają sobie dłonie, zawisło najpierw na ścianie w domu Myrny Helmerich w Trenton, a później w domu w Kittatinny Falls, który

Chet po niej odziedziczył. Obaj mężczyźni na zdjęciu byli przystojni: Chet Cash przypominał trochę zarośniętego Brada Pitta (tak twierdziły jego wielbicielki), a Leander Hollis – byłego mistrza wagi ciężkiej George’a Foremana. Chet był zawiedziony, że jego przyjaźń z popularnym politykiem Partii Demokratycznej z czasem się urwała, budził się nieraz w nocy i zastanawiał dlaczego.

Miał nadzieję, że nie zadecydowały o tym względy rasowe. Nie podejrzewał Hollisa o tak prymitywne uprzedzenia.

W tamtym czasie synem Tatula był jasnowłosey Kanaan. Niewiele dobrego dało się powiedzieć o ostatnich latach jego życia. Jeszcze przed jedenastymi urodzinami zaczęły mu wychodzić pryszczki, spochmurniał, miał nadwagę, był ospały i cierpiał na zaparcia, jadł z Tatulem niezdrowe jedzenie i gapił się w telewizor do późna w nocy. Kiedy nie oglądał *Strażnika Teksasu*, *Prawa i bezprawia*, *Z archiwum X* albo wrestlingu, grał w gry wideo – zawsze te same trzy czy cztery gry, które kupił mu Tatulo. Kanaan nie chodził do szkoły. Chet Cash sam zajmował się jego edukacją. Matka zmarła nagle na raka. Taką wersję słyszał każdy, kto interesował się chłopcem, lecz niewielu sąsiadów o niego pytało. Ojciec i syn mieszkali na górze w dwupiętrowym domu z piaskowca przy Trotter Street, blisko skrzyżowania ze State Street, niespełna dwa kilometry od budynku stanowego kongresu. W zapuszczonej okolicy pełnej lombardów znajdowały się również sąd stanowy oraz sąd hrabstwa Mercer.

W ostatnich latach życia Kanaan najchętniej siedział w domu. Uważał, że śródmieście Trenton jest do dupy. Parę razy zdarzyło mu się uciec, ale zawsze wracał do Tatula przed wieczorem. Nie miał oczywiście żadnych kolegów. Jego przyjaciółmi były postacie z telewizora i z gier wideo, które zabijał i przez które był zabijany. Niczym pies trzymany zbyt długo na łańcuchu w piwnicy stracił zainteresowanie światem zewnętrznym. Jeżeli pamiętał swoją dawną rodzinę z prowincjonalnej miejsciny w Ohio, nie dawał tego po sobie poznać. Tatulo przypuszczał, że jego mózg był jak tabula rasa – podobało mu się to wyszukane określenie na czystą tablicę, którą można zapisać dowolną treścią albo po prostu pozostawić pustą.

Kanaan czasem płakał. Z łazienki dochodziło wtedy stłumione siąkanie.

W łóżku Tatula był bierny i uległy. Nauczył się nie stawiać oporu, ale nie nauczył się dobrowolnie całować Tatula w usta ani nigdzie indziej. Sam z siebie nigdy go nawet nie dotknął, wykonywał tylko polecenia.

Jego mały penis przypominał obdartego ze skóry króliczka i prawie nigdy nie twardniał. Tatulo już dawno nie czuł podniecenia na jego widok.

Żał mu było tego dziecka, które tak szybko straciło wdzięk. Nie miało sensu dłużej go trzymać, lecz Tatulo czuł do niego irracjonalny sentyment, podobny do tego, jakim darzy się oślepte na starość psisko, które nie trzyma moczu – człowiek nie potrafi go zabić, ale nie miałby nic przeciwko, żeby wpadło pod samochód.

Pani Helmerich, która została panią Cash w styczniu 1998 roku, nie było dane poznać syna Tatula. Nie wiedziała nawet o jego istnieniu.

Podobnie Kanaan nie wiedział o istnieniu pani Helmerich. Gdyby się dowiedział, byłby śmiertelnie zazdrosny, Tatulo nie miał co do tego wątpliwości.

Ale Kanaan zniknął z jego życia wkrótce po tym, jak pojawiła się w nim Myrna Helmerich.

Nie bój się, synu. To witamina, doda ci energii. A to tabletką odchudzającą, ostatnio trochę ci się przytyło!

Oficjalna wersja dla mieszkańców Kittatinny Falls była taka, że Chet nabył farmę Helmerichów, jak ją nazywano w tych stronach. Postanowił urządzić tam sobie „duchową oazę”. W okolicy na północ od Kittatinny Falls wciąż jednak nazywano ją „farmą Helmerichów”, mówiła tak nawet Darlene Barnhauser, choć wiedziała, że posiadłość ma nowego właściciela.

Spokojnie, mój chłopcze. Nie znasz tej kobiety.

Dziecko drgnęło tak gwałtownie, że Tatulo musiał je chwycić mocno za chudziutkie ramię.

Patrzyło jak osłupiałe w stronę zbliżającej się dziarskim krokiem Darlene Barnhauser. Tatulo próbował przygotować syna na to spotkanie, powiedział mu, że odwiedzi go znajoma. Zdawał sobie sprawę, że będzie to pierwsza osoba, jaką chłopiec zobaczy, odkąd cztery miesiące wcześniej zabrał go z parkingu w Ypsilanti.

Nie licząc ludzi w telewizji. Tatulo nie zabraniał synowi oglądania telewizji.

Darlene Barnhauser w niczym nie przypominała miłej matki chłopca. Mimo to mały utkwiał w niej wzrok i zaczął się trząść. Czyżby mimo oczywistych różnic pomylił te dwie kobiety?

Darlene ubrana była w T-shirt z zieloną papugą, eksponujący jej obwisłe piersi, oraz króciutkie szorty, z których wylewały się tłuste blade uda. Na grubych stopach miała klapki, na czubku głowy rozwichrzony kok, a szerokie usta lśniły od tłustej czerwonej szminki.

O – mój – Boże! Jaki słodziak! – Darlene zrobiła maślane oczy.

Mój syn Gedeon, odparł z dumą Chet. Teraz mieszka ze mną. Może zostanie dłużej niż do końca lata.

Gedeon? Ładne imię. Cześć, Gedeon!

Chet Cash przykucnął obok dziecka, nie puszczając jego chudej rączki. Fascynujący był ten wzrok, jakim chłopiec wpatrywał się w Darlene Barnhauser – jak gdyby jego pięcioletni mózg usiłował połączyć jej twarz z jakąś inną twarzą.

Gedeon drżał. Trzął się. Tatulo bardziej czuł niż słyszał szczękanie jego zębów.

Tego dnia temperatura powietrza nie schodziła poniżej trzydziestu stopni.

Prawda, że ma po mnie oczy i kąciki ust? Wszyscy mi to mówią.

Rzeczywiście. Boże, Chet, jaki on słodki.

Ma na imię Gedeon. Boży wojownik.

Jest chyba trochę nieśmiały? Nie to co tata.

Darlene także kucnęła przed chłopcem. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie dotknąć jego kędziorków. Mały stał sztywno, nieruchomo, mrugał wpatrzonymi w nią wilgotnymi oczami.

Tatulo ufarbował mu włosy. Nie były już ciemne, prawie czarne, lecz brudnożółte, jak plaża po ulewnym deszczu.

Poprzedniego wieczoru musiał go ukarać. Napełnił umywalkę zimną wodą i kazał chłopcu zanurzyć twarz, a gdy ten nie posłuchał, chwycił go za kark, wepchnął głowę do wody i policzył: Raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

Resztę nocy zamiast w łóżku Tatula chłopiec spędził w „drewnianej dziewicy”. Z ustami zakneblowanymi gąbką, z tyłkiem owiniętym szmatami chłoniącymi moc.

Tatulo niemalże współczuł synowi. Ale dyscyplina jest podstawą wychowania.

Wypuścił go ze skrzyni dopiero koło południa, chłopiec był już wtedy słaby, wygłodzony tak bardzo, że porzucił swoje jedzenie jak zwierzę, a potem je zwymiotował.

Wymiotowanie było karane na różne – wypróbowane – sposoby.

Synu, przywitaj się z Darlene. To nasza dobra sąsiadka. Może czasem będzie się tobą opiekować, kiedy tatuś pojedzie coś załatwić.

Och, z przyjemnością! On jest taki słodki.

Paluszek chłopca, złamany z jego własnej winy, zdążył się już zrosnąć. Tatulo miał nadzieję, że Darlene nie zauważy, że kość zrosła się nieco pod kątem w stosunku do dłoni.

Kobieta gruchała do dziecka: No ciooo? Nie psiwitas się ze mną?

Ciemne jak czekolada oczy chłopca spoglądały mętnie spod gęstych rzęs, jakby nie mogąc objąć ogromnej postaci Darlene.

Tatulo zastanawiał się, czy kobieta nie podejrzewa jego syna o jakąś przypadłość. Upośledzenie umysłowe albo autyzm – teraz dużo się o tym słyszało.

Synku, powiedz Darlene, skąd jesteś.

Tatulo delikatnie potrząsnął chłopcem. Trzymał go mocno za ramię, to musiało boleć, ale mały oduczył się już pisków i grymasów bólu.

No, powiedz. Skąd jesteś?

Chłopiec poruszył ustami, ale nie wydobyły się z nich żadne dźwięki. Wciąż patrzył na piersiastą Darlene i mrugał oczami, jakby czekając, aż zmieni się ona w kogoś innego, w kogoś, kto przyszedł, żeby go stąd zabrać.

Wreszcie, niczym nakręcana lalka, zaczął mówić: Z Tr... vers... City. W Mich... gan.

Skąd?

Powiedział: z Traverse City w Michigan. Tam mieszka jego matka.

Oooo. To kawał drogi.

Powiedz Darlene, jak tu przyjechaliśmy.

Jąkając się, chłopiec odparł, że przyjechali w „specjalnym pudełku”.

Chet zaśmiał się nerwowo i znów delikatnie potrząsnął chłopcem.

Ma na myśli mojego minivana.

Po przyjeździe do Kittatinny Falls Chet usunął z dachu rzucający się w oczy biały krzyż i ponownie przemaslował samochód, tym razem na kolor ciemnoczerwony. Wielowarstwowa powłoka miejscami podejrzanie się marszczyła, ale zdaniem Cheta chrysler i tak prezentował się nieźle, zważywszy na jego wiek.

Opowiedz Darlene o mamie, Gedeonie.

Dziecko zaczęło mówić płynniej. Bez trudu wyowiadało wyuczone zdania.

Mama jest niedobra. Pali papierosy.

Darlene się roześmiała.

No tak, skarbie, dużo mam pali papierosy. Nie jesteśmy doskonałe.

Mama jest niedobra. Pali papierosy.

Chłopiec powtórzył swoją formułkę. Uśmiechnął się nawet – znienacka i szeroko. Chet głaskał go po ramieniu, zaplótł palce na jego drobnych paluszkach.

Ojej, Chet. Gedeon chyba się zsiusiał.

Chet z ledwie skrywanym wstrętem odsunął się od dziecka.

Złał się w spodnie! Cholerne niemowlę.

Chet był wściekły, ale też zakłopotany. Darlene wzięła sprawę w swoje ręce, chwyciła Gedeona za dłoń.

Chet, ja go umyję i przebiorę. To żaden problem.

Cholerne niemowlę. Mieszkał z tą suką pięć lat i nie nauczyła go czystości?

To był żart, więc Darlene się zaśmiała, choć nieszczęśliwie rozbawiona. Widać było, że martwi się przestraszonym chłopcem, który uczeplił się kurczowo jej dłoni.

Zaraz cię umyjemy, skarbie, i przebierzemy w czyste rzeczy. Nie zwracaj uwagi na tatusia, mężczyźni już tacy są. Jednymi rzeczami przejmują się za bardzo, a innymi za mało.

Zaprowadziła chłopca do łazienki na dole, a Tatulo poszedł za nimi. Po sąsiedzku znajdowała się jego sypialnia, utrzymana w nadzwyczajnym porządku, gdyż do codziennych obowiązków Gedeona należało ścielenie łóżka Tatula, zbieranie jego rozrzuconej bielizny i skarpetek i wrzucanie ich do ratanowego kosza w kącie pokoju.

„Drewnianej dziewicy” też już tam nie było, Tatulo miał dobry zwyczaj chowania jej w szafie wnękowej, właśnie na wypadek takiego niespodziewanego wtargnięcia.

Używał jej zresztą coraz rzadziej, bo tresura Gedeona szła coraz lepiej. Czasem zamykał chłopca w skrzyni, ale zostawiał maskę otwartą, by dziecko mogło swobodnie oddychać i widzieć – nawet jeśli widziało jedynie sufit.

Jak będzie dzisiaj wieczorem? O tym Tatulo jeszcze nie zdecydował.

Darlene odkręciła wodę w łazience. Kiedy zaczęła zsuwać chłopcu spodenki, zakwilił, próbując się bronić.

Gedeonie! Pozwól Darlene, żeby się tobą zajęła. To bardzo miła pani, chce cię tylko umyć. Nie przeszkadzaj jej.

Dziecko przestało się opierać. Darlene ściągnęła mu spodenki i zmoczone białe majtki. Wrażliwy Tatulo cofnął się do przedpokoju, ale pozostał blisko łazienki, ani na moment nie stracił czujności.

Darlene mamrotała coś do chłopca, śmiała się i zwracała do niego ciekawym głosem. Niewątpliwie kobiety miały w sobie to coś, jakąś dobroć, wyrozumiałość. Lgnęły do małych dzieci, tak im nakazywał instynkt. Kobietę można było poprosić o dowolną przysługę – jeżeli tylko cię lubiła i miała nadzieję, że ty ją polubisz.

Oto wielka tajemnica: Gedeon był poddawany próbie.

Każdego dnia o każdej godzinie. Każdej nocy.

Wieczorne przytulanki były egzaminem. Egzaminem, którego Gedeon często nie zdawał.

Płakał i bronił się. Wówczas Tatulo nie miał wyjścia, musiał użyć siły.

Co w gruncie rzeczy sprawiało mu przyjemność. Albowiem Tatulo nie znosił słabych chłopców, którzy nie stawiają oporu. Nie mógł jednak tolerować nieposłuszeństwa u swojego syna, zwłaszcza u tak młodego syna.

A gdy już poskromił chłopca w swoim łóżku, wcześniej założywszy mu knebel i podłożywszy pod niego ręcznik, gdy już było po wszystkim i wytarł krew z jego

chudziutkich pośladek, chłopiec musiał ponieść karę i zostać zamknięty na nieokreślony czas w „drewnianej dziewicy”.

Nauczysz się, synu. Niesłuchanie się Tatula prowadzi tylko do jednego.

A jeśli będziesz krnąbrny, przyłაცisz to życiem.

Comprenez?

Przez tych kilka letnich miesięcy, miesięcy próby, Tatu-lem targały sprzeczne uczucia.

Były chwile, że szalał na punkcie chłopca.

Wprost nie mógł się na niego dość napatrzeć.

Czuł w sobie znajomy dreszcz – dreszcz podniecenia, którego nie dało się pomylić z niczym innym.

Przypominał sobie, jak przy zagrodzie dla króliczków ten piękny chłopczyk o czarnych kędziorkach spojrział w jego stronę i uśmiechając się szelmowsko, wysunął z ust różowy języczek... Przypomniął sobie to potajemne, palące spojrzenie, którego nie widziała matka chłopca, a które mówiło: *Nie chcę być z nią, chcę być z tobą. Zabierz mnie!*

Ale były też chwile, kiedy Tatulo nie był pewien swojego wyboru. Chłopiec prawie w ogóle się nie odzywał, można było pomyśleć, że brakuje mu jakiejś klepki, lecz Tatulo wiedział, że tak nie jest, że to kamuflaż.

Widział, jak Gedeon po kryjomu ogląda różne nazywane przez niego do domu rzeczy, lokalne gazety

i czasopisma „Trenton Times” i „New Jersey Sportsman”.

Czy Gedeon umiał czytać? Wydawało się, że nie umie, ale często wpatrywał się w kolumny druku, a czasem poruszał przy tym bezgłośnie ustami. Chet Cash zamierzał utrzymać, że jego syn jest upośledzony psychicznie i dlatego na razie nie będzie chodził do szkoły. Wcześniej mówił podobnie o Nostradamusie, Kanaanie i Księciu Pokoju i nikomu nie przyszło do głowy wątpić w jego prawdomówność.

No chodź tutaj, synu.

Hopla! Chodź do mnie.

Tego wieczoru w telewizji leciała gala wrestlingu.

Na kolację była pizza z serem i pepperoni, duża butelka Diet Coke i pudełko lodów śmietankowo-jeżynowych.

Kiedy Tatulo go wezwał, Gedeon był bojaźliwy i nieufny. Dopiero gdy stało się jasne, że Tatulo jest dziś naprawdę czuły, chłopiec rozluźnił się, wdzięczny jak pies, który za odrobinę pieśczoły szybko zapomina swojemu panu, że ten go kopał.

Jadł więc grzecznie kawałki pizzy z ręki Tatula. Łapczywie, krztusząc się i kasłając, bo chciał mu sprawić przyjemność.

Pokarm jest miłością, synu. Ten cię kocha, kto cię karmi.

Ten cię karmi, kto cię kocha. *Comprenez?*

Z czasem Tatulo coraz częściej odważał się zabierać chłopca do ludzi.

Mały Gedeon coraz mniej przypominał chłopca z parkingu w Ypsilanti. Tatulo był przekonany, że jego syn upodabnia się do niego.

Miał teraz włosy w kolorze piasku.

Jego spojrzenie też się zmieniło – nie było już tak dziecinne jak kiedyś.

Podczas wspólnych wycieczek do Kittatinny Falls i do Lambertville Tatulo doznawał niezwykłego uczucia – jak po zażyciu metamfetaminy. Kiedy wchodził z synem do warzywniaka, apteki czy sklepu z narzędziami, trzymając go za rękę, tak jak inni ojcowie trzymają swoje dzieci, rozpiełała go cicha duma. *Widzicie? Jestem normalnym facetem. Oto mój syn.*

Czasem nawet – ledwie tłumiąc euforię, w jaką wprawiało go ryzyko – w obecności syna zagadywał innych ojców, na przykład w trakcie meczów młodzieżowej ligi softballowej. Pana syn gra? – pytał.

Młody ojciec wskazywał palcem jednego z zawodników. Choćby nawet był to największy chuderlak, rodzic i tak był z niego dumny. Towarzyski Tatulo wyrażał nadzieję, że jego syn, Gedeon, też kiedyś spróbuje swoich sił na boisku, i pytał, jaka jest dolna granica wieku, mimo że dobrze znał odpowiedź. Czasem wywiązywała się dłuższa rozmowa, zdarzało się nawet, że on i Gedeon dostawali zaproszenie na weekendowego grilla.

W Dzień Niepodległości mieli do wyboru aż dwa przyjęcia. W Kittatinny Falls i w Lambertville.

Miły i przystojny mężczyzna o szczerzej twarzy, wyglądający na trzydzieści dwa, góra trzydzieści trzy lata, zazwyczaj budzi zaufanie innych ojców, nie mówiąc już o kobietach.

O Jezu, jaki słodziak!

Wykapany tatuś.

Jak mu na imię? Ge-deon?

Ile ma latek?

Gdzie mieszkacie?

Wszystko szło jak po maśle. Tatulo był podekscytowany. Uwielbiał patrzeć na siebie i syna oczyma innych ludzi.

A gdy pomyślał, jaki jest śmiały, jak wiele ryzykuje, rozkoszny dreszcz przenikał go do głębi.

Stróż prawa nie posiadali by się ze zdumienia. *Pokazywał się z porwanym chłopcem w miejscach publicznych. W biały dzień.*

Raz Tatulo zahamował na River Road i cofnął się kilkanaście metrów do miejsca, gdzie zastępca szeryfa hrabstwa Lenape, przyczajony w radiowozie za kępą drzew, wypatrywał piratów drogowych. Syn Tatula siedział zapięty w foteliku z tyłu.

Przepraszam, nie wie pan, którędy dojadę na pocztę?

Glina kazał Tatulowi jechać cały czas prosto. Jeszcze kilka kilometrów i będzie poczta, nie da się jej przeoczyć.

Uprzejmie panu dziękuję!

Zagadywał policjantów, wioząc w samochodzie porwane dziecko!

W miejscach publicznych, w obecności nieznanym, Gedeon był bardzo nieśmiały i małomówny. Inne dzieci w jego wieku szczebiotały wesoło, ale syn Tatula nie był jak inne dzieci.

Co prawda wzrok miał rozbiegany. Wyczuwało się – Tatulo wyczuwał – że pięciolatek jest w takich chwilach pobudzony, że jego mózg mocno pracuje, choć rzadko się uśmiechał, nawet gdy inni uśmiechali się do niego.

Tatulo ostrzegał go niezliczoną ilość razy: jeżeli będzie zwracał na siebie uwagę albo narobi mu wstydu lub kłopotu, zostanie ukarany, Tatulo włoży mu głowę pod kran, a potem zamknie go w „drewnianej dziewicy” i będzie się kisił w smrodzie własnych odchodów. O ile Tatulo będzie w litościwym nastroju. Tamtego lata kilka razy bawili się w podduszanie. Tatulo za każdym razem wyjaśniał, że to nie jest kara. *Nie zrobiłeś nic złego, synu. Chcę cię tylko przestrzec, co się stanie, jeżeli nie będziesz mi posłuszny.*

Wielokrotnie powtarzał chłopcu, że musi zapomnieć o swoim dawnym życiu. Rodzice oddali go do adopcji, bo zbyt wiele ich kosztował, więc i o nich powinien zapomnieć.

Na świecie są tysiące sierot, synu. Są jak zwierzęta w schroniskach. Dziecko porzucone przez rodziców nie żyje długo. Wiesz, co to eutanazja?

Gedeon nieśmiało potrząsnął głową.

Eutanazja to uśmiercenie żywej istoty, która nikomu nie jest potrzebna. Której nikt nie kocha.

Gedeon wbił wzrok w stopy Tatula. Albowiem Tatulo nie zawsze życzył sobie, by chłopiec patrzył mu w oczy, czasem oczekiwał od niego przede wszystkim pokory.

Eutanazja spotyka około czterdziestu procent sierot, których nie ma kto przygarnąć. Miałeś wielkie szczęście, że Tatulo cię wybrał.

Gedeon potulnie wpatrywał się w stopy Tatula. Oczy napływały mu łzami.

Powiedz: „Jestem bardzo szczęśliwym chłopcem”.

Gedeon zaczął ruszać ustami: *Jestem bardzo szczęśliwym chłopcem.*

Głośniej, synu. I z przekonaniem: „Jestem bardzo szczęśliwym chłopcem”.

Znów prawie niesłyszalnie: *Jestem bardzo szczęśliwym chłopcem.*

Synu, jak gdyby od tego zależało twoje życie: „Jestem bardzo szczęśliwym chłopcem”.

Tatulo mówił coraz głośniej. Na czole pulsowała mu żyła.

W końcu Gedeon wydobył z siebie głos: *Jestem bardzo szczęśliwym chłopcem.*

Tak się tresowało zwierzęta. Poprzez powtarzanie i utrwalanie. Nagradzanie i karanie. Przy czym w wypadku synów Tatula najlepiej sprawdzały się nagrody i kary nieprzewidywalne.

Na przykład zabawa w podduszanie. Była dobrym sposobem na nudę i apatię. Ale jeśli Tatulo był w łagodnym nastroju, podduszanie mogło się zmienić w łaskotanie i wywołać u chłopca śmiech.

Grunt, by dziecko czuło respekt.

By nie pomyślało, że cokolwiek – włącznie z życiem – należy mu się za darmo.

Tak, Gedeon musi ufać Tatulowi, tak jak każde kochające dziecko ufa kochającemu ojcu.

Synu, wiesz chyba, że cię kocham?

Tak.

Wiesz o tym, prawda?

Tak, Tatulu.

I ufasz mi, prawda?

Tak.

Ufasz mi bezgranicznie?

T-tak. Tatulu.

Czasem pętał chłopcu kościste nadgarstki, a drugi koniec sznurka przywiązywał do wielkiego gwoźdźca wysoko na ścianie sypialni. Sznurek był tak napięty, że chłopiec musiał wspinać się na palcach, wyprężając drobną klatkę piersiową i żebra obciążone mlecznobiałą skórą.

Do tego, oczywiście, knebel, żeby dziecko nie piszczało i nie wyło.

Rozneglizowany chłopczyk, w samych tylko podartych szortach, przez które przezierała jego nagość.

Tatulo wyciągał się na łóżku i sycił oczy.

Ten widok podniecał go za każdym razem. Tatulo umiał sobie radzić z nudą.

Przy tym jednak dbał o syna, na przykład o to, by sznurek nie wrzynał mu się w przeguby dłoni – w tym celu owijał je najpierw bandażem. Szkoda byłoby oszpecić takiego ślicznego chłopczyka.

Dziecko wie, kiedy człowiek się o nie troszczy.

Wie i nie zapomina.

13

KITTATINNY FALLS

NEW JERSEY

Sierpień – wrzesień 2006

Gedeonie. Te węzły są do niczego.

Tatulo uczył syna, jak robić makramy.

Plecione torebki, paski, swetry dla psów i ozdoby ścienne trafiły do sklepu Gift Basket w New Hope, osiemdziesiąt kilometrów w dół rzeki. Chet Cash wszedł w komitywę z jego właścicielką, rozwódką Edwinną Oldman. Przy pierwszym spotkaniu przedstawił się jako artysta – głównie malarz i rzeźbiarz, którego jednak coraz bardziej fascynuje sztuka makramy.

Przedstawił jej też, nie bez dumy, swojego syna. Edwinna Oldman, kobieta o brwiach pociągniętych kredką i okularach w oprawkach z niebieskiego plastiku, przykucnęła z wesołym stęknieniem, żeby się z nim przywitać.

Cześć, Gedeonku!

Chet Cash tak ją oczarował, że wcisnęła mu swoją wizytówkę i zaprosiła (oczywiście z synem) na kolację

do swojego „domu nad rzeką” w New Hope. Powiedział, że bardzo chętnie, ale może za jakiś czas, bo teraz ma dużo pracy; nawiasem mówiąc, jego specjalnością są makramy ścienne.

Wyrobianiem makram miał się w rzeczywistości zajmować Gedeon, który jednak musiał się jeszcze wiele nauczyć.

To nie jest trudne, synu. To takie kobiece zajęcie, jak robótki na drutach, ale nie potrzeba do tego drutów. Trzeba nauczyć się podstawowych ruchów, a potem już tylko je powtarzasz i dobierasz kolory. Widzisz?

Tatulo widział rysunki chłopca na papierowych torbach z supermarketu. Zdradzały pewien talent. Od razu przyszło mu na myśl: *Może mój syn jest cudownym dzieckiem!*

Kupił mu kredki, kolorową kredę i zestaw akwareli. Ale pod okiem Tatula chłopiec jakby tracił weny.

Wolał rysować na papierowych torbach i chować je przed Tatulem. Lecz przed Tatulem nic się nie ukryje.

Robienie makram było praktyczniejszym zajęciem, wszystko bowiem wskazywało, że będą mieli gdzie je sprzedawać – o ile Gedeon opanuje podstawy.

Był bystrym chłopcem. Uczył się na błędach.

Tatulo chwalił go za każdy, nawet połowiczny sukces. Według Skinnera tak powinno wyglądać warunkowanie: chwalić, zamiast ganić, nagradzać, zamiast karać. Tyle tylko że właśnie karanie sprawiało Tatulowi najwięcej frajdy.

Poza tym gdyby Gedeon był jedynie nagradzany, posiadłby błędne wyobrażenie o świecie, który jest przecież okrutny.

Nie bez kozery Kaznodzieja obiecywał, że grzesznicy i wrogowie Chrystusa będą cierpieć męki piekielne. Parafianie mieli prawo oczekiwać, że gdy oni pójdą do nieba, reszta ludzi trafi do piekła. Mądry duszpasterz mówił wiernym to, co pragnęli usłyszeć.

Te kurewskie makramy były trudniejsze, niż się wydawało. Tatulo zaczął tracić cierpliwość. Na szczęście chłopiec miał drobne palce, powinno mu to ułatwić pracę.

Najłatwiejsze były dekoracje ścienne, można było je robić na podstawie wzorów z internetu, wprowadzając niewielkie zmiany. Nikt, kto kupował makramy w New Hope w stanie Pensylwania, nie miał prawa oczekiwać, że będą to dzieła oryginalne. Torebki kosztowały więcej zachodu, ale można też było za nie więcej zażądać.

Spróbuj z tymi węzłami od nowa, synu.

Chłopiec próbował, ale nie szło mu najlepiej.

Próbuj dalej, synu. Ostrzegam cię.

Tak mijały długie godziny.

Tatulo się oddalił, a gdy wrócił, okazało się, że chłopiec zrobił bardzo niewielkie postępy.

Cierpliwy Tatulo powiedział: Jest coraz lepiej, synu. Bądź wytrwały.

Do wieczora chłopiec wykonał trzydzieści centymetrów zupełnie przyzwoitej makramy w kolorze jaskrawozielonym.

Synu, to wygląda obiecująco! Świetny początek.

Gedeon uśmiechnął się niepewnie.

Jutro pójdzie ci jeszcze lepiej. Zrobisz więcej.

Gedeon uśmiechnął się niepewnie. Nikły, jakby tęskny uśmiech.

Pomyśl tylko, wyrobimy sobie własną markę. Cash i syn. Może otworzymy sklep, ludzie będą mogli zaglądać do naszej pracowni.

Ale później, przy kolacji, chłopiec miał już zgaszony wzrok i nie uśmiechał się, gdy Tatulo mówił do niego łagodnym głosem. Tatulo czuł wściekłość na samą myśl, że być może w takich chwilach jego syn wspomina swoje dawne życie.

Przeczesawał palcami jego kędzierzawe włosy (nie-
długo znów trzeba będzie je ufarbować, pojawiły się
czarne odrosty) i nie podobało mu się, że chłopiec deli-
katnie się wzdryga. Że skacze mu lewa powieka.

Chyba nie boisz się ojca, synu? Swojego Tatula?

N-nie, Tatulu.

Teraz drgały mu obydwie powieki, a drobna twa-
rzczyka napinała się nerwowo.

Chcesz mnie wkurzyć? Co to ma być? Bunt?

Gedeon zaczynał mu przypominać poprzednich
synów, którzy sprawili mu zawód.

Tatulo przebierał palcami. Tatulo nigdy nie tracił
czujności.

Pytam cię, synu: czy to jest bunt?

Gedeon szybko pokręcił głową.

Cokolwiek znaczyło to słowo, wiedział, że lepiej zaprzeczyć.

Ale trząś się teraz na całym ciele, wystraszony jak pies, który dostał kopniaka.

Kiedy upuścił miseczkę zupy podgrzanej w mikrofalii – wydając cichy okrzyk, bo gorący płyn oparzył mu dłoń – rozsierdzony Tatulo doskoczył do niego z przekleństwem na ustach, zaczął go kopać i okładać pięściami. Potem chłopiec musiał zmyć podłogę mopem i choć starał się przy tym nie płakać, to jednak Tatulo zauważył jego chmurną minę, to spojrzenie pełne buntu, i gdy sprzątanie dobiegło końca, zawłókł go za kark do sypialni, rzucił na podłogę, wyciągnął z szafy „drewnianą dziewicę”, nieużywaną od dłuższego czasu – w tym tkwił cały problem: rozpieścił bachora i ten stracił dla niego respekt – i próbował zamknąć w niej syna, ten jednak bronął się, wierzgał i wrzeszczał, gryzł i drapał niczym dziki kot, aż w końcu Tatulo przycisnął go do ziemi, zdarł z niego poplamione zupą ubranie i ujarzmił go. Bach, bach, bach – drobne ciało rytmicznie uderzało o deski, aż chłopiec zaczął krwawić z odbytu. Na wpół omdlały, dał się łatwo zamknąć w „drewnianej dziewicy”.

Tatulo zapomniał tym razem o kneblu. I o pielusze.

Jeżeli będzie krzyczał, zostanie tam na zawsze.

Tej nocy Tatulo spał sam w łóżku, a jego syn Gedeon, leżący dwa metry dalej w „drewnianej dziewicy”, nie dawał znaków życia.

Jeżeli umrze, trudno. Tatulo nie toleruje zuchwalstwa.

Rankiem w ogóle nie interesował się synem, kopnął tylko w skrzynię, by go zbudzić, niech wie, że jest już rano. Potem wyszedł i nie wracał aż do południa, kiedy to w przyływie troski odemknął obie pokrywy. Gedeon leżał jakby półprzytomny, twarz miał chorobliwie bladą, podbródek umazany wymiocinami. Z wnętrza „drewnianej dziewicy” buchnęła ostra woń moczu.

Tatulo znów kopnął w skrzynię, żeby wyrwać dziecko ze snu.

Chryste! Wyłaż stamtąd. Nie jesteś martwy. Musisz po sobie posprzątać.

Nie zapominaj, że masz w tym domu obowiązki. No i makramy same się nie zrobią.

Wstawaj! Chyba możesz wstać?

Dziecko zamrugało powiekami. Miało przyspieszony oddech – dziwne, przecież od pół doby leżało nieruchomo.

Próbowało się podnieść, ale zaraz opadło z powrotem, jakby z wyczerpania.

Praca czeka, synu. Nie można się cały dzień opieprzać, nawet latem. No dalej, wstajemy.

Chłopiec wciąż jednak był zbyt słaby, by wydostać się z trumiennej skrzyni.

Dobrze, leż sobie we własnym gównie! Cholerne niemowlę.

Tatulo wyszedł, rozsierdzony, trzaskając drzwiami.

Pół godziny później, gdy rozmawiał przez komórkę z pastorem Silkiem z Kościoła Nieustającej Nadziei

w Trenton w sprawie gościnnego kazania w którąś niedzielę października, zobaczył przez okno, jak półnagi Gedeon biegnie, potykając się, w kierunku walącej się stodoły.

Chryste!

Tatulo upuścił telefon na podłogę. Wybiegł na dwór i rzucił się w pogoń za chłopcem, który widocznie wykradł się z domu tylnymi drzwiami z zamiarem ucieczki.

Choć nie uciekał w stronę drogi. Nie tym razem.

Czyżby schował się w stodole?

Z tego, co wiedział Tatulo, w tym zaszczurzonym budynku dawniej trzymano przeżarte rdzą traktory i stare opony, przechowywano tam również kolby kukurydzy – może karmiono nimi krowy?

Gedeonie? Gdzie jesteś?

Nie było go w środku. Tatulo uklęknął i zajrzał pod stodołę, w przestrzeń tak ciasną, że nie chciało się wierzyć, że cokolwiek mogłoby się tam wślizgnąć, a już na pewno nie pięcioletni chłopiec.

Gedeonie! Synu! Wychodź.

Tatulo był spocony i głośno dyszał. Jego syn próbował uciec. Niewiarygodne.

Był przekonany, że chłopiec go kocha. Ich przytulanki zazwyczaj były rozkoszne.

Tyle razy jadł Tatulowi z ręki. Nie mógł mu nie ufać.

Tatulo próbował go wywabić. Dobrocią i groźbami. Policzył do trzech, na tyle powoli, by chłopiec miał szansę go posłuchać – ale nie posłuchał.

Ty mały skurwielu. Nie wiesz, że mogę cię zabić, czarnuchu?

W złości wyrwały mu się słowa, których nie chciał powiedzieć. Albowiem Tatulo nie był rasistą.

Stękając, położył się na brzuchu i zajrzał pod stodołę. Sylwetka dziecka majaczyła niewyraźnie w odległości kilku metrów.

Wyłaź, do diabła! Jestem twoim ojcem. Rozkazuję ci.

Chłopiec leżał nieruchomo, nie wydawał żadnych dźwięków.

Tatulo podniósł się, obszedł stodołę dookoła i znów się położył, ciężko dysząc. Kto by pomyślał, że w tej szparze zmieści się coś większego niż kot?

Wiesz co, synu? Zaraz podłożę ogień. Liczę do trzech, potem spłoniesz żywcem.

Tatulo kolejny raz bez pośpiechu policzył do trzech. Jednak sparaliżowany strachem chłopiec ani drgnął.

W końcu Tatulo dźwignął się z ziemi. Nie miał wyboru.

Nie zamierzał jednak podkładać ognia. Wzniecenie pożaru na własnej posiadłości nie byłoby mądrym posunięciem, zwróciłby na siebie niepotrzebnie uwagę.

Pobiegł do domu po karabin, kaliber pięć milimetrów, schowany w zamkniętej skrzyni pod łóżkiem.

W tej skrzyni znajdowało się jeszcze kilka innych sztuk broni, o których istnieniu chłopiec nie miał pojęcia.

Krocząc z karabinem w ręku niczym żołnierz piechoty, Tatulo wrócił do stodoły, pod którą ukrył się jego zbuntowany syn. Położył się na brzuchu i wetknął lufę pod drewnianą podłogę, rozchylając nią chwasty.

Ty mały niewdzięczny czarnuchu. Bóg wzywa cię do siebie.

Pierwszy strzał był ogłuszająco głośny. Nawet Tatulo nie był na to przygotowany. Zapomniał też, że karabin ma dość silny odrzut.

Chłopiec zaczął kwilić. Czyżby oberwał? Tatulo mierzył, żeby chybić, ale mógł go niechcący trafić.

Gdyby okazało się, że dziecko jest poważnie rane, musiałby pozwolić mu wykrwawić się na śmierć. W żadnym wypadku nie zawiózłby go do szpitala.

Ale wszystko wskazywało na to, że chłopiec nie został trafiony. Przeczłogał się w inny kąt, za jedną z betonowych płyt podtrzymujących zbutwiały budynek. Skulił się tam, prawie znikając z pola widzenia Tatula.

Myślisz, że cię nie widzę? Mała czarna gnido.

Tatulo znów wycelował i nacisnął spust.

Dziecko płakało ze strachu. Ale było już za późno.

W sumie Tatulo oddał pięć strzałów. Wszystkie były starannie mierzone. Na lewo od dziecka. Na prawo od dziecka. W ziemię przed dzieckiem.

Potem Tatulo dźwignął się na nogi. Dzwoniło mu w uszach od tych cholernych wystrzałów. Poszedł do kuchni, wyjął z lodówki zimne piwo i wrócił pod stodołę, wlokąc po trawie zardzewiałe krzesło. Usiadł i czekał.

Poprzedni synowie umierali w jego ramionach. Miał powody, by posłać ich do Boga, żeby ich osądził. Drażniła go ich nastoletnia pyskatość, nudzili go, no i ten obrzydliwy trądzik. Za każdym razem dbał jednak o to, by nie cierpieli, umierali w jego ramionach, niczego nie podejrzewając, mali idioci. Ten mieszaniec Gedeon był inny, bystrzejszy.

Tatulo trzymał karabin w poprzek kolan. Nie wiedział jeszcze, czy zabije chłopca, gdy ten w końcu wyczołga się spod stodoły. Wszystko zależało teraz od Boga. Boski wyrok był jak rzut kością do gry.

Po dwudziestu minutach usłyszał jakiś ruch. Słońce już dawno zeszło z zenitu. Sierpniowy dzień był gorący i wilgotny. Tatulo uśmiechnął się na widok dziecięcej głowy w szparze pod stodołą, skojarzyła mu się z porodem. Była w tym jakaś magia! Rozkazał chłopcu wyjść, a ten go usłuchał.

Dziecko z trudem wyczołgało się na zewnątrz. Było całe uwalane ziemią. Zobaczyło Tatula, siedzącego na krześle w odległości czterech metrów, i zaczęło iść na czworakach w jego stronę, niczym posłuszne zwierzę.

Był to piękny widok.

Tatulo całkiem zapomniał o karabinie. Upuścił puszkę z piwem. Padł na kolana i chwycił płaczące dziecko w objęcia. Łzy spływały po ich twarzach, niczym krople słonecznego blasku.

Synu.

14

YPSILANTI, MICHIGAN

Sierpień – wrzesień 2006

Dinah? Skarbie, gdzie jesteś?

Wrócił do domu późno. Wcześniej powiedział jej, że musi nagrać całą audycję od nowa, co w zasadzie było prawdą. Mimo to miał wyrzuty sumienia, dręczył go niepokój. Dinah nie było na dole, mimo że i w salonie, i w kuchni paliło się światło. Nie było jej też w pograżonej w mroku sypialni.

Leżała w zaciemnionym pokoju Robbiego, na dziecięcym łóżku, bosa i w szlafroku. Nie zareagowała, gdy Whit stanął w progu i wymówił jej imię, ani gdy pochylił się nad nią i delikatnie nią potrząsnął.

Dinah? Dinah?

CZEŚĆ DRUGA

KWIECIEŃ - MAJ 2012

1
KITTATINNY FALLS
NEW JERSEY
Kwiecień 2012

Dziwne!

Bardzo dziwne rysunki z pogranicza fantasy i science fiction.

Pewnie inspirował się czymś, co zobaczył w telewizji albo internecie. A może grami wideo.

Jak się nazywał ten serial – *Gra o tron*? Może to go natchnęło.

Trudno było powiedzieć, czy chłopiec ma talent, czy tylko powielił coś, co gdzieś podpatrzył. Nauczyciele ze szkoły podstawowej w West Lenape słabo się orientowali w popularnych wśród młodzieży serialach i grach wideo.

Rysunki i obrazki szóstoklasisty obfitowały w detale i przedstawiały coś w rodzaju podziemnej scenerii. Jakaś postać – chłopiec? – w ciemnym miejscu i prostokąt światła – okno? – przez który widać było coś jakby odległe domy.

Każdy rysunek dzielił się na dwie części: ciemną, w której znajdowała się postać chłopca, i słoneczną, widzianą przez prostokątne okno.

Na niektórych rysunkach postać leżała w czymś, co przypominało trumnę, zakryta wiekiem aż po szyję, z szeroko otwartymi oczyma w białej obwódce. Chłopiec sprawiał wrażenie uwięzionego, z rękoma unieruchomionymi wzdłuż ciała.

Na niektórych akwarelowych obrazkach, bardziej kolorowych i mniej ponurych niż rysunki, chłopiec unosił się nad ziemią w czymś, co przypominało podłużną łódź. Dookoła na wieczornym niebie świeciły gwiazdy i księżyc.

W łodzi oprócz chłopca znajdowało się zwierzę podobne do psa. Miało jasnobrązową sierść, postawione uszy i długi, zakrzywiony, futrzasty ogon.

Czworonożny przyjaciel! Nareszcie jakiś pozytywny akcent. Przełamujący ponurą atmosferę.

W podstawówce w West Lenape nie było zajęć plastycznych ani muzycznych, musiano z nich zrezygnować z powodu cięć wydatków na szkolnictwo publiczne. Lecz jedna z młodszych nauczycielek, Swale, anglistka z przygotowaniem pedagogiczno-artystycznym, zgłosiła się na ochotnika do prowadzenia warsztatów dla chętnych.

Jednym z nich okazał się Gedeon Cash, uczeń szóstej klasy.

Pani Swale była zaskoczona tym, jak bardzo chłopiec skupiał się podczas malowania, pod tym wzglę-

dem przypominał bardziej dorosłego niż dziecko. Siadał w kącie sali i zatapiał się w pracy nad rysunkami lub obrazkami, lecz niechętnie je pokazywał. Pochwały nauczycielki bardzo go peszyły. Na ogół wysłuchiwał ich z oczyma wbitymi w podłogę.

„W jego spojrzeniu jest jakiś smutek. Ale też zaciętość”.

Pani Swale powiedziała innym nauczycielkom, że jedna z najbardziej niezwykłych prac Gedeona przypomina *Saturna pożerającego własne dzieci* Francisca de Goi. Mroczny rysunek, starannie wycieniowany gęstymi kreskami, przedstawiał łysego ogra uśmiechającego się okrutnie i otwierającego usta, by odgryźć głowę malutkiemu jak lalka dziecku, które ścisnął w rękę jak obranego ze skórki banana.

Nauczycielka uznała, że to nie może być przypadek – Gedeon musiał wzorować się na obrazie Goi. Z drugiej strony trudno oskarżać o plagiat jedenastolatka.

– Niemożliwe, żeby to się zrodziło w jego głowie – powtarzała z przejęciem.

Gedeon Cash był nieśmiały. Na lekcjach odzywał się tak rzadko, że można go było wziąć za niemowę.

Albo za głuchoniemego.

Sam ojciec dawał do zrozumienia, że jego syn najprawdopodobniej cierpi na łagodną odmianę autyzmu.

Wspominał też coś o zespole Aspergera.

Nawet gdy go chwalono, chłopiec milczał ze spuszczoneym wzrokiem. Jego głowa sprawiała wrażenie niewspółmiernie dużej w stosunku do chudych ramion i patykowatej reszty. Cera miała odcień wosku. Nad lewą brwią odcinała się niewielka blizna w kształcie wędkarskiego haczyka.

– Skaleczyłeś się? – zapytała go pani Swale. – To musiało boleć.

Gedeon Cash pokiwał twierdząco głową.

Według jego ojca poszedł do szkoły później niż inne dzieci. Kiedy był mały i miał problemy ze zdrowiem, mieszkali w Maine, z dala od większych miast, pięćdziesiąt kilometrów od najbliższej przychodni, a tamtejsze szkoły publiczne nie prowadziły klas integracyjnych.

Matka Gedeona zmarła, gdy chłopiec miał pięć lat.

Rak płuc z przerzutami do trzustki. Od momentu diagnozy do śmierci minęło pół roku.

Gedeon do tej pory się nie otrząsnął.

Zresztą ja też nie – mówił Chet Cash, wycierając oczy.

Przeprowadzili się do New Jersey. Chet przez jakiś czas próbował sam uczyć syna, w końcu jednak doszedł do wniosku, że ośmioletni Gedeon jest już na tyle dojrzały, że można go posłać do szkoły z klasami integracyjnymi.

Nauczyciele z podstawówki w Kittatinny Falls byli miło zaskoczeni jego pojętnością. Umiał już czytać i wykonywać proste działania matematyczne. Ojciec

sugerował, by umieszczono go w klasie dla uczniów z problemami w nauce, lecz wkrótce został przeniesiony do trzeciej klasy.

Prawdą było, że Gedeon Cash miał słabo rozwinięte zdolności towarzyskie. Był bardzo świadomy otoczenia i zarazem niezbyt się nim przejmował, jak gdyby zdawało mu się, że jest niewidzialny. Unikał innych dzieci. Dorośli nie byli w stanie nawiązać z nim rozmowy, potrafił tylko słuchać – z wielkim skupieniem i nerwowym uśmiechem – a odpowiadał cicho i niewyraźnie, jękając się. Miało się wrażenie, że słabo słyszy albo powoli przyswaja sobie to, co usłyszał; gdy na lekcji nauczyciel pytał o coś uczniów, Gedeon zamierał, bojąc się, że pytanie może być skierowane do niego.

Dorośli nauczyli się mówić do niego łagodnie, jak do wystraszonego zwierzęcia, cierpliwym, kojącym głosem powtarzać pytania, by chłopiec wiedział, że ma dużo czasu i nic mu nie grozi.

Inne dzieci wymachiwały dłońmi, zgłaszając się do odpowiedzi. Gedeon mrugał oczami wpatrzonymi w podłogę, spletał i rozpletał palce na kolanach.

Rzadko się uśmiechał i nigdy się nie śmiał.

Jako jedyny z całej klasy zdawał się nie rozumieć żartów nauczycieli. Siedział w ławce pochmurny, nieobecny, jak gdyby wszyscy wokół porozumiewali się w obcym języku.

Przy tym nauczyciele Gedeona Casha byli zgodni, że nie znali drugiego tak usłużnego dziecka.

W pierwszych latach nauki w podstawówce Gedeon Cash praktycznie z nikim się nie przyjaźnił. W piątej i szóstej klasie zakolegował się z paroma uczniami równie nieśmiałymi jak on sam. Lubił zostawać w klasie po lekcjach, zgłaszał się do podlewania licznych roślin na parapecie i do pomocy przy aktualizowaniu gazetki klasowej. Nauczyciele odnotowywali, że jest nad wiek obowiązkowy – prawie jak dorosły. Trudno było nakłonić go do normalnej rozmowy – rzadko podnosił wzrok i spoglądał ludziom w oczy – ale skwapliwość, z jaką oferował swoją pomoc, była ujmująca.

„Nadzwyczaj dojrzały jak na swój wiek”.

„Inteligentny, ale brakuje mu pewności siebie. Podatny na stres, ale świetnie zorganizowany”.

„Uroczy chłopiec. Ale jest w nim jakiś smutek...”

Przypuszczano, że ma to związek ze śmiercią matki. Osierociła chłopca nagle, był wtedy jeszcze małym dzieckiem.

Owdowiały ojciec, Chet Cash, zwykle sam przywoził syna do szkoły czerwonym minivanem, a potem go odbierał, gdyż jak twierdził, nie ufał szkolnym autobusom.

Może kiedy Gedeon jeszcze trochę podrośnie. Może wtedy pozwoli mu jeździć do szkoły z innymi dziećmi.

Chet Cash podkreślał, że jego syn ma wrażliwą duszę i że trzeba go chronić przed starszymi, brutalniejszymi kolegami.

Chet Cash miał około czterdziestu lat i był kontakto-
wy aż do przesady. W jego ruchach było coś buńczucz-

nego. Gęste ciemne włosy czasem opadały mu luźno na ramiona – wyglądał wtedy jak generał Custer z wojny secesyjnej – a czasem wiązał je z tyłu w zawiąski, jak dilerzy narkotykowi w telewizyjnych serialach. Przez innych był odbierany jako osoba nietuzinkowa, trudna do zaszufładowania. Matowe szare oczy zdradzały czujność, nawet gdy śmiał się i żartował. Kiedy pojawiał się w szkole, by porozmawiać z nauczycielami, zazwyczaj miał na sobie koszulę z krawatem – białą bawełnianą lub flanelową w kratę – i sprane dżinsy albo spodnie khaki. Chodził w butach górskich. Nie krył troski o syna, którego nazywał „wyjątkowym chłopcem” i swoim „jedynym spadkobiercą”. Kiedy jednak nauczyciele chwalili Gedeona, marszczył czoło jakby z niedowierzaniem.

„Gedeon jest dobrym chłopcem. Na takiego go wychowałem. Może nie do końca zdawałem sobie sprawę z tego, jaki jest mądry – w domu nie widać tego tak bardzo – ale na pewno wiem, jaki z niego dobry chłopak”.

I jeszcze: „Miło mi słyszeć, że Gedeon jest mądry. Dziękuję pani”.

Choć Chet Cash mieszkał na wsi pod Kittatinny Falls, sto kilometrów od Trenton, chodziły słuchy, że jest pastorem w tamtejszym kościele. Nic jednak nie wskazywało na to, że na co dzień zajmuje się duszpaństwem, a wypełniając szkolne formularze, określił się jako „farmer i artysta”.

Wiadomo było, że mieszka z synem przy Saw Mill Road, na starej farmie Helmerichów, przez ostatnich dwadzieścia lat opuszczonej. Przyznawał, że uprawiają tam tylko kilka roślin na własny użytek i zbierają jabłka ze starego sadu.

Głównym źródłem zarobku Cheta Casha była sprzedaż rękodzieł, zwłaszcza makram, dostarczanych do sklepów w dolinie Delaware.

Według wszelkich oznak w jego życiu nie było aktualnie żadnej kobiety.

Na nauczycielkach Gedeona samotny ojciec robił dobre wrażenie. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki rodzicielskie, widać było, że kocha syna i dba o niego – choćby po tym, jak go trzymał za rękę podczas uroczystości szkolnych i jak instynktownie kładł mu dłoń na głowie, gdy rozmawiał z nauczycielami.

Rysunki i obrazki syna zobaczył pierwszy raz dopiero na kwietniowym spotkaniu rodziców, uczniów i nauczycieli. Pani Swale opowiadała później koleżankom, że był wyraźnie zaskoczony.

– Pański syn ma nieprzeciętną wyobraźnię! Jego prace są naprawdę niezwykłe.

Ojciec wpatrywał się w uwiecznione ciemne sylwetki, spoglądające wielkimi smutnymi oczami w okna zalane światłem, wpatrywał się w akwarelowe dziecięce postaci wlatujące ku nocnemu niebu.

– Mój syn to namalował?

– Ma duży talent, zwłaszcza jak na swój wiek.

Jedenastoletni Gedeon Cash stał obok ojca zeszywniały, onieśmielony, ze spuszczonego wzrokiem. Miał na sobie dżinsy i flanelową koszulę w kratę, która wisiała na nim luźno, jakby była o dwa numery za duża. Stał cicho i nieruchomo, podczas gdy dorośli rozmawiali o wywieszonych pracach. Ojciec głąaskał go po włosach i po chudym karku.

– Sam pan widzi, że prace Gedeona wyróżniają się pośród całej reszty. Pański syn stosuje technikę zwaną kreskowaniem. Aż trudno uwierzyć, że to jeszcze dziecko.

– Tak, to prawda – odparł powoli Chet Cash. – Mój syn ma bujną wyobraźnię.

– Jest uzdolniony. Trzeba go dopingować. Nawet jeśli zdarza mu się przerysować coś z internetu.

– Tak. Dzieciaki lubią malować. Z tym że ja nie pozwałam synowi korzystać z internetu. Ani grać w gry. Ogląda tylko telewizję, ale zawsze pod moim okiem.

Pani Swale nie wywiesiła rysunku, na którym łysy ogr odgryza głowę malutkiemu chłopcu. Wołała go schować do szuflady.

Do rozmowy włączyli się inni rodzice z dziećmi. Chet Cash wmieszał się w tłum i z uśmiechem przyklejonym do ust zaczął kierować się w stronę wyjścia. Syn szedł obok niego, z wahaniem, prowadzony za kark.

– Panie Cash? Proszę poczekać...

Nauczycielka dopadła do nich zdyszana i zapytała, czy już wychodzą – nie zostaną na poczęstunku?

Chet Cash odparł uprzejmie, że bardzo żałuje, ale muszą już iść. Ma dużo pracy, zresztą Gedeon też.

– Może w takim razie wpadniecie do mnie kiedyś na obiad? Mieszkam niedaleko, kilka ulic stąd.

Chet Cash uśmiechnął się szeroko, lecz jego szare oczy pozostały zimne.

– Dziękuję za zaproszenie. To bardzo miło z pani strony.

– Może przejdziemy na ty? Mów mi Brittany.

– Dobrze, Brittany.

Ale Chet Cash nie zatrzymał się, wciąż szedł w stronę wyjścia, wciąż trzymał rękę na karku chłopca.

Jechali w milczeniu w stronę Saw Mill Road.

Chłopiec ścisnął jedną dłoń w drugiej na kolanach. Krew huczała mu w uszach, ledwie słyszał własne myśli.

No to się doigrzałeś. To był twój wybór.

Tatulo był zły i zarazem spokojny – tak spokojny, jaki bywał tylko wtedy, kiedy był bardzo, bardzo zły.

Chłopiec wyobraził sobie, że trzyma w dłoni gruby pędzel znaleziony w stodole, znacznie grubszy od zwykłego pędzla, dawniej pewnie używany w konkretnym celu w gospodarstwie, na przykład do rozsmarowywania smoły. Wyobraził sobie, że zanurza ten pędzel w czymś czarnym, może właśnie w smole, i smaruje czarny pas w poprzek jezdni, przed kołami samochodu...

Gorąca smoła była tak gęsta, że nie przepuszczała tlenu.

Tatulo zaczął się dusić za kierownicą, w końcu zemdlał, a pojazd zjechał z drogi i pomknął w dół zbocza ku rzece...

– Synu? – Głos Tatula rozległ się bardzo blisko.

– Tak, Tatulu.

– Nauczyciele są z ciebie zadowoleni. Tatulo jest z ciebie dumny.

– Tak, Tatulu.

Wracali do domu przy Saw Mill Road, lecz znajoma okolica, przez którą jechali, wyglądała dziwnie, jakby straciła kolor.

Gorąca smoła zniknęła. A wraz z nią zniknęły wszystkie kolory – jak przy zaćmieniu księżyca, kiedy podobno wszystko staje się bezbarwne.

Po prawej płynęła rzeka Delaware, szarobura niczym brudna jezdnia, ledwie widoczna między drzewami. Po lewej ciągnęły się zachwaszczone pola.

Była wczesna wiosna. Większość drzew nie miała jeszcze liści, ale puszczała już pąki. Chłopiec wiedział, że to szczególna pora roku. Tatulo powiedział, że w kwietniu są jego urodziny.

Ma jedenaście lat. Tatulo pokazał mu akt urodzenia ze złotą pieczęcią stanu Maine, hrabstwa Hecate.

Dokument stwierdzał, że Gedeon urodził się 11 kwietnia 2002 roku, a jego rodzicami są Ceila Cash i Chester Cash.

Tatulo zdawał się hołubić ten dokument, na wszelki wypadek sporządził nawet kilka kopii.

– Nie pamiętasz swojej matki, Gedeonie. Była złą matką, dmuchała ci dymem w twarz.

Gedeon wołał o nią nie pytać. To Tatulo decydował, co i kiedy Gedeon powinien wiedzieć.

– Zresztą umarła na raka, właśnie dlatego, że tyle paliła. Zasłużyła na śmierć swoim nałogiem.

Czasem jednak Tatulo twierdził co innego: że matka Gedeona mieszka w północnym Michigan. Chłopiec odszukał mapę Michigan w atlasie i znalazł na niej Górny Półwysep z miastem Traverse City.

Co ciekawe, Tatulo sam palił. Trzymał papierosy w skrytkach w domu i w samochodzie. Leżąc w drewnianej skrzyni, w której Tatulo czasem go zamykał, Gedeon bez trudu wyczuwał przez zamkniętą pokrywę zapach nikotyny, nawet z drugiego końca domu.

Za każdym razem towarzyszył mu strach, że pokrywa już się nie otworzy. I za każdym razem w końcu się otwierała – otwierał ją Tatulo.

Uśmiechał się i stawiał Syna na nogi.

W takich chwilach Syn kochał Tatula mocniej niż kiedykolwiek. Kochał go miłością, z którą nic nie mogło się równać.

Ta szczególna pora w kalendarzu. Kwiecień.

Tego ranka Gedeon pojechał do szkoły ubrany w lekką kurtkę. Potem jednak z pochmurnego nieba runął dokuczliwy ziąb, niczym deszcz betonowych odłamków.

Tatulo skręcił z River Road w Saw Mill Road. Od domu dzieliły ich już niecałe trzy kilometry.

Niewiele się zastanawiając nad konsekwencjami grożącymi w razie niepowodzenia, Gedeon chwycił kierownicę i obrócił z całej siły w prawo. Zaskoczony Tatulo nie zdążył zareagować, samochód wypadł z drogi i zaczął się staczać w stronę rzeki.

Utoną. Pod naporem wody drzwi nie dadzą się otworzyć. Samochód zacznie się wypełniać brudną wodą, najpierw powoli, później coraz szybciej. Gedeon znał to z telewizji. Ale ponieważ to nie był film, nikt nie przyjdzie im z pomocą. Ponieważ to nie był film, Tatulo nie zdoła wyważyć drzwi i „uratować” Syna.

Włosy Tatula, ufarbowane na ciemno, będą się unosić jak węże. Mętna woda pochłonie oszalałe z gniewu oczy Tatula i wykrzykiwane przez niego przekleństwa.

Co się stało z Synem – nie wiadomo. Liczył się tylko Tatulo.

Syn wcale nie chwycił za kierownicę. Ogarnięty niemocą, siedział zgarbiony na fotelu pasażera i ścisnął lodowate palce.

W oddali było już widać piętrowy dom, który w zeszłym roku Syn pomógł Tatulowi częściowo odmalować na kolor turkusowy.

– Synu. Jesteśmy w domu.

2

KITTATINNY FALLS NEW JERSEY

Kwiecień 2012

Młodą suczkę Missy Gedeon wybrał sobie rok wcześniej na dziesiąte urodziny.

Niespodzianka, Synu.

Albowiem byłeś dobrym Synem.

A twój tatuś bardzo cię kocha.

Wiesz, co to łaska? Łaska jest wtedy, gdy jesteś kochany bardziej, niż na to zasługujesz. Łaska boża.

Kiedy przyjechali do schroniska dla zwierząt hrabstwa Lenape, Gedeon miał w oczach łzy szczęścia. Aż się trząś!

Tatulo nie odstępował go na krok. Ciężka dłoń cały czas spoczywała na ramieniu chłopca.

W pomieszczeniu bez okien stały jedna przy drugiej klatki ze zwierzętami. Psy, szczeniaki. Większość pode-
rwała się i skamlała. Gedeon nie wiedział, gdzie spojrzeć najpierw.

Zapach psiego moczu, psiej nadziei.

Prawie zrobiło mu się słabo. Prawie musiał wybiec na zewnątrz, bo gdyby pochorował się w środku, Tatulo byłby bardzo niezadowolony.

Ale Tatulo prowadził go wzdłuż klatek ustawionych jedna na drugiej, po trzy.

Klatka z małutkimi cocker-spanielami.

Klatka z samotnym starszym psem o łaciatej sierści, zaropiałych oczach i ogonie leżącym bezwładnie.

Klatka z psem przypominającym terriera, rozszczekany i merdającym ogonkiem.

Klatka z kolejnymi szczeniakami oraz wychudzoną suką mieszanej rasy, krzyżówką labradora i beagle'a.

Klatka z owczarkiem niemieckim, dość młodym, o niespokojnych oczach, z ogonem bijącym powoli o ziemię.

Klatka z psem o długiej beżowej sierści, czujnych oczach i postawionych uszach, nerwowo wymachującym ogonem.

Ojciec i Syn szli wzdłuż rzędów klatek w natarczym zgiewku szczekań, skomleń i pisków.

Syn zauważył, że psy w schronisku dzielą się na dwie kategorie.

Na te, które chcą, by ktoś je zabrał do siebie, by je kochał i opiekował się nimi, uczynił je członkami rodziny, i dlatego wspinają się na tylne łapy w kakofonii psich głosów, młóć ogonem, jakby chciały powiedzieć: „Mnie! Mnie! Wybierz mnie!”

I na stare psy, które straciły już nadzieję.

Groza ścisnęła Gedeona za gardło. Gdyż nawet te starsze psy, leżące nieruchomo w klatkach, spoglądały w jego stronę.

Tatulo rozmawiał z pracownikiem schroniska. Wypytywał o wiek i rasę psów. Wyjaśnił, że szukają psa przyuczonego do posłuszeństwa i do pracy, dobrego stróża, a nie leniwego kundla, z którego nie będzie żadnego pożytku.

Wyjaśnił, że szukają psa, który szczeka, kiedy ma powód, na przykład gdy ktoś obcy wtargnie na posesję, a tak poza tym nie szczeka – ani tym bardziej nie skomli.

Gedeon od razu wiedział, którego psa chce zabrać do domu. Niemal od pierwszego wejrzenia.

Chciał beżową sukę o długiej sierści, krzyżówkę border collie z golden retrieverem, która jak na sprężynie doskoczyła do prętów, kiedy on i Tatulo zatrzymali się przed klatką.

Jej szkliste oczy spoglądały z nadzieją i tęsknotą.

Weźcie mnie! Weźcie mnie ze sobą!

Już was pokochałam! Oddałabym za was życie.

Tatulo nalegał, by najpierw obejrzeni wszystkie dorosłe psy. Gedeon czekał z zapartym tchem, czy Tatulo dotrzyma słowa i pozwoli mu wybrać.

Ojciec i Syn. Chet Cash i dziesięcioletni Gedeon, uczeń piątej klasy. Nawet pracownik schroniska zauważył, że są ze sobą blisko, ojciec sprawiał wrażenie bardzo

opiekuńczego, dotykał syna, co chwila kładł mu dłoń na ramieniu.

Wreszcie Tatulo rzekł do Gedeona:

– Czyli chcesz tego? Tylko że – mrugnął chytrze – to jest suka.

Gedeon nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Owszem – odezwał się pracownik – ale Missy jest wysterylizowana i szczepiona, poprzedni właściciel oddał ją tylko dlatego, że zachorował i musiał zamieszkać u rodziny. To uroczy, łagodny i czuły pies, który szuka kochającego domu.

– Tak – powiedział niecierpliwie Gedeon.

Chciał właśnie tego psa.

Tatulo wsunął palce do klatki. Suka polizała je z wdzięcznością. Ogon jej latał.

Tatulo spytał, jak się wabi.

– Missy – odparł pracownik schroniska.

Tatulo zatrzymał samochód przed domem, a Missy wybiegła im na spotkanie, merdając radośnie ogonem.

Najdalej, jak pozwalał jej brzęczący łańcuch, którym Tatulo uwiązywał Missy na czas ich nieobecności.

Missy oduczyla się szczekania – a właściwie oduczyl ją Tatulo.

Pies – tak o niej mówił.

Gedeon nazywał ją Missy. Gedeon kochał, kochał, kochał Missy.

Odpowiadał za nią całkowicie. To on karmił ją dwa razy dziennie i utrzymywał w czystości plastikowe miski, z których jadła. Dbał, by nigdy nie brakowało jej wody. Specjalną szczotką dla psów rozczesywał jej piękną, ciepłą, beżową sierść, która łatwo się mierzwiła. A przede wszystkim pilnował, żeby nie szczekała bez powodu.

Co innego, kiedy jakiś nieproszony gość pojawiał się na żuźlowym podjeździe albo zbliżał się do drzwi. Wówczas pies miał głośno szczekać.

Tatulo nie miał też nic przeciwko temu, żeby pies gonił szczury. A także szopy, świstaki i króliki zakradające się do ogrodu za domem, gdzie latem Tatulo i Gedeon uprawiali pomidory, arbuzy, kukurydzę i paprykę.

Gedeon wiedział, że wiązanie psa za szyję to zły pomysł: łańcuch obcierał go nieraz do krwi. Nie zwrócił jednak uwagi Tatulowi, bo wiedział, że Tatula nie wolno krytykować, nie wolno z nim dyskutować.

Takie dyskutowanie oznaczało bunt. Nawet wyraz twarzy Syna, nawet zmrużenie oczu mogło zostać odebrane jako bunt. Toteż Syn nauczył się kontrolować mimikę i unikać wzroku Tatula.

Tatulo potrafił się zirytować – a chwilę później srogo rozgniewać – gdy Syn powiedział, że ma ochotę na pizzę z serem i pomidorami zamiast z serem, pomidorami i pepperoni, którą jedli zazwyczaj; albo że wolałby big maca bez topionego sera; albo że chciałby obejrzeć w telewizji program, który kolidował z którymś z ulubionych programów Tatula.

Bunt mógł być żartem. Tatulo lubił żartować.

Tyle że jego żarty nie były do końca żartami. Syn w bardzo młodym wieku przekonał się, że Tatulo potrafi być śmiertelnie poważny, kiedy uśmiecha się i żartuje. Trudno było zgadnąć, co naprawdę myśli.

Codziennie ta sama zagadka: czy Tatulo zgodzi się, żeby pies spał w pokoju Gedeona?

I czy weźmie Syna do siebie do łóżka?

Ostatnimi czasy, mniej więcej odkąd Gedeon skończył dziesięć lat, Tatulo brał go do swojego łóżka rzadziej niż przedtem. Czasem go brał i od razu zasypiał, bo wypił wcześniej kilka piw, i chrapał głośno, nakrywający gołe ciało Syna ciężką, owłosioną nogą. Coraz rzadziej też karał go zamknięciem w skrzyni.

Kiedy Tatulo zaparkował samochód przed domem, Gedeon był tak zdenerwowany, że ledwie zdołał otworzyć drzwi i wygramolić się na zewnątrz.

Dlaczego, dlaczego mi to zrobiłaś?

Był wściekły na panią Swale.

Nie powinien mieć do niej pretensji, bo przecież sam był sobie winien – a jednak miał do niej wielką pretensję.

Podbiegł do Missy i uklęknął, a ona polizała go po twarzy miękkim, chłodnym, wilgotnym językiem.

Gedeon ukrył twarz w jej sierści. Przytulił ją mocno.

Uczucie podniecenia z domieszką strachu, strachu z domieszką podniecenia wzbierało w nim, odkąd wyszli ze szkoły. Prawie zatykało mu oddech.

Tatulo stał kilka kroków obok i rozmyślał. Na wizytę w szkole ubrał się w swoją jedyną białą bawełnianą koszulę z długim rękawem, do której założył muchę w kropki, prezent od kobiety ze sklepu Gift Basket. Uściskał dłoń kilkorgu nauczycielom Syna i paru innym rodzicom, opiekuńczym tatusiom takim jak on. Teraz, będąc z powrotem w domu, niedbałym gestem zdjął muchę i wepchnął ją do kieszeni.

– Gedeonie. Ty i pies musicie ponieść karę.

Syn nie usłyszał tych słów. Krew tak huczała mu w uszach, że słyszał tylko przyspieszony oddech Missy i bicie jej serca.

Tatulo pewnym krokiem wszedł do domu. Gedeon spuścił Missy z łańcucha, będąc w domu, nie musieli się obawiać, że ucieknie.

Z wnętrza dobiegł cichy, lecz wyraźny odgłos otwieranej i zamykanej lodówki.

Czy to dobry znak? A może zły? Po jednym piwie Tatulo łagodniał. Po kilku – stawał się surowym sędzią.

Gedeon zawołał Missy na tylny ganek, żeby ją nakarmić. Suka ochoczo zabrała się do jedzenia, trącając głową jego dłoń.

Tatulo wciąż się nie zjawiał.

Będzie dobrze – powtarzał sobie w myślach Syn.

Kucał przy Missy i głaskał ją po gęstej sierści, po jej gładkiej głowie.

Wszystko będzie dobrze. Missy nie zrobiła nic złego.

Przyszło mu do głowy, że pokochanie przygarniętego psa było wielce ryzykowne. Już samo spojrzenie psu w oczy w schronisku było ryzykowne. Klątwa wisząca nad synem Tatula mogła bowiem dosięgnąć każdej istoty, która znalazła się zbyt blisko.

Wreszcie Tatulo wyszedł na tylny ganek.

Tatulo z karabinem na ramieniu.

– Odsuń się, Synu.

Patrząc ponuro, uniósł broń i wycelował w Missy, która postawiła uszy i spojrzała znad miski.

– Tatulo, nie! – wyrwało się chłopcu z gardła.

Padł rozpaczliwie na kolana przed psem.

– Synu, liczę do trzech.

Gedeon płakał, uczepony szyi Missy. Zdenerwowana suka wyrzuciła miskę z wodą. Machała gwałtownie ogonem i zaczęła szczekać na Tatula.

– Pamiętasz, co ci Tatulo powiedział. Niepotrzebny nam pies, który szczeka.

Tatulo okrążył psa i chłopca, cały czas patrząc wzdłuż lufy. Na jego twarzy pojawił się rumieniec, a zimne oczy błyszczały.

Wystrzelił, ale chybił. Missy odskoczyła, Gedeon stracił równowagę i przewrócił się na ziemię.

– Tato, nie! Nie!

Wystraszona suka nie wiedziała, czy uciekać, czy bronić swojego młodego pana. Szczekała głośno, Gedeon pierwszy raz słyszał, żeby tak ujadała. Szczekała na Tatula, który mierzył w jej pierś. Gedeon bez namysłu,

na czworakach, doskoczył do jego nóg i wytrącił go z równowagi.

– Niech cię diabli, czarnuchu! – zaklął Tatulo.

W tym momencie karabin znowu wystrzelił. Kula poszła wysoko.

– Uciekaj, Missy! Uciekaj! – krzyczał Gedeon, klaszcząc w dłonie, ignorując Tatula, który odzyskał równowagę i jednym uderzeniem kolby pozbawił chłopca przytomności.

Kiedy się ocknął, miało się już pod wieczór.

Pulsujący ból rozdzierał mu głowę. Krew z otwartej rany kapała na suchy piasek.

W pierwszej chwili nie pamiętał, co się wydarzyło. Nie wiedział nawet, gdzie jest.

Potem sobie przypomniał. Dźwignął się gwałtownie na rękach i kolanach, szukając wzrokiem Missy, ale nigdzie jej nie było.

Zauważył tylko krople krwi na piasku. Ślad z czerwonych plam prowadził do stodoły i zniknął pod jej zbudowaną podłogą.

– Missy... – jęknął cicho.

3

KITTATINNY FALLS NEW JERSEY

Kwiecień 2012

Przyjechał do miasta rowerem.

Tego ranka – była sobota – Tatulo wziął minivana i pojechał z makramami do pośredników w dolinie Delaware.

Tatulo nie zabraniał Synowi jeżdżenia na rowerze po okolicy, pod warunkiem że nie będzie rozmawiał z obcymi.

Z punktu widzenia Tatula wszyscy ludzie – włącznie z kolegami Syna z szóstej klasy – byli obcy.

Syn nie miał żadnego planu. Ale Gedeon być może jakiś miał.

Syn żył w czasie teraźniejszym. Gedeon żył w czasie przeszłym.

Przy czym Gedeon był mądrzejszy od Syna, był od niego starszy i dlatego, jeśli tylko chciał, mógł żyć w czasie teraźniejszym lub przyszłym.

Syn udusił się w skrzyni. Nie przeżył.

Albo: przeżył jako robak, który wije się i płaszczy.

Syn i Gedeon nie byli tą samą osobą.

Syn mówił do Tatula: *Tak, tato. Kocham cię, tato.*

Gedeon mówił to samo, ale w głębi zbuntowanej duszy myślał co innego.

Syn rozpłakał się na widok nieruchomej Missy pod podłogą stodoły.

Zawołał ją po imieniu i widział, jak raz i drugi pode-
rwała ogon.

Syn płakał bezsilnie. Gedeon wytarł łzy i krew z brudnej twarzy i wczuł się pod stodołę, żeby wyciągnąć Missy.

W jej piersi ugrzęzły dwie kule. Piękna sierść zaplamiała się krwią.

Wściekły Tatulo kazał mu pochować „to ścierwo”.

Ścierwo! Gedeon nie zamierzał tak myśleć o Missy, nawet po jej śmierci.

W głębi zbuntowanej duszy Gedeon kochał Missy bardziej niż Tatula, nawet teraz, kiedy przestała oddychać, kiedy była martwa.

Choć niełatwo mu było uwierzyć, niełatwo pojąć, że Missy nie żyje.

Już nigdy nie położy się na posłaniu ze starych ręczników i koców, które mościł jej w nogach swojego łóżka. Już nigdy nie położy się w jego łóżku i nie przycisnie ciepłej głowy przez koc do jego uda w jeden z tych wieczorów, kiedy Tatulo nie będzie w nastroju do zabaw z Synem.

Gdy znalazł Missy, zdawało mu się, że jeszcze żyje. Tak jednak nie było.

Dziwnie mu się oddychało. Jak gdyby miał zadysz-
kę po bieganiu. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Próbował podnieść Missy, ale jej ciało było ciężkie i bez-
władne.

– Jebany czarnuchu. To cię nauczy.

Tatulo był zniesmaczony zachowaniem Gedeona. Najpierw ogłuszył go ciosem w skroń, a później, gdy zobaczył, że szlochający chłopiec wypęłza spod szo-
py, ciągnąc za sobą martwego psa, podszedł do nie-
go i wymierzył mu mocnego kopniaka w klatkę pier-
sioną.

– Zabieraj to ścierwo i je zakop, nie chcę na nie pa-
trzeć!

Syn posłuchał. Syn zawsze wykonywał polecenia.

Od kopania grobu Gedeonowi porobiły się na dło-
niach pęcherze.

Kopał za ogrodem. Żeby Missy miała widok na ja-
błonie, które niedługo zakwitną różowawą czerwienią
wśród zielonych liści.

Uwielbiała wspólne zabawy na dworze. Gonyty po
sadzie i na polach. Bieganie za małymi stworzeniami –
myszami, szczurami? – w starej stodole.

Kiedy Gedeon pochował ją w ziemi i oznaczył mogi-
łę niewielkim kamieniem, Tatulo zawlókł go do domu
i ukarał dodatkowo zamknięciem w skrzyni, w której
wysoki jedenastołatek prawie się już nie mieścił.

– Powinienem cię wrzucić w tym do rzeki. Ciekawe, jak daleko byś dopłynęła. Ciesz się, że Tatulo ma miłosierne serce.

Ciało Gedeona pokrywały siniaki i obrzęki.

Jego włosy wymagały ponownego farbowania, ale zbrzydzonemu Tatulowi szkoda było na to czasu, więc po prostu ciachał chłopcu włosy nożyczkami, a potem niedokładnie golił mu głowę maszynką, zostawiając nierówną szczecinę.

Potem w szkole wszyscy mu się przyglądali. *Siemasz, dziwolągu!*

Z czasem koledzy i koleżanki z klasy zaczęli jednak ważyć przy nim słowa. Dawniej nieśmiały Gedeon Cash o wiecznie spuszczonej oczach coraz częściej podnosił spojrzenie – i nie było ono przyjazne.

Kwiecień dobiegał końca, mijały trzy tygodnie od dnia otwartego dla rodziców.

Gedeon miał zwolnienie z wuefu – nie chciał się przebierać, ponieważ tata zabronił mu „świecić golizną”.

Kierownictwo szkoły przyjęło to ze zdziwieniem – o jaką goliznę mogło chodzić? Przecież chłopcy nie robili się do naga. Czasy, kiedy uczniowie szkół publicznych po zajęciach sportowych brali obowiązkowy prysznic, należały już do przeszłości. Nie było żadnej golizny.

Gedeon powiedział, że jego tata powiedział, że jeśli ktoś zobaczy jego nagie ciało, wniesie skargę do sądu.

Dlatego chłopiec nie musiał przebierać się w szatni ani uczestniczyć w lekcjach wuefu. Pozwolono mu spędzić

dzać ten czas w jednym z jego ulubionych miejsc: w bibliotece.

Nikt nigdy nie widział sińców i krwiaków ukrytych pod jego ubraniem. Kiedy pytano go o siniaka i skaleczenie nad skronią, wyjaśniał – jak mu kazał Tatulo – że spadł z roweru, wjechawszy w dziurę na Saw Mill Road.

Jego wychowawczynie wyraziła zaniepokojenie raną głowy i powiedziała, że może powinien na nią rzucić okiem lekarz i ocenić, czy nie należałoby założyć szwów. Gedeon nie miał na to żadnej odpowiedzi; zdawało się, że w ogóle nie usłyszał pytania.

Tatulo zagroził, że jeśli nauczyciele będą zbyt dociekliwi, zabierze Syna ze szkoły i sam będzie go uczył. Kiedyś już to robił, miał też odpowiednie przygotowanie – swego czasu studiował w publicznej szkole wyższej w Detroit.

Ukończył też kilka kursów w poprawczaku w Traversse City, tamtejsi nauczyciele bardzo go chwalili.

Miałem w życiu pecha, nikt mi nie dał stypendium, że bym mógł studiować na Harvardzie albo Yale. Skurwysyny nie dały mi szansy.

W każdą sobotę rano Tatulo wsiadał do minivana i rozwoził makramy – kolorowe ozdoby ścienne, paski, torebki, wyściółki do siedzenia, wieszaki na doniczki – do pośredników.

Pośrednikami były właścicielki sklepów w Lambertville, a także po drugiej stronie rzeki, w popularnych wśród

turystów pensylwańskich miasteczkach New Hope, Washington Crossing, Center Bridge i Raven Rock.

Tatulo opatrywał swoje wyroby metkami Pracownia Cheta Casha, Kittatinny Falls, N.J. *Świetna robota, Chet! Są naprawdę udane.*

Nasi klienci nie szukają «oryginalności» – oni szukają właśnie czegoś takiego.

Może zrobisz więcej tych mniejszych torebek? Możemy je sprzedawać po 50 dolarów sztuka.

I wieszaki na doniczki! O tej porze roku sprzedają się najlepiej.

Gedeon wyrabiał makramy od – ile to już czasu! – nie potrafił sobie przypomnieć od kiedy. Tatulo, rzecz jasna, dostarczał mu materiały i wytyczne – co tydzień miał konkretne zamówienia od pośredników.

Robienie makramowych węzłów nie sprawiało już Gedeonowi żadnej trudności. Tak jak to było z większością domowych obowiązków, mógł pracować rękoma i jednocześnie rozmyślać na różne tematy.

Jego zwinne i wprawne dłonie wciąż były dłońmi dziecka. Rosły jednak coraz większe.

Tak jak i cały Gedeon.

Lubił te spokojne godziny, kiedy Tatulo nie wisił mu nad głową i nie prawił kazań o życiu i śmierci, o dobru i złu, o Bogu, Szatanie i Przeznaczeniu, bo mógł wtedy skierować myśli ku innym sprawom.

Próbował na przykład przypomnieć sobie swoje pierwsze makramy – a co było przedtem?

Czy nie miał wcześniej innego taty? Czy nie miał mamy, która też go przytulała, ale inaczej niż Tatulo?

Trzymała go mocno za rękę. Szli razem przez jakąś otwartą przestrzeń w rodzaju parkingu. Krzyczała na niego – chyba krzyczała. Tatulo mówił, że rodzice sprzedali go handlarzom dziećmi, a on go uratował, tak jak ratuje się zwierzę ze schroniska.

Mówił: *Zawdzięczasz Tatulowi życie. Każdy oddech.*

Przypomniało mu się coś jeszcze. Jechał rowerem Saw Hill Road w stronę River Road, gdy nagle sobie przypomniał.

To było jak kawałek niestrawionego jedzenia, który podchodzi z powrotem do gardła i psuje smak w ustach.

To było kilka lat temu, oglądali wieczorem telewizję. Był wtedy jeszcze mały.

Zjadał tylko połowę big maca, kilka frytek, trochę słodkiej surówki, popijał colą z butelki Tatula, uwięziony w ciasnym uścisku jego ramienia, niczym telewizyjny zapaśnik ujęty w mocny chwyt przez silniejszego rywala. Zbliżała się pora przytulania. W telewizorze dwóch dziennikarzy rozmawiało o uprowadzonym przed czterema miesiącami piętnastoletnim chłopcu, którego policja odnalazła w odległości zaledwie stu kilometrów od domu. Chłopiec wrócił do rodziców, porywacza aresztowano, a dyskusja toczyła się wokół jednej kwestii: *Dlaczego chłopiec nie uciekł, skoro wszystko wskazuje, że miał mnóstwo okazji? Bywał z porywaczem w miejscach publicznych, widywali go sąsiedzi, którzy byli przekonani,*

że to syn porywacza, bo nic nie wskazywało na to, że jest inaczej. W końcu gospodarz programu, ulubieniec Tatula, podsumował nonszalancko: Wygląda na to, że chłopak mógł uciec milion razy, gdyby tylko chciał. Widocznie to nowe życie po prostu bardziej mu odpowiadało – nie musiał chodzić do szkoły, miał dużo czasu dla siebie, mógł jeździć na deskorolce i obżerać się pizzą. No więc chcę powiedzieć, że ja tego nie kupuję, dzieciaki uciekają z domów, a potem udają ofiary.

Tatulo śmiał się głośno, bo uwielbiał tego sarkastycznego dziennikarza, od czasu do czasu nawet pisał do niego e-maile z wyrazami uznania. Liczył, że może kiedyś wystąpi w jego talk-show i cała Ameryka pozna jego „prawdziwą historię”.

Wygląda na to, że chłopakowi było dobrze z „porywaczem”. Sprawa wcale nie jest tak oczywista, jak się wydaje liberalnym mediom. Takie jest moje zdanie i nie wstydzę się tego.

Po tłustej i słodkiej kolacji Syn zrobił się senny i szybko usnął w objęciach Tatula.

Aby dostać się do miasta, musiał przejechać na rowerze cztery kilometry.

Na plecach miał plecak.

Na obrzeżach Kittatinny Falls znajdował się Pierwszy Kościół Metodystyczny, gdzie Chet Cash pojawiał się czasem z synem na porannym nabożeństwie w sobotę lub wieczornym w środę. Nieopodal była remiza ochotniczej

straży pożarnej, którą odwiedzał z synem w Dniu Weterana, w Dzień Niepodległości albo w Święto Pracy – na podjeździe rozstawiano wtedy stoły i sprzedawano potrawy przygotowane przez żony strażaków, można było porozmawiać ze strażakami, uścisnąć im dłonie, kupić zapiekankę, chleb i różne słodkie wypieki. (Na te dni otwarte w remizie zawsze przychodziło mnóstwo dzieciaków i mnóstwo takich jak Tatulo młodych rodziców, z którymi ucinął sobie przyjazne pogawędki). Były wreszcie i domy: duże, dziewiętnastowieczne, o drewnianej konstrukcji, dość eleganckie, wybudowane przed wieloma laty nad rzeką Delaware z myślą o właścicielach zakładów w Lambertville. Zimą Chet Cash przy pomocy syna nieraz odgarniał tam śnieg po nagłych opadach, nie żądając w zamian żadnej zapłaty od właścicieli, którymi były na ogół osoby starsze, nierzadko samotne kobiety. Chet szybko to ustalił. Tydzień w nowym miejscu wystarczał mu do zdobycia zdumiewająco szerokiej wiedzy na temat sąsiadów – nazywał to „obserwacjami z pierwszej ręki”.

Niektórym odśnieżanie cudzych podjazdów i chodników może się wydać czymś dziwnym. Ale Chet Cash nie godził się, by krępowały go konwencjonalne wzorce zachowania – co to, to nie! Tłumaczył, że tak go wychowano, że pomaga ludziom sam z siebie, nie czekając, aż go poproszą. Nie zniechęcało go nawet to, że właściciele niektórych domów mieli podpisane umowy z firmami, które po każdej śnieżycy przysyłały pługi.

Odgarnianie śniegu łopataą dobrze robi na zdrowie, mawiał Chet Cash. Jest jak śpiew – i tu, i tu człowiek czuje w sobie obecność Boga. To wspaniałe uczucie. Wspaniale jest pomagać bliźnim.

Wdzięczni właściciele zapraszali Cheta i jego synka Gedeona do swoich domów. I rzeczywiście były to często osoby starsze, między innymi dwie wdowy mieszkające samotnie w domach pomyślanych dla licznych rodzin. Obie wzruszyła okazana przez Cheta dobroć i troska i postanowiły ugościć ojca i syna obiadem.

Jak ci na imię, synku?

Gedeon – to bardzo ładne imię.

A ile masz lat, Gedeonie?

Wychowywanie dziecka to duże wyzwanie, przyznawał Chet Cash. Zwłaszcza w pojedynkę.

Ale przecież jest tyle kobiet, które chętnie by mu w tym pomogły, słyszał w odpowiedzi.

To prawda. Zdawał sobie z tego sprawę. Ale wspomnienie matki chłopca, które nosił w sercu, było nadal żywe i nie czuł się jeszcze gotów, by spotykać się z kobietami, chyba że na stopie przyjacielskiej.

Mój syn nie jest jeszcze gotowy na macochę. Ciągle przeżywa śmierć matki.

Gedeon minął na rowerze podstawówkę West Lenape przy Spruce Street. Dojechał do składu drewna przy skrzyżowaniu z Church Street i skręcił w prawo, gdzie droga pięła się do góry. Pamiętał, że pani Swale mieszka przy Church Street, pod numerem sześćdziesiąt siedem.

Za nijakim ceglanym domem pani Swale odchodziła boczna uliczka. Skręcił w nią, lecz błoto i koleiny sprawiały, że trudno się po niej jechało.

Zszedł z roweru i ukrył go za stertą gruzu.

Był późny ranek. Na ogrodzonych podwórkach bawiły się dzieci, ale uliczka była pusta.

Na tyłach większości tutejszych domów, bezpośrednio przy uliczce, znajdowały się garaże. Były stare, podobnie jak same domy. W niektórych okienkach brakowało szyby. Niektóre drzwi były otwarte, może nawet nigdy nie było w nich zamków, każdy mógł z łatwością wejść niezauważenie do środka.

W niewielkim Kittatinny Falls według spisu z 2005 roku mieszkało 645 osób. Mało kto zamykał tutaj garaże na klucz, a i domy często zostawiano otwarte.

Idealne miejsce do wychowywania dziecka. Duże miasta nie mają przyszłości – Bóg je opuścił.

Gedeon szybko ustalił, który garaż należy do pani Swale.

Usłyszał kiedyś – gdyż tak jak Tatulo zawsze miał oczy i uszy otwarte – że pani Swale mieszka z matką i jeszcze kimś z rodziny, prawdopodobnie siostrą albo babcią.

W plecaku niósł szczelnie zakręcony ośmiokilogramowy pojemnik z naftą. Do tego trzydziestocentymetrowy lont i pudełko zapalek.

W garażu za domem pani Swale stał należący do niej biały ford taurus z porysowanymi zderzakami. Większa

część garażu służyła za przechowalnię, wolnej przestrzeni było akurat tyle, by zmieściło się auto, więc parkowanie musiało wymagać dużej precyzji.

Poza tym: kubły na śmieci, narzędzia ogrodnicze, rowery, w tym jeden na trzech kółkach. Kartony i wiklinowe kosze. A nawet stary, nadgniły makramowy wieszak na doniczki. Szyby w oknach zarosły grubą warstwą brudu, lecz mimo to przez jedno z okien przeświecało słońce, a załamane promienie dawały efekt wiszącej w powietrzu tęczy.

Pana syn jest bardzo uzdolniony! Nawet jeśli zdarza mu się przerysować coś z internetu.

Ręka nie zadrżała mu ani razu. Jak gdyby odprawiał dobrze przećwiczony rytuał: ostrożnie rozprowadził naftę po wszystkich zatęchłych kątach garażu i pod samochodem, najdalej, jak mógł sięgnąć, potem oparł pojemnik z resztką płynu o karton wypełniony styropianem i wetknął do niego końcówkę trzydziestocentymetrowego lontu. Zapałkę udało mu się zapalić za pierwszą próbą.

Pański syn ma nieprzeciętną wyobraźnię! Może pan być z niego dumny.

Kiedy był w połowie drogi do domu, w miasteczku zażyła niczym zdradzone zwierzę strażacka syrena.

4

KOŚCIÓŁ NIEUSTAJĄCEJ NADZIEI TRENTON, NEW JERSEY

Maj 2012

Czyż nie zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga?

Czy nie odważymy się powiedzieć, że zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo bożej miłości?

Tego niedzielnego poranka Tatulo zabrał go do parafii Kościoła Nieustającej Nadziei w Trenton. Gedeon nieczęsto miał okazję oglądać Kaznodzieję Casha przemawiającego do obcych ludzi.

W kościele większość stanowili ciemnoskórzy. Do tego garstka białych – samotnych i niemłodych kobiet – i syn Kaznodziei, chłopiec o dziwnie bladej, woskowej cerze, w której uważny obserwator mógł jednak dostrzec śniady ton.

Syn siedział jak posąg zdumienia. Słuchał kaznodziejskiego głosu, spokojnego i kojącego, łagodnie wznoszącego się i opadającego, i nie mógł uwierzyć, że ten mężczyzna to jego ojciec.

Pastor Cash odprawiał gościnnie nabożeństwo na zaproszenie pastora Silka.

Gedeon czuł się, jakby miał się rozchorować. Brzuch mu burczał, domagając się czegoś więcej oprócz płatków śniadaniowych na zimno, zjedzonych w pośpiechu o bladym świetle na odległej farmie przy Saw Mill Road w Kittatinny Falls. Przyjechali tutaj z północy wąską, krętą drogą nr 29, nie robiąc ani jednego postoju. Pamiętaj synu, powiedział mu Tatulo, w kościele nie odzywaj się ani słowem.

Kaznodzieja uniósł dłonie. Jego stalowe oczy były pełne blasku.

Niech Bóg was błogosławi, moi bracia i siostry w Chrystusie!

Choć żyjemy w osobnych ciałach, stanowimy jedność w Bogu.

Gedeon siedział nieruchomo w pierwszej ławce, nieco z boku. Nie mógł się nadziwić, z jaką łatwością Tatulo przemienia się w Kaznodzieję – niemalże w innego człowieka.

Jak gdyby Tatulo był dwiema różnymi osobami.

Był Tatulo, który przytulał, całował, karmił i pocieszał – i był Tatulo, który ranił go swoimi pieczytami i wpadał w gniew tak łatwo, jak nafta zajmuje się ogniem.

Był Tatulo, który go chronił.

I był Tatulo, który wymierzał kary.

Kaznodzieja Cash był bez wątpienia człowiekiem o szlachetnym sercu. Również o szlachetnym wyglądzie –

nosił czarny płaszcz, czarne spodnie i śnieżnobiałą koszulę, a jego kamizelka była uszyta z purpurowego aksamitu. Brodę miał ciemną i szczeciniastą, przetykane srebrnymi nitkami włosy opadały mu na ramiona. Wydawał się wyższy od Tatula, gdyż bardziej prostował plecy i ramiona.

Przynoszę wam radość Pana.

Pan raduje się wami, swoimi umiłowanymi dziećmi, w których ma upodobanie.

W tym wspomniałym, błogosławionym Kościele Nieustającej Nadziei.

Gedeon bał się spojrzeć w oczy Kaznodziei. Miał siedzieć cicho, więc siedział cicho, z opuszczoną głową, lecz patrzył spod rzęs, jak Kaznodzieja kroczy wśród wiernych.

To są głodne dusze – wyjaśnił mu wcześniej Tatulo.

Wszyscy ludzie cierpią ten sam duchowy głód – tyle że nie wszyscy są tego świadomi.

Ziarno Jezusa Chrystusa pada na różną glebę.

Zadaniem Kaznodziei jest siać ziarno Chrystusa i na glebie żyznej, i na jałowej, bo wszyscy są braćmi i siostrami w Chrystusie.

Kaznodzieja przez ponad pół godziny przemawiał z pasją do głodnych dusz. Nikt nie był w stanie oderwać od niego wzroku – wszyscy słuchali jak zahipnotyzowani.

Większość stanowiły kobiety, starsze, ciemnoskóre, ubrane odświętnie, w kapeluszach z kwiatami. Gedeon

oceniał, że średni wiek parafian wynosił około pięćdziesięciu lat. Chociaż było też trochę dzieci – może wnuków przyprowadzonych przez babcię?

On sam nie miał dziadka ani babci. Tatulo mówił: *Jestem twoją jedyną rodziną, Synu. Tylko ja stoję między tobą a skrajem rzeki.*

Od tych myśli narastało w Gedeonie zdenerwowanie. Dziwne uczucie w żołądku nie mijało.

W Trenton często słychać było syreny. Po drodze do kościoła przy State Street widzieli pędzący policyjny radiowóz i ambulans, oba na sygnale.

W Kittatinny Falls szerokim echem odbiło się podpalenie garażu pani Swale. Miejscowa policja i pracownicy biura szeryfa prowadzili dochodzenie, ale jak dotąd nie wpadli na żaden trop. Na domiar złego w ostatnim czasie podłożono ogień w dwóch kolejnych garażach.

Wszystkie trzy pożary wybuchły w promieniu półtora kilometra od szkoły podstawowej West Lenape.

Wiesz coś o tym, Synu? – zapytał Tatulo, czytając o pożarach w lokalnej gazecie. *To mi wygląda na robotę jakichś dzieciaków. Albo dzieciaka.*

Przypomniało mi się, co kiedyś zrobiłem w Detroit jako młody chłopak – dodał ze śmiechem. *Podpaliłem dom takich jednych sąsiadów. Sami się o to prosili!*

Gedeonowi aż podskoczyło serce. Ale Tatulo (chyba) nie mówił tego poważnie?

Syn nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Tatulo czyta w jego myślach.

Na pewno umiał czytać w jego myślach dawniej, kiedy go „adoptował” i zamieszkali razem.

Wyczuwał wtedy niezawodnie każdy załazek buntu. Syn dobrze o tym wiedział!

Gedeon drwił sobie z tych obaw. Miał jedenaście lat, nikt nie będzie czytał w jego myślach.

Przypomniał sobie, jak przed laty w Trenton – w dzielnicy mieszkalnej zwanej Grindell Park – Tatulo zabrał go na plac zabaw, ubranego w szorty i koszulkę, i pozwolił bawić się na huśtawkach i zjeżdżalni, a sam wrócił do zaparkowanego na ulicy samochodu. Po pewnym czasie – może to była godzina, a może tylko kwadrans? – Gedeon uświadomił sobie, że ktoś mu się przygląda. Mężczyzna. Nieznajomy. Stał w pewnej odległości od placu zabaw, potem zaczął krążyć dookoła, trzymał w ręku jakiś przedmiot, aparat fotograficzny, a może małą kamerę. Gedeona ogarnęło podniecenie i rośło z każdą chwilą. *Przyszedł po mnie. Zabierze mnie ze sobą.*

Na placu zabaw były inne dzieci, ale huśtały się na huśtawkach pod okiem swoich mam. Tylko Gedeon wyglądał, jakby przyszedł sam.

Po jakimś czasie przestał się huśtać. Był zmęczony i zarazem podekscytowany. Minivan wciąż stał na ulicy. Przez ciemne szyby nie dało się zajrzeć do środka, nawet z bliska. Wydawać by się mogło, że w środku nikogo nie ma.

Gedeon zszedł z huśtawki i ruszył w stronę kraniku z wodą pitną. Mężczyzna z kamerą zaczął iść za nim.

Zabierz mnie do domu. Tego prawdziwego.

To policjant w cywilu.

Oglądając telewizję z Tatulem, Gedeon słyszał nieraz o policjantach w cywilu. O agentach działających pod przykryciem.

Tyle że mężczyzna z kamerą nie wyglądał jak policjant: był grubawy i sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

Zbliżał się jakby bokiem, twarz miał zwróconą w inną stronę, ale nogi niosły go w kierunku chłopca.

Odezwał się zachrypniętym głosem, zaciągając po południowemu: Cześć, mały!

Gedeon odwrócił wzrok. Tatulo zabronił mu rozmawiać z nieznanymi, chyba że w jego obecności i za jego zgodą.

Cześć, mały! Gdzie twoja mamusia?

Nie ma tu twojej mamusi?

Przyszedłeś sam?

Jak ci na imię?

Mężczyzna stanął obok Gedeona i uśmiechał się do niego. Oddychał szybko. Był starszy od Tatula. Okulary w czarnych plastikowych oprawkach zsuwały mu się z nosa. Miał ślinę w kącikach ust.

Mamusia sobie poszła i zostawiła cię tutaj samego? Nie powinna cię zostawiać bez opieki!

Mężczyzna wziął Gedeona za rękę. Chłopiec próbował mu się wyrwać, lecz nieznanomy zacisnął dłoń.

Wtedy pojawił się Tatulo.

Zbliżał się prędko, wielkimi krokami, długie włosy powiewały mu wokół twarzy zmarszczonej w srogim gniewie. Na jego widok rumiany mężczyzna puścił dłoń Gedeona i potykając się o własne nogi, próbował się oddalić. Tatulo dogonił go, chwycił za ramię i zaczął nim potrząsać. Mówił coś do niego surowym tonem, Gedeon nie słyszał co, bo krew huczała mu w uszach.

Rumiany mężczyzna próbował odejść, ale Tatulo szedł za nim, szturchał go i popychał otwartą dłonią. Nieznajomy, niższy o pół głowy, był wyraźnie wystraszony, co chwila mamrotał przeprosiny.

Przez kolejnych kilka minut Tatulo rozmawiał z mężczyzną, teraz już nieco ciszej. Jeżeli matki zauważyły scysję, nie dawały tego po sobie poznać.

Zbliżał się wieczór, na placu zabaw było już pustawo, większość dzieci wróciła z rodzicami do domów.

Gedeon stał w pewnej odległości, nie wiedząc, jak się zachować. Bał się, że Tatulo skieruje swój gniew na niego.

W końcu puścił mężczyznę, kiedy ten wyjął z kieszeni portfel i wręczył mu pośpiesznie zwitek banknotów. Tatulo wziął je z szyderczą miną i wepchnął do własnej kieszeni.

Mężczyzna oddalił się, utykając. Tatulo odwrócił się do Gedeona, jego twarz w jednej chwili rozjaśnił uśmiech.

Synu, muszę cię pochwalić! Nie odezwałeś się ani słowem do tego zboczeńca. Widziałem.

Oto mój syn, w którym mam upodobanie.

Syn poczuł w sercu wielką ulgę i radość.

Również w Kościele Nieustającej Nadziei panował radosny nastrój.

Oto bowiem biały Kaznodzieja Cash oznajmiał, że jest bratem pastora Silka – obaj duszpasterze mówili o sobie nawzajem z braterską serdecznością.

Biały Kaznodzieja Cash przemawiał do wiernych czule, a zarazem odważnie, stanowczo.

Namawiam was, drogie siostry i bracia w Chrystusie, abyście przebaczali swoim wrogom. Kochajcie wrogów, jak nakazał nam Chrystus. Ktoś powie, że to nie jest dobre przesłanie na dzisiejsze czasy. Ktoś powie, że epoka terroryzmu nie jest epoką miłości, lecz epoką wojny, gniewu i odwetu. Lecz powiadam wam: nie może być słusznego odwetu bez nieustającego przebaczenia, nieustającej nadziei, nieustającej miłości.

Uśmiechnięty pastor Silk stał z boku, przy ambonie.

Pastor Silk, oddany przyjaciel Kaznodziei, który po każdym nabożeństwie dzielił się z nim pieniędzmi z tacy. Był to przystojny ciemnoskóry mężczyzna po pięćdziesiątce, o krótko przystrzyżonych ciemnych włosach i schludnym wąsiku, przypominający trochę pastora Martina Luthera Kinga. On także miał na sobie ciemny płaszcz, ciemne spodnie i białą koszulę, a na niej kamizelkę ze złotego brokatu.

Chór zaczął śpiewać *W domu Jezusa* – mocnymi, donośnymi głosami, do których przyłączyli się pozostali wierni.

Radosny nastrój potęgował się z każdą chwilą. Dobro wypełniało wszystkie serca, aż chciało się krzyżeć. Chciało się rzucić na podłogę, oddać się Chrystusowi i pójść z nim do nieba, zapomnieć o wszystkich doczesnych zgryzotach.

Kaznodzieja Cash uniósł dłonie w pożegnalnym geście błogosławieństwa.

Bracia i siostry w ukrzyżowaniu, zmartwychwstaniu i życiu wiecznym w Chrystusie – amen.

5

DWORZEC AUTOBUSOWY W TRENTON, NEW JERSEY

Maj 2012

Synu, wysiadaj.

Tutaj?

Wysiadaj, Synu. Rób, co mówię.

Zatrzymali się na Sloan Avenue, ruchliwej ulicy w centrum Trenton. Gedeon był zdziwiony, bo myślał, że pojedą prosto do Kittatinny Falls.

Tatulo grzecznie wymówił się od zjedzenia niedzielnego obiadu z pastorem Silkiem i jego rodziną. Powiedział, że muszą wracać do domu, gdzie czekają ich różne obowiązki.

Jednak zaraz potem, przejechawszy ledwie kilka przecznic, zatrzymał minivana przed wejściem na dworzec autobusowy.

Gedeon był zdezorientowany. Zaniepokojony. Wiedział jednak, że nie wolno mu się ociągać, musi być posłuszny.

Jego zdrętwiałe palce nie mogły sobie poradzić z klamką. Zniecierpliwiony Tatulo mruknął coś pod

nosem, przechylił się w jego stronę i sam otworzył mu drzwi.

Wysiadaj. Idź na dworzec.

Wciąż miał na sobie strój Kaznodziei, który dodawał wagi jego słowom i gestom. Włosy, opadające na ramiona potężną kaskadą, pachniały olejkiem, sztywny zarost musnął twarz Gedeona.

Gedeon zapytał, co ma zrobić, kiedy już będzie w środku? Odpychał od siebie myśl, że Tatulo zamierza go porzucić.

Nic nie musisz robić, Synu. Usiądź na ławce, tak jakbyś czekał na swój autobus.

Ale wrócisz po mnie, Tatulu?

Głos Gedeona był w tamtej chwili żalonym głosem Syna.

Po nabożeństwie, gdy ostatni wierni opuścili budynek Kościoła Nieustającej Nadziei, Gedeon słyszał, jak pastor Silk pyta o niego Kaznodzieję, który odparł: To mój syn, ma jedenaście lat i obecnie mieszka ze mną.

Słyszał też, jak pastor Silk pyta o kogoś jeszcze – o Kanaana?

Słowo to kojarzyło mu się z Biblią, ale poza tym nic mu nie mówiło.

Kaznodzieja zniżył wtedy głos. Gedeon zdołał tylko wychwycić, że Kanaan wrócił do Michigan, do swojej bezbożnej matki.

Teraz chłopiec stał uczepiony klamki, bojąc się odejść, bo może taki sam los spotkał Kanaana? Może

Tatulo kazał mu wysiąść z samochodu w obcym mieście i odjechał?

Tatulu, ale wrócisz po mnie, prawda?

Tatulo w przebraniu Kaznodziei miał więcej cierpliwości do Syna i jego płaczliwych próśb. Albowiem serce miękło mu na widok tej całkowitej uległości, tego bezgranicznego przywiązania.

Synu, idź na dworzec i nie ruszaj się stamtąd. Jeżeli zobaczysz policjanta, nie patrz w jego stronę. Jeżeli podejdzie do ciebie ktoś nieznajomy, nie rozmawiaj z nim.

Ale Tatulu, wrócisz po mnie? – Głos Gedeona brzmiał żałośnie.

Tatulo zaśmiał się, ale bez drwiny. Pocałował Syna w czoło.

Jezus powiedział: „Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary?”

Po tych słowach Tatulo wypchnął Gedeona z samochodu i odjechał.

Chłopiec wszedł do hali dworca na uginających się nogach.

W uszach dzwonił mu rój oszalałych cykad.

I jeszcze te tłumy ludzi! Większość była ciemnoskóra.

Tatulo mnie nie zostawi. Tatulo mnie kocha.

Środkiem hali szedł młody policjant i rozmawiał przez malutki telefon. Jego wzrok prześlizgnął

się po Gedeonie Cashu, siedzącym na ławce obok kobiety z płaczącymi dziećmi, ale nie zatrzymał się na nim.

Donośny głos zapowiadał odjazdy autobusów. Gedeon patrzył, jak stojący w kolejce pasażerowie wsiadają jeden po drugim do środka. *Tatulo kocha mnie najbardziej na świecie.*

Syn wierzył w to niezbitcie. Gedeon też wierzył, ale miał wątpliwości.

Wiedział, że przed nim w domu w Kittatinny Falls mieszkali z Tatulem inni chłopcy.

W każdym razie na pewno byli przed nim jacyś chłopcy, bo Gedeon nosił po nich przyduże ubrania i buty.

Tatulowi nie podobało się, że Gedeon rośnie.

Był chudy, tyczkowaty, wyższy od większości kolegów z klasy.

Miał twarz dziecka, nie wyglądał na więcej niż dziesięć lat.

Ale jego mózg nie był mózgiem dziecka. Nocą Gedeon czuł, jak myśli w nim pulsują i wibrują.

Syn spał. Gedeon nie mógł zasnąć.

Syn nie miał wątpliwości, że Tatulo wróci po niego na dworzec.

Gedeon też nie miał wątpliwości. Lecz mimo to czuł niepokój.

Wpatrywał się w ogromny, brzydki zegar na ścianie. Nie odrywał oczu od wskazówki minutowej.

W hali dworca panował ciągły ruch. Od czasu do czasu w tłumie migiała blada twarz. Czasem jakiś jasnoskóry chłopiec w jego wieku – zawsze z rodzicem.

Na dworcu byli też starsi chłopcy, nastolatki – ci na ogół czarni, w obwisłych dżinsach i bluzach z kapturem.

Mijały kolejne minuty. Nikt nie podchodził do Gedeona Casha, nikt go nie zagadywał.

Pomyślał o placu zabaw w Grindell Park i zrobiło mu się źzej na duchu. Tamta sytuacja była podobna. Tatulo i tym razem na pewno po niego wróci.

Tatulo czeka, aż podejdzie do niego ktoś obcy. Jakiś mężczyzna, którego zaciekawi chłopiec siedzący samotnie na dworcu.

Gedeon miał na sobie „dobre” ubranie: flanelową koszulę w kratę, tylko trochę za dużą, ciemne spodnie i tenisówki.

Ale nie te ubłocone, leżące w szafie, o których Tatulo powiedział, że jeszcze trochę i będą jak ulał.

Obok Gedeona wciąż siedziała matka z dziećmi. Jedna z dziewczynek zerkała na niego przez palce.

Zaśmiał się i spojrzał na nią przez swoje palce.

Matka była Latynoską o jasnej cerze i mięsistych, uszminkowanych wargach. Spytała Gedeona, dokąd jedzie. Odpowiedział, że do Delaware Water Gap. Nie słyszała wcześniej o tym miejscu. Spytała, czy podróżuje sam. Gedeon odparł, że tak.

Ona czeka na autobus do Camden, dwadzieścia po pierwszej. Gedeon powiedział, że jego autobus odjeżdża o wpół do drugiej.

Nagle dotarło do niego, że rozmawia z nieznajomą, czego nie wolno mu było robić. Zerwał się z miejsca i przeszedł szybkim krokiem na drugi koniec dworca. By ukryć się przed wzrokiem zdziwionej Latynoski, usiadł za filarem i grupką młodych ludzi z plecakami.

Myślał o tym, jak wielki błąd popełnił. Jeżeli Tatulo go widział, na pewno jest wściekły.

W nowym miejscu Gedeon także siedział obok (białej) kobiety z gromadką marudnych dzieci. Tym razem jednak nie da się wciągnąć w rozmowę.

Przypomniał sobie, jaki był przerażony, gdy pewnego razu wydało mu się, że Tatulo go porzucił. Był wtedy jeszcze bardzo mały.

Miał może sześć lat, Tatulo zabrał go na grilla z okazji Dnia Niepodległości, gospodarzem był mężczyzna o imieniu Nick – a właściwie Dominick – mieszkający przy River Road po drugiej, pensylwańskiej stronie Delaware. Tatulo był towarzyskim człowiekiem, inni ojcowie często zapraszali go na piwo albo żeby do nich wstąpił, przy czym Tatulo zazwyczaj odmawiał. Jednak grill u rodziny Pagliano to była szczególna okazja – Nick Pagliano prowadził firmę budowlaną z siedzibą w Raven Rock, a Tatulo miał o nim bardzo wysokie mniemanie, odkąd poznał go przez znajomą ze sklepu Gift Basket w New Hope.

Dla Gedeona była to pierwsza tego rodzaju impreza, z mnóstwem ludzi, także innych dzieci, odkąd zamieszkał z Tatulem.

Paglianowie mieszkali w okazałym domu na wzniesieniu nad brzegiem rzeki. Gedeon wcześniej widywał takie domy jedynie na zdjęciach i w telewizji. Kiedy podjeżdżali tam samochodem, Tatulo zagwizdał przez zęby.

To nuworysze, Synu – powiedział z ponurym uśmiechem. To nie są prawdziwi Amerykanie jak my, nie wiedzą, jak smakuje uczciwa praca.

Dom Paglianów składał się z cegieł, ozdobnych stiuków i dużej ilości szkła. Od krętej River Road osłaniał go parawan iglaków. Kiedy dotarli na miejsce i zostali powitani przez gospodarzy, a następnie wprowadzeni na drewniany taras z widokiem na rzekę i poczęstowani grillowanymi hamburgerami, Tatulo jakby spokorniał. *Cześć! Jestem Chet Cash. Mieszkamy z synem za rzeką.*

Tatulo bawił się na grillu zaskakująco dobrze. Poznał nowych ludzi i wymieniał z nimi uściski dłoni, bawił się z grubym beagle'em Paglianów – wabił się Magic Johnson – i komplementował ogrodowe wisterie pani Pagliano.

Gedeon też głaskał Magic Johnsona i szeptał mu do ucha.

Cześć! Jestem Gedeon Cash, mieszkam z moim tatą za rzeką.

Nie obejrzeni wnętrza domu, bo przyjęcie odbywało się na tarasie i wokół podłużnego basenu.

Gedeon wstydził się bawić z innymi dziećmi. Tatulo nie wziął dla niego kąpielówek, zresztą chłopiec i tak nie odważyłby się zanurzyć w płytkiej części basenu, gdzie pluskały się i wrzeszczały dzieci obcych ludzi.

Czasem w przebłyskach pamięci przypominał sobie kolegów i koleżanki z przedszkola Montessori. Nauczycielkę, która była bardzo miła, ale nie pamiętał już jej imienia.

Przypomniał sobie, jak mama puściła jego dłoń.

To była zła mama. Wiedział to od Tatula.

Nie chcieli cię. Sprzedali cię do adopcji, wystawili na licytację. Ale teraz jesteś bezpieczny, bo masz mnie.

Tatulo nie został na grillu zbyt długo. Zdążył jednak uścisnąć dłonie wszystkim gościom i nawiązać nowe kontakty. Przedstawiał się jako *samotny ojciec, farmer, artysta i duchowy pielgrzym w zdrotnych czasach.*

Nickowi Pagliano powiedział, że zna się też na stolarce. Może kiedyś będzie mógł się do czegoś przydać? Jego specjalność to wszelkiego rodzaju u szafki.

Po opuszczeniu przyjęcia Tatulo i Gedeon wrócili do New Jersey mostem koło przełomu rzeki Delaware.

Nuworysze, Synu – powtórzył Tatulo, wzruszając lekceważąco ramionami. To nie są prawdziwi Amerykanie.

Jakież było zdziwienie Gedeona, gdy kilka tygodni później Tatulo zabrał go ponownie do domu Paglianów nad rzeką.

Dowiedział się jakimś sposobem, że wyjechali. I rzeczywiście, na czarnym podjeździe wałały się ulotki i gazetki reklamowe.

Tatulo bez wahania podjechał minivanem pod sam dom. Zaparkował na podkowiastym podjeździe, wysiadł i zadzwonił do drzwi, ale nikt nie odpowiedział.

Tatulo miał na dłoniach rękawiczki, a na plecach płócienny worek.

Synu! Pobawimy się w grę.

Tatulo wziął Syna za rękę i zaprowadził go na drewniany taras na tyłach domu.

Podeszli do drzwi wychodzących z domu wprost na taras. W ich dolnej części znajdowała się klapka wielkości grubego beagle'a, która pod naporem psiej głowy otwierała się do wewnątrz lub na zewnątrz.

Na grillu Gedeon w ogóle nie zwrócił na nią uwagi! Chodził wprawdzie za Magikiem Johnsonem i bawił się z nim, ale tak się złożyło, że pies ani razu nie skorzystał z klapki w drzwiach.

Tatulo był bardziej spostrzegawczy.

Pamiętaj, Synu. Tatulo widzi wszystko.

Gra była prosta: Tatulo pomoże Gedeonowi przecisnąć się przez otwór dla psa, a Gedeon otworzy drzwi od wewnątrz. Nie było to takie trudne, bo Gedeon był wtedy jeszcze malutki, a Magic Johnson miał gruby brzuch. Sześcioletek mógł z łatwością przekręcić gałkę w drzwiach i uszczęśliwić Tatula.

Tatulo założył, że drzwi są zamknięte tylko od środka – i miał rację.

Tatulo założył, że nawet jeśli ustawiono alarm przeciwwłamaniowy, nie uruchomi się on, jeżeli drzwi zostaną otwarte od wewnątrz – i miał rację.

Mimo wszystko Tatulo po wejściu do środka postępował z wielką ostrożnością. Natychmiast zlokalizował sterownik alarmu – biały plastikowy kwadrat na ścianie tuż przy kuchni – po czym wszedł do garderoby i odłączył wszystkie wtyczki od gniazdek.

Teraz poruszał się po domu znacznie pewniej. Śmiał się, gwizdał. Był w świetnym humorze!

Pakował do worka różne rzeczy – laptop, srebrne świeczniki i platerę – ile tylko zdołał unieść. Gnał naprzód, jakby zapomniał o Gedeonie, który nie był w stanie dotrzymać mu kroku na swoich krótkich nóżkach.

Ale Gedeon wiedział już wtedy, że Tatulo nie znosi jęczenia.

Zwłaszcza płacz zawsze ściągał na Syna karę.

Tatulo zamykał go jak mumię w skrzyni i trzymał w niej tak długo, że chłopiec musiał załatwiać się w spodnie, jak niemowlę, co jego napełniało wstydem, a Tatula – wstrętem.

Toteż wdrapawszy się na piętro i nie widząc Tatula, Syn mógł tylko szeptać rozpaczliwie: Tatulu! Tatulu!

Zaczął biec wyłożonym dywanem korytarzem, potknął się i przewrócił na twarz.

Zaraz jednak się podniósł, żeby Tatulo go nie zobaczył i nie skrzyczał.

Wreszcie Tatulo przypomniał sobie o Synu. Staął w korytarzu i zawołał go po imieniu.

Myślałeś, Synu, że cię zostawię? Nigdy.

Tatulo nigdy cię nie porzuci.

W sypialni na piętrze, tak ogromnej, że Gedeon nie mógł jej objąć wzrokiem, gdzie cała ściana była jednym wielkim oknem na rzekę, Tatulo powyciągał szuflady z komody i rozrzucił ich zawartość na dywanie.

Znalazł gotówkę, ukrytą w eleganckiej damskiej torbie z jedwabiu. Raz i drugi szybko przeliczył banknoty, niczym pracownik banku.

Tysiąc pięćset dolarów! Frajerzy.

W innej szufladzie znalazł biżuterię i jedwabne krawaty. Wybrał z nich to i owo i wrzucił do słomianej torby na zakupy, którą powierzył Gedeonowi, niech i on zanieśie coś do minivana.

Tatulo zajrzał jeszcze do sąsiadującej z sypialnią wielkiej, lśniącej łazienki. Gedeon nigdy w życiu nie widział tak ogromnej łazienki.

Tatulo kazał mu skorzystać z ubikacji, bo czekała ich długa droga powrotna bez postojów.

Lubił patrzeć, jak Gedeon się załatwia. Jak strużka żółtawego płynu wpada z bulgotem do wody – ten widok najwyraźniej poruszał go w jakiś zagadkowy sposób.

Jesteś chodzącym ideałem, Synu. Gdybyś tak jeszcze przestał rosnąć!

Tatulo stanął obok Gedeona i sam się załatwił. Gedeon zamknął oczy, żeby nie patrzeć.

Tatulo nie spuścił wody.

Wziął natomiast korek i zatkał ujście w ogromnej wannie obłożonej różowym marmurem, otoczonej z dwóch stron lustrami aż po sufit. Potem odkręcił kran.

Gedeon zaczął ssać palce z nerwów.

Pamiętał, że uczono go, że tak nie wolno.

Dawno temu. Nie zostawiaj odkręconego kranu, bo woda się przeleje.

Tatulo roześmiał się, widząc jego minę.

Synu, Chrystus powiedział: Nie przyszedłem nieść pokoju, lecz miecz.

Nie przestając się śmiać, zaprowadził Gedeona z powrotem na drewniany taras i stamtąd do zaparkowanego przed domem minivana. Ojciec i syn razem załadowali łupy do tylnej części samochodu.

W drodze powrotnej Tatulo śmiał się i pogwizdywał. Kiedy jechali mostem, pochylił się i pocałował Syna w czoło – Syn się wystraszył, ale zaraz poczuł ulgę, wydawało się bowiem, że Tatulo rzeczywiście go kocha, tak jak mu to powtarzał od pierwszej nocy.

Niech cię Bóg błogosławi, Synu. Jesteś mój.

Synu.

Przebudził się gwałtownie i z uczuciem wstydu. Nie pamiętał, kiedy zasnął.

Nieraz, gdy był zdenerwowany, gdy martwił się, że Tatulo może się na niego rozgniewać, ogarniała go dziwna senność, oczy same mu się wtedy zamykały i nie mógł utrzymać głowy w pionie.

Na dworcu autobusowym w Trenton, mimo zgiełku i ruchu, mimo głośnych zapowiedzi przyjazdów i odjazdów, Gedeon mimowolnie usnął.

Chodź, Synu. Idziemy. Już.

Tatulo stał nad nim i marszczył brwi. W swoim czarnym stroju Kaznodziei, w zdumiewającej purpurowej kamizelce prezentował się tak dostojnie, że co chwila ktoś zerkał w jego stronę – zwłaszcza kobiety.

Gedeon podejrzewał, że Tatulo przez cały czas był gdzieś na dworcu i mu się przyglądał. Tak jak kiedyś w Grindell Park, gdy zostawił go na huśtawkach. Tym razem jednak nikt nie podszedł, żaden rumiany mężczyzna z kamerą, i chyba dlatego Tatulo nie był z niego zadowolony.

Nie jestem już wyjątkowy. Nikt obcy się mną nie zainteresował.

Zanim Gedeon zdążył stanąć na nogi, Tatulo chwycił go za ramię i poderwał z taką siłą, jakby chciał wyrwać mu rękę ze stawu.

Szybkim krokiem zaprowadził go do wyjścia i do zaparkowanego pół przecznicy dalej minivana. W ogóle nie przejmował się tym, że prawie wpadli na innych przechodniów ani że spoglądało w ich stronę dwóch policjantów pilnujących porządku na dworcu. Był wściekły,

słuszne oburzenie przesywało go niczym boski piorun.

Tym razem, inaczej niż przed laty w domu Paglianów przy Raven Road, Tatulo nie schylił się i nie pocałował Syna w czoło. Ani nie powiedział swoim czułym, pieszczotliwym głosem: *Niech cię Bóg błogosławi. Jesteś mój.*

6

KITTATINNY FALLS NEW JERSEY

Maj 2012

No, Synu! Zobaczmy, co zdziałałeś od rana.

Tatulo uniósł makramową torebkę na zakupy w kolorze czerwono-pomarańczowym i przyjrzał się węzłom.

Syn zastygł w bezruchu, bo nigdy nie było wiadomo, czy Tatulo pochwali, czy surowo skrytykuje.

Syn nie umiał tego przewidzieć.

Nawet Gedeon nie ufał swojej ocenie.

Na szczęście Tatulo się uśmiechnął. Dobra robota, Synu!

Przejechał mu kłykciami po najeżonych włosach, wystarczająco mocno, by go zabolalo, ale tylko trochę.

Potem rzekł tajemniczo: Wiesz co, Synu? Może już czas, żebyśmy powiększyli firmę.

Wieczorem, gdy Gedeon nakrywał stół do wspólnej kolacji przed telewizorem – tym razem w programie były

wyścigi NASCAR – Tatulo zagadnął ni stąd, ni zowąd, jak gdyby ta myśl dopiero co zaświtała mu w głowie: A może chciałbyś młodszego braciszka? Miałbyś towarzystwo. W domu Tatula jest dużo miejsca, w sercu Tatula też.

7

KITTATINNY FALLS

NEW JERSEY

Maj 2012

Młodsze go braciszka.

Miałbyś towarzystwo.

A przecież Tatulo powtarzał: nie ufaj nikomu.

Gedeon miał (w tajemnicy) kolegów i koleżanki w szkole. Liczył ich nieraz na palcach: Alex, Simon, Frankie, Jennie.

Czasem w odwrotnej kolejności: Jennie, Frankie, Simon, Alex.

Chodzili z nim do szóstej klasy i tak jak on byli nieśmiali i małowówni, ale – z wyjątkiem Jennie – ustępowali mu inteligencją.

Na przerwach, podczas lunchu w zatłoczonej stołówce albo na zewnątrz, na tyłach szkoły, Gedeon trzymał się z nimi. Gdy jadł lunch przy jednym stoliku z Jennie Farley, zazwyczaj nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, ale było im dobrze w swoim towarzystwie.

Jennie miała chudą, piegowatą twarz i jasnobrązowe włosy o rudym odcieniu, krótkie jak u chłopca. Kiedy

ukazywała w uśmiechu krzywe zęby, trudno było nie uśmiechnąć się z sympatią.

– Mama kazała cię zapytać, czy nie chciałbyś przyjść na moje urodziny – powiedziała pewnego razu.

Gedeon odparł, że chętnie.

Jednak Tatulowi ten pomysł się nie spodobał. Tatulo zasięgnął języka na temat rodziców Jennie Farley i okazało się, że ojciec, Dwayne Farley, pracuje w biurze szeryfa.

Równie sceptycznie nastawiony był do rodziny Aleksa Trowa, którego matka pracowała w opiece społecznej. Tacy ludzie są z natury ciekawscy. Wścibscy.

Synu, jeżeli ktoś zapyta cię o tatusia, odeślij go do mnie. Zrozumiano? Tak. Gedeon rozumiał.

Alex Trow również był bliskim kolegą Gedeona. Choć rzadko ze sobą rozmawiali – po prostu trzymali się razem w stołówce i na przerwach. Alex był wyjątkowo mało-mówny i miał problemy z czytaniem – powiedział Gedeonowi, że cierpi na dys-lek-sję, czyli wadę mózgu – więc Gedeon pomagał mu odrabiać prace domowe z angielskiego i matematyki. Zdumiewające, ile błędów robił jego kolega, i to w najprostszych słowach, nie mówiąc o cyfrach, które zdarzało mu się zapisywać do góry nogami.

Może jestem dziwolągiem, powiedział kiedyś Alex bez uśmiechu.

Każdy jest dziwolągiem, odparł Gedeon. Jak się go lepiej pozna.

Nieprawda, ty nie jesteś. Chciałbym być tobą.

To wyznanie było tak nagłe i tak szczere, że Gedeon nie wiedział, gdzie podziąć oczy.

Nie możesz być mną. Tatulo ma tylko jednego syna.

A może jednak? Może Alex Trow mógłby zostać bratem Syna? O ile Tatulo nie żartował.

Ale Gedeon nie miał takich złudzeń. Przeczuwał, że nowy braciszek nie będzie miał jedenastu lat.

Alex był nerwowym chłopcem z tikami i słabą koordynacją ruchową, czasem bez wyraźnego powodu zdarzało mu się upuścić tacę z jedzeniem albo stracić równowagę i przewrócić się na schodach.

Dawał się jednak namówić – zmusić – do udziału w brutalnych grach na spękany asfalcie szkolnego dziedzińca.

Podstawówka sąsiadowała z gimnazjum, obie szkoły dzielił tylko parking. Starsi chłopcy, nawet czternastoletni, nieraz przychodzili i dręczyli młodszych. Poza tym uczniowie podstawówki i gimnazjum korzystali z tych samych szkolnych autobusów – Tatulo uważał jednak, że Gedeon jest jeszcze za młody, żeby nimi jeździć.

Nie zmieniało to faktu, że coraz rzadziej odwoził chłopca do szkoły, coraz rzadziej odbierał go po lekcjach. Kazał Gedeonowi jeździć rowerem, „bo tak jest bardziej ekologicznie”.

Starsi chłopcy z gimnazjum nie byli sympatyczni. Mówili językiem pełnym wulgaryzmów, naśladowującym mowę dorosłych mężczyzn, a ich śmiech był

głośny i dokuczliwy. Gedeon nie miał pojęcia, dlaczego go nie lubią – sam z siebie nie odezwał się do nich ani razu.

Może po prostu nie lubili nieśmiałych. Chłopców takich jak Alex Trow i dziewczyn takich jak Jennie Farley, którzy zamiast śmiać się z ich żartów, cofali się wystraszeni.

Raz Gedeon widział, jak starsi chłopcy wciągnęli Aleksa do gry w dwa ognie. Chciał go zawołać, żeby zszedł z boiska, ale zabrakło mu odwagi i tylko stał z boku z innymi dziećmi i przyglądał się grze.

A gra toczyła się w szaleńczym tempie. Chłopcy celowali piłką w twarze i brzuchy. W dodatku miało się wrażenie, że między gimnazjalistami istnieje jakaś zmowa – jak gdyby uwzięli się na młodszych i słabszych zawodników, takich jak Alex Trow, którzy nie zdawali sobie sprawy, że są głównym celem, dopóki nie oberwali rzuconą z całej siły piłką.

Jeden z czternastolatków, Lyle McIntyre, który mieszkał przy Saw Mill Road niedaleko farmy Tatula, rzucił Aleksowi piłkę prosto w twarz z odległości półtora metra. Chłopiec zatoczył się oszołomiony i upadł na ziemię, chwytając się za krwawiący nos, a pozostali tylko ryknęli śmiechem i grali dalej.

Gedeon i Jennie podeszli, żeby pomóc mu wstać. Dolną połowę twarzy miał umazaną krwią, skapywała mu na koszulę. Płakał, wargi trzęsły mu się gwałtownie. Zaprowadzili go do gabinetu pielęgniarki.

Milczał ponuro, gdy pytano, kto mu zrobił krzywdę.

Milczał, gdy pytano, kto namówił go do udziału w tak ostrej grze.

Wszystkie dzieci wiedziały, że kablując, mogą ściągnąć na siebie prawdziwe kłopoty. Dlatego Gedeon nie powiedział nikomu, ani pielęgniarce, ani dyrekcji, kim byli chłopcy z gimnazjum.

Dopiero gdy został sam, uśmiechnął się do siebie i pomyślał: *Chrystus powiedział: Nie przyszedłem nieść pokoju, lecz miecz.*

Obity deskami musztardowego koloru dom McIntyre'ów stał na dawnej farmie. To tutaj mieszkał Lyle McIntyre i jego młodszy brat Bobbie. Lyle chodził do trzeciej klasy gimnazjum, Bobbie – do pierwszej. Obaj lubili znęcać się nad słabszymi, obaj też uwzięli się na Gedeona Casha.

Na co się gapisz, zjebie?

Co ty sobie, kurwa, myślisz?

Był jeszcze Pete Baumgarten, krępy czternastolatek, mieszkający tuż za granicami Kittatinny, na „ranczu” obok składu drewna.

Gedeon nigdy otwarcie nie spoglądał na tych chłopców ani na ich znajomych. Przypatrywał im się jednak ukradkiem.

Od czasu podpaień w garażach w pobliżu podstawówki w miasteczku nie było żadnych pożarów ani innych

incydentów. Policja przesłuchiwała wiele osób z sąsiedztwa – w tym kilku uczniów gimnazjum i liceum – ale niko-
go nie aresztowano.

Gedeon uśmiechnął się do siebie. *Frajerzy!*

Wyrobił sobie nawyk mówienia pod nosem na wzór Tatula i rozdymania nozdrzy, tak jak to robił Tatulo w przyptywie słusznego gniewu.

Wiosną Tatulo miał na niego mniej baczące oko, Gedeon sam dojeżdżał rowerem do szkoły i z powrotem, a po lekcjach nieraz krążył po asfaltowych ulicach Kittatinny Falls, obserwując domy niektórych kolegów i nauczycieli, próbując sobie wyobrazić, jak wygląda ich codzienne życie. Korciło go, żeby podejść bliżej, zajrzeć przez tylne okno albo nawet wejść do środka.

Dzień dobry! Czy my się znamy?

Znudziło mu się już podpalanie garaży – podłożył ogień w trzech, przy czym w dwóch wypadkach nie wiedział, kim są właściciele. Teraz interesował go bardziej spektakularny wyczyn, na przykład eksplozja – podłożenie bomby w remizie strażackiej albo w którymś z kościołów, albo w jednym z dużych sklepów przy Broad Street. Korzystając z internetu bez wiedzy Tatula – ale by się wściekł, gdyby się dowiedział, że jego syn po kryjomu używa jego komputera! – ściągnął instrukcję budowy prostych ładunków wybuchowych domowej roboty... Podniecała go sama myśl o eksplozji burzącej cały budynek.

Cześć! Chciałem tylko zostawić ślad, że tu byłem.

Przy czym Gedeon nie chciał zrobić nikomu krzywdy. Nie chciał – czy chciał?

(Pani Swale rzadziej się teraz uśmiechała. Jennie twierdziła, że to dlatego, że boi się, że ktoś podpali jej dom. Jennie było żal pani Swale. Tak, pokiwał głową Gedeon, jemu też jest jej żal).

Przestał chodzić na zajęcia plastyczne. Zapytany o to przez panią Swale, wzruszył ramionami i odparł, że według jego taty nie ma sensu marnować czasu na jakieś gówniane rysunki.

– Gówniane? Gedeonie, jestem pewna, że twój tata by tak nie powiedział.

Pani Swale miała minę, jakby ją spoliczkowano. Gedeonem wstrząsnęło uczucie winy i złości. Pożegnał się i oddalił najgrzeczniej, jak potrafił.

Jeżdżąc rowerem po mieście, Gedeon lubił zapuszczać się na obrzeża Kittatinny Falls, w okolice starej, zabitej deskami fabryki, która ciągnęła się wzdłuż rzeki, a w której dawniej, według jednej z nauczycielek, zatrudniano setki robotników przy wyrobie damskiego i męskiego obuwia.

O tamtych czasach przypominała już tylko wyblakła tablica na wysokiej ścianie: „Obuwie Preston. Luksus w przystępnej cenie”. Ze spłowiełej cegły wyłaniały się widmowe postacie – mężczyzna w kapeluszu i kobieta o kręconych blond włosach; oboje trzymali w dłoniach

buty, jakby pokazując je przechodniom. Pofabryczny budynek stał pusty, ale parter odnawiano, miało tu powstać miejskie centrum kulturalno-artystyczne, o ile władze stanowe znajdą fundusze i dorównają prywatnym darczyńcom.

Remont zaczął się poprzedniego roku, ale został tymczasowo zawieszony. Gedeon zajrzał przez nową, przeszkloną ścianę do wnętrza, gdzie starą podłogę z desek zastąpiono płytkami. Ściany wciąż czekały na otynkowanie.

Wszyscy chwalili piękną lokalizację nowego centrum. Od strony rzeki Delaware na całej długości budynku zaplanowano taras.

Sala wystawowa. Sala na koncerty muzyki folk. Sala do warsztatów rękodzielniczych – robienia na drutach, tkactwa, garncarstwa, wiązania makram.

Gedeon przypuszczał, że Chet Cash ma z tym coś wspólnego. Był jednym z wolontariuszy, którzy propagowali budowę centrum i zbierali darowizny na ten cel.

W Kittatinny Falls i paru innych miejscach w dolinie Delaware Chet Cash uchodził za poważnego artystę. Zachwycono się zwłaszcza jego makramami, mówiono, że jest w stanie utrzymać z nich siebie i syna.

Pracownia Cheta Casha.

Syn był dumny z tego, że pomaga Tatulowi. Wiązanie węzłów nie było lekką pracą, bolały od niej palce i oczy, a wiosną siedzenie w domu przykryżyło się bardziej niż kiedykolwiek. Mimo to nie miał żalu do Tatula,

który przecież też nie próżnował: dostarczał materiały, udzielał wytycznych, wreszcie sprzedawał gotowe produkty do sklepów.

Gedeon zaczynał nienawidzić makramy. Rzygał nią.

Do dupy z taką pracą. I ta wieczna niepewność, czy Tatulo pochwali, czy zgani.

Wcześniej mógł przynajmniej liczyć na towarzystwo Missy. Wolno mu było pracować na zewnątrz, na tyłach domu. Albowiem Tatulo nie chciał, by jakiś nieproszony gość odkrył przypadkiem, że w istocie artystą nie jest Chet Cash, lecz jego syn. Teraz Missy leżała zakopana w ogrodzie i Gedeon nie miał się z kim bawić w chwilach wolnych od pracy; nikt nie czekał wesoło i nie merdał ogonem, kiedy Gedeon wracał ze szkoły.

Czasem, gdy Gedeon wracał do domu, nie było w nim nawet Tatula. Pojechał gdzieś minivanem – ciekawe dokąd?

Szuka nowego syna. Szuka ci braciszka.

8

KITTATINNY FALLS

NEW JERSEY

Maj 2012

Tatulo powiedział: Synu, zrób sobie kolację i połóż się do łóżka. Kiedy się zbudzisz, Tatulo już będzie z powrotem.

Syn odparł: Dobrze, tato.

Gedeon szepnął pod nosem: *Idź do diabła, tato. Jesteś diabłem, nie kochasz mnie.*

Przyjemnie było planować wybuchy. Szykować bomby.

Gedeon wiedział, że wielu nastolatków niechący porurywało sobie ręce i pół twarzy. W internecie pełno było takich opowieści ku przestrodze. Ale były też historie, w których wszystko poszło zgodnie z planem.

„NIE MACIE POJĘCIA, jakie to cudowne uczucie” – napisał jeden z anonimowych komentatorów.

„Od tego momentu wasze codzienne życie będzie wam się wydawało gównem. Mogę wam to obiecać”.

Butelkę po coca-coli wziął ze śmietnika. Wzorem Tatula pamiętał o rękawiczkach. Zresztą oglądali dużo seriali policyjnych: *Kryminalne zagadki Las Vegas*, *Akta zbrodni*. Tylko skończony idiota dotyka czegokolwiek gołymi dłońmi, nawet butelki, która rozprysnie się na drobne kawałki.

Z wiekiem Gedeon dostrzegął u Tatula rzeczy, na które Syn nigdy nie zwrócił uwagi. Na przykład to, że Tatulo niemal wszędzie zabierał ze sobą rękawiczki.

Tatulo miał całą szufladę rękawiczek. W tym cienkich gumowych, jakie noszą chirurdzy.

Miał też „apteczkę” – w zamkniętym na klucz sejfie w sypialnianej szafie. Gedeon widział raz, jak Tatulo otwiera sejf, żeby wyjąć opakowanie tabletek. Mignęły mu wtedy przez chwilę zwoje sznura, kajdanki, bandaże. Próbował znaleźć klucz do sejfu, ale jak dotąd mu się to nie udało.

Planował atak, jeżdżąc na rowerze. Rozmyślał o nim w klasie. W ostatnich kilku tygodniach, od czasu wizyty w Kościele Nieustającej Nadziei w Trenton, nabożeństwa Kaznodziei Casha i czuwania na dworcu autobusowym, był mniej zainteresowany szkołą i dobrymi stopniami. Mniej zainteresowany byciem dobrym.

Wywołany do odpowiedzi, uśmiechał się kpiąco i wzruszał ramionami. Jego wychowawczynie, pani Olson, było przykro, podobnie jak pani Swale.

Gedeon uważał tę wrażliwość za jedną z ludzkich, a zwłaszcza kobiecych, słabości. Zaczynał rozumieć,

dłaczego Tatulo wypowiadał się o kobietach z taką pogardą.

Tatulo pokłócił się z Darlene. Może niepotrzebnie węszyła po kątach. Może wierciła mu dziurę w brzuchu, żeby się z nią umówił. Ich podniesione głosy zaskoczyły Gedeona, przyzwyczajonego do życia wśród ciszy.

Teraz, gdy chłopiec podrośł, Darlene nie była już tak potrzebna. Gedeon przygotowywał posiłki, zmywał naczyń i podłogę w kuchni, zmieniał pościel, robił pranie w starej, trzeszczącej pralce, zamiatał i odkurzał, wynosił śmieci na wysypisko za szopą. *Dobra robota, Synu!* – Tatulo nie szczędził mu pochwał.

Syn promieniał z radości. Pławił się w pochwałach Tatula, tak jak inni pławią się w słońcu, leżąc na chłodnej skale.

Gedeona te pochwały drażniły. Miał Tatulowi za złe, że nim manipuluje.

Uważa mnie za małego kretyna. Myśli, że jestem idiotą jak reszta.

Któregoś dnia zdał sobie sprawę, że minęło mnóstwo czasu, odkąd widział Darlene. Tatulo przestał po nią dzwonić i w ogóle o niej nie wspominał.

Gedeon zapytał, co się stało z Darlene. Tatulo wzruszył ramionami: Jak chcesz wiedzieć, to znajdź tę głupią cipę i sam ją zapytaj. Cipa. Brzydkie słowo, którego używali chłopcy z gimnazjum. Bracia McIntyre nazwali go kiedyś chudą cipą. Gedeon nie wiedział, co to znaczy – aż do teraz.

Cipa, czyli kobieta. Kobiety miały w sobie coś irytującego i odpychającego, choć czasem trudno było się bez nich obejść.

Głupia cipa puściła moją rękę.

Głupia cipa dmuchała mi dymem w twarz.

Głupia cipa sprzedała mnie do adopcji.

Gedeon odkurzał – jak zwykle pod nieobecność Tatula, który nie znosił hałasu odkurzacza.

W szafie Tatula leżała na płask skrzynia.

Niewielka, podłużna, z dwiema otwieranymi pokrywami, małą na górze i dużą na dole.

Skrzynia była zrobiona bardzo porządnie, z gładkiego drewna. Było w niej nawet specjalne miejsce na stopy.

Tatulo powiedział mu, że sam ją zrobił. Tatulo był dobrym cieślą.

Wnętrze skrzyni było wyściełane, ale miękkie obicie bardzo się pobrudziło.

Gedeon oczywiście nawet by się w niej nie zmieścił. Tatulo nigdy go do niej nie wsadzał.

Gedeon pamiętał, że Tatulo wsadzał do niej małego chłopczyka i zamykał go na klucz. Głupi chłopczyk płakał i płakał, co tylko pogarszało jego sytuację, bo pod zamkniętą pokrywą było bardzo duszno.

Wiele razy się zsiakał. I nie tylko.

Między innymi na tym polegała kara.

Poza tym chłopczyk nigdy nie wiedział, kiedy Tatulo go wypuści.

Co się stało z tym głupim zasmarkańcem? – zastanawiał się Gedeon.

Tatulo trzymał ich z dala od siebie. Gedeona zawsze traktował dobrze.

Tamten mały krzyczał, kiedy Tatulo zdejmował mu knebel.

Kiedy Tatulo przyciskał go mocno do siebie w swoim łóżku.

To bolało, i to bardzo. Między jego delikatnymi dziecięcymi pośladkami. Bardzo.

Tatulo też krzyczał, ale jego krzyk był krótki i gwałtowny, jak śmierć. Potężny dreszcz przebiegał wtedy po jego nagim, spoconym ciele, pachnącym krwią z wnętrzości chłopczyka.

Gedeon tego nie widział. Nie było go przy tym, był w innym pokoju.

Teraz zamknął drzwi szafy. Nie miał nic wspólnego z tą skrzynią.

Odkurzał dalej. W odkurzaniu było coś przyjemnego. W szumie odkurzacza rozbrzmiewał śmiech. To Gedeon się śmiał. Śmiał się i dzwonił zębami. Trząsał się, było mu niedobrze. Nagle zachciało mu się siku. Tak bardzo, że poczuł dotkliwe kłucie w pęcherzu. Spiesząc się do łazienki, zaplątał się w rurę odkurzacza i omal się nie przewrócił.

Bombę przygotował ostrożnie – bardzo ostrożnie! Wiózł ją teraz rowerem w plecaku, pedałowal jak w transie, wiedział, że wiele ryzykuje, ale podobał mu się ten dreszczyk.

Tatulo uwielbiał kusić los. Powiedział kiedyś, że tylko wtedy naprawdę czuje, że żyje.

Majowe popołudnie było ciepłe i słoneczne. Tego dnia uczniowie mieli wolne z powodu jakiegoś zjazdu nauczycieli. Inna sprawa, że Gedeon mógł do woli opuszczać lekcje, bo Tatulo przestał chodzić na wywiadówki, nie dowiadywał się o jego stopnie, a co więcej, nauczył chłopca pisać usprawiedliwienia i fałszować swój podpis.

Wychowawczynie zagadnęła go kiedyś: Opuszczasz dużo zajęć, Gedeonie. Tato zabiera cię do lekarza?

Ehe – wymamrotał Gedeon.

W domu wszystko w porządku?

Taa.

Może powinien podłożyć bombę w szkole?

A może w gimnazjum, do którego chodzili bracia McIntyre?

Ale już wcześniej upatrzył sobie inny cel: fabrykę obuwia Preston nad brzegiem rzeki.

Okolica szkół była gęsto zabudowana domami, ktoś mógłby zauważyć, że się tam kręci.

Po dotarciu do Kittatinny Falls omijał główne ulice, bocznymi dojechał na skraj miasta, do opuszczonej fabryki.

Ta para duchów! Kobieta i mężczyzna. Zwłaszcza kobieta działała mu na nerwy, te kręcone blond włosy, to tępe spojrzenie i uniesiony but.

Czekała go jednak niespodzianka: nad rzeką zobaczył grupkę nastolatków, wspinali się na przybrzeżne głązy. Przyjechali na rowerach, które zostawili na zarośniętym zielskim żwirowym parkingu przy fabryce.

Gedeon nie wiedział, co zrobić. Nie znał tych chłopaków, a oni jeszcze go nie dostrzegli. Mógł ostrożnie przejść niezauważony na drugi koniec fabryki.

Mogą zginąć.

Poczuł dreszcz emocji. Murowana budowla eksploduje, na chłopaków nad rzeką spadnie grad cegieł. Nie będą mieli dokąd uciec, wszystko wydarzy się w ciągu kilku sekund.

Zszedł z roweru i prowadził go po żwirowym parkingu, bo przyszło mu do głowy, że bomba mogłaby wybuchnąć na wybojach.

Nie miał innego wyjścia, musiał wejść do fabryki z drugiej strony, tej zabitej deskami. Odnowiona część znajdowała się od frontu i to ją chciał wysadzić – bardziej niż tę starą i zmurszałą. Pocieszał się, że jeśli ładunek okaże się wystarczająco silny, i tak zburzy cały budynek.

Być może.

Tak naprawdę nie miał pojęcia. Może bomba w ogóle nie wybuchnie!

Tylna część fabryki miała swoje zalety: można się było dostać do środka przez szczelinę w murze. Przednia była zamknięta na cztery spusty, musiałyby umieścić bombę na zewnątrz, a tak mógł ją podłożyć wewnątrz. Czołgając się na czworakach, z bijącym sercem nasłuchiwał krzyków i śmiechów znad rzeki.

Drżącymi rękoma wydobył butelkę z plecaka.

Ważyla tyle co nic. Nie mogła mieć dużej mocy.

W środku znajdował się preparat do udrażniania rur (śmierdzący i szczypiący w oczy) oraz paski folii aluminiowej. „Reakcja chemiczna” miała nastąpić pod wpływem odpowiednio wysokiej temperatury – w tym celu należało umieścić butelkę na słońcu.

Gedeon podczołgał się do okna z widokiem na rzekę. W pustej framudze tkwiło jeszcze parę kawałków szkła. Wszędzie pajęczyny, brud i kurz. Chłopcy w dole robili nieznośny hałas. Zauważył, że mają wędki. Nie znał ich, musieli być z liceum. Postawił butelkę na parapecie w blasku słońca.

Zapomniał włożyć rękawiczki! Miał to zrobić i zapomniał, ale może to bez znaczenia, skoro butelka rozpadnie się na drobne kawałki. Nikt nie będzie go podejrzewał.

Lokalne gazety pisały, że podejrzanym w sprawie podpaleń jest prawdopodobnie dorosły mężczyzna rasy białej, który do niedawna pracował w Kittatinny Falls, ale został zwolniony i wyjechał. Naoczny świadek twierdził, że widział go w pobliżu trzeciego pożaru na

Pitcairn Street; miał odjechać zielonym pikapem. Do tej pory podejrzany nie został jednak zatrzymany przez policję.

Gedeonowi dzwoniły zęby. Było mu zimno, cały się trząsał.

Wybuchnie teraz. Urwie mi ręce i twarz.

Tatulo już na zawsze przestanie mnie kochać.

Butelka stała w pionie, lecz przyszło mu do głowy, że może powinna leżeć, żeby lepiej zbierać promienie słońca.

Ostrożnie przewrócił butelkę na bok. Teraz jednak istniało ryzyko, że stoczy się z parapetu...

Znalazł odłamek cegły i podparł nim butelkę. Od-dychał szybko i płytko. Patrzył urzeczony, jak słońce niczym laser ogniskuje się na bombie.

Ciekawe, ile potrzeba czasu, żeby butelka nagrzała się do odpowiedniej temperatury?

Szkoda, że nie ma współnika! Przydałby mu się przy-jaciel, ktoś jak Tatulo.

Synu, jesteś zawsze w moich myślach. Tak jak ja w two-ich.

Zaczął powoli oddalać się od butelki na parapecie. Wydała mu się śmiesznie mała.

Był zawiedziony tym, jaka jest mała.

Cofając się, wpadł na jakąś starą maszynę, potknął się i omal nie przewrócił.

Zaraz jednak odzyskał równowagę, bo był zwinnym jedenastolatkiem, nie taką niezdarą jak Syn.

Wnętrze dawnej fabryki było w opłakanym stanie. Dzieła dewastacji dopełnił niedawny wylew rzeki Delaware, jeszcze sprzed rozpoczęcia remontu. Gedeon zastanawiał się, czyby go znalezione, gdyby tutaj zginął.

Tatulo by go nie opłakiwał. Znalazłby sobie nowego syna.

Przycupnął na piętach i czekał. Siedem metrów od niego butelka z wybuchową miksturą lśniła i migotała w promieniach słońca.

Jaka temperatura panowała wewnątrz budynku? Pewnie około trzydziestu stopni. A w słońcu – trzydzieści pięć?

Nastąpi „reakcja chemiczna”. Gedeon był ciekaw, co to właściwie znaczy.

Znad rzeki niosły się krzyki.

Wracał rowerem w stronę Saw Mill Road. No bo ile można czekać?

Było późne popołudnie, blisko do zmierzchu.

Gedeon był rozdrażniony i zawiedziony, ubranie lepiło mu się do ciała.

Przeczekał chyba z godzinę w okolicy tej cholernej fabryki. Patrzył, jak chłopcy łowią ryby. Żałował, że nie jest jednym z nich. Bo przecież równie dobrze mógł się urodzić jednym z nich.

Potem jeździł ulicami w pobliżu fabryki, czekając na eksplozję.

Gówno nie bomba! Po chuj ten cały internet.

W końcu się poddał. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, jeżdżąc bez końca po nie swojej okolicy.

Przez całą drogę powrotną nasłuchiwał odgłosu dalekiej eksplozji, wycia syren, które tak go ekscytowało, kiedy podkładał ogień w garażach.

A tu nic.

Cholerny niewypał.

W domu też nic na niego nie czekało: nie było Missy, która dawniej z miłością w oczach wybiegała mu na spotkanie, wywijając ogonem, nie było też Tatula, pojechał gdzieś minivanem. *Zrób sobie kolację, Synu – powiedział – kiedy obudzisz się rano, Tatulo będzie z powrotem.*

Zajrzał do szafy w sypialni: skrzynia zniknęła.

9

KITTATINNY FALLS

NEW JERSEY

Maj 2012

Synu, może poszukamy zakopanych skarbów?

Syn uznał, że to jakaś zabawa, i zgodził się ochoczo.

Tak, tato.

Gedeon był bardziej sceptyczny. Widział, że Tatulo jest niespokojny, rozgorączkowany. Twarz miał spoczną, a jego oczy błyskały białkami. Ręce mu się trzęsły, z nerwów albo z podniecenia.

Wrócił późną nocą, Gedeon był już wtedy w łóżku. Nie zajrzał do jego sypialni, żeby pocałować go w czoło albo pobawić się z nim w łaskotki – dawno już nie pocałował go w czoło, dawno już go nie łaskotał. Gedeon leżał nieruchomo w łóżku i wsłuchiwał się w tajemnicze odgłosy dochodzące z pokoju Tatula.

Czy to Tatulo rozmawiał sam ze sobą? Może włączył telewizor?

Przywiózł jakiegoś chłopca – pomyślał Gedeon. Przywiózł go w skrzyni.

Syn nie żywił takich podejrzeń. Albowiem Syn był chodzącą słodyczą i rozkoszą, łaknął miłości Tatula, nawet jeśli okazywała się ona twarda i bolesna, nawet jeśli Synowi leciała potem krew spomiędzy pośladków i plamiła prześcieradło.

Weź łopatę, Synu.

Wyszli na dwór. Tatulo szedł przodem. Przez zapuszczony ogród, o którym w tym roku jakby zapomniał, nie mówił Gedeonowi, co ma posadzić, nie kupował sadzonek ani nasion. Przez zapuszczony ogród i zapuszczony jabłkowy sad, gdzie w ten ciepły majowy poranek brzęczały pszczoły, świergotały ptaki.

Coś zaprzętało Tatulowi głowę. Brwi miał zmarszczone, co chwila przygryzał dolną wargę.

W nocy Gedeon słyszał jakieś odgłosy. Prawie nie zmrużył oka.

Głupi smarkacz dostanie knebel. Będzie krzyczał w knebel i zsika się w spodnie jak niemowlę.

Gedeon wiedział, że lepiej być cicho. Nie zwracać na siebie uwagi. Ponieważ nie mieścił się już w skrzyni, jakiś czas temu Tatulo, chcąc go ukarać, musiał uwiązać go łańcuchem za szyję, tak jak kiedyś wiązał Missy.

Za co dokładnie była to kara, Gedeon nie wiedział. Działo się to wkrótce po wycieczce do Trenton, wtedy wszystko jakby się zmieniło.

Tatulo powiedział: Synu, wyczuwam w tobie bunt. Potraktuj to jako przestrożę.

Uwiązał go łańcuchem Missy. Do poręczy schodów, która była nie do ruszenia – prędzej Gedeon złamałby sobie kark.

Innym razem został ukarany za to, że spieprzył jedną z makramowych torebek, mocując zatrzask do góry nogami. Tatulo nie zauważył – dopóki nie wytknęła mu tego jego znajoma ze sklepu z upominkami.

Szli przez pagórki porośnięte krzakami, przez płytkie koryta potoków; Tatulo przodem, Gedeon nieco z tyłu, wlokąc łopatę.

Tatulo miał plecak. Gedeon zastanawiał się, co jest w środku.

Rano z pokoju Tatula nie dobiegały żadne odgłosy. Nic dziwnego, głupi smarkacz na pewno miał założony knebel.

Tatulo nie lubił płaczów, krzyków, pisków.

Choć bywało też inaczej, czasem płacze, krzyki, piski sprawiały mu przyjemność.

Idąc pod górkę, Gedeon zaczął się pocić. Strużki szczypiącego potu spływały mu po bokach, pod koszulką. Miał na sobie szorty i tenisówki bez skarpetek.

Tatulo prowadził go w odludne miejsce. Gedeon wiedział podskórnie, że innych synów też tam zaprowadził.

Kanaan – tak się nazywał jego poprzednik. Pamiętał jego imię nie wiadomo skąd.

Synu. Może tutaj.

Przeszli prawie dwa kilometry. Zatrzymali się w miejscu pełnym piachu i kamieni. Na zarośniętych brzegach starego strumyka przezierały między szuwarami łupki podobne do potłuczonych naczyń. Tu i ówdzie walały się głazy o dziwacznych kształtach, z płytkimi wgnieceniami, które z daleka przypominały widmowe twarze.

Tutaj ich pochował. Wziął nóż, chce mnie zabić.

Ale Tatulo nie zabił Gedeona, tylko kazał mu kopać. Najpierw ty, Synu. Potem się zmienimy.

Wykop sobie grób, Synu.

Syn wbił ostrze łopaty w ziemię. Naparł stopą. Był spocony i zdyszany. Kątem oka widział, jak Tatulo mu się przygląda i gładzi sobie brodę. Czapkę z daszkiem miał wciśniętą nisko na czoło.

Serce Gedeona biło coraz szybciej i szybciej. Z trudem chwycił oddech.

Tatulo zsunął plecak na ziemię. Wyciągnął w stronę Gedeona butelkę wody mineralnej, chłopiec wziął ją z wdzięcznością. We wnętrzu plecaka nie błysnęło żadne ostrze.

Pokopie jeszcze trochę. Jeszcze głębiej. Czy szukają skarbu? Tatulo jakby zapomniał o skarbie.

Gedeon obrócił się z uniesioną łopatą. Trach! ostrze spadło na głowę Tatula, ten zatoczył się i upadł na kolana. Łopata wyleciała Gedeonowi z rąk.

Rzucił się do ucieczki.

Tatulo miał przy sobie nóż, ale nie wziął karabinu. Ogłuszony, nie był w stanie pobiec za chłopcem ani nawet za nim krzyknąć. Strużki krwi zalały mu czoło i ściekały po twarzy. Takim Gedeon go zapamiętał.

Nogi same niosły go daleko, daleko.

10

YPSILANTI, MICHIGAN

Maj 2012

Mamo, czemu ona na mnie patrzy.

Josh! To bardzo nieładnie z twojej strony.

Boję się jej.

Dziecko wyslizgnęło się z rąk matki i pobiegło na plac zabaw do swoich kolegów.

Dinah, strasznie cię przepraszam. Nie rozumiem, co w niego wstąpiło...

Nic nie szkodzi, Katie. Naprawdę. Ja go rozumiem.

Dinah zaśmiała się, żeby pokazać, że nie jest jej przykro. Może dawniej by było – ale nie po sześciu latach.

Na jego miejscu też bym uciekła. Trudno, żeby małe dziecko nie przestraszyło się szpetnej kobiety wampira, która w dodatku sama nie ma dziecka.

Pomagała ochotniczo w lokalnym oddziale Krajowego Rejestru Zaginionych Dzieci. Organizacja mieściła się w parterowym lokalu przy Kendall Square, niedaleko indyjskiej restauracji, w której Dinah jadała

plastikowym widelcem sałatki z tofu. Ten jej apetyt był czymś zdumiewającym.

Sześć lat po wypadku większość pokarmów smakowała jak papka z tektury. Jednak mózg niełatwo pozbywa się swoich nawyków i dlatego jedzenie, które dawniej lubiła i jadła z przyjemnością, rozbudzało w niej apetyt – choć dobrze wiedziała, że i tak będzie smakowało jak tektura.

Czyżby kryła się w tym jakaś prawidłowość? Czyżby dotykała jakiejś smutnej prawdy na temat ludzkiej psychiki?

Pod wpływem wspomnień staramy się powtarzać przeszłość, w której byliśmy szczęśliwi. Nawet jeśli wiemy, że przeszłość pozostanie przeszłością, a szczęście minęło bezpowrotnie.

Na ten sam plac zabaw przychodziła z Robbiem.

Oczywiście po sześciu latach żadna z przychodzących tu młodych matek nie kojarzyła Robbiego Whitcomba.

Znała większość tych kobiet. A one znały ją.

Od czasu zniknięcia Robbiego na świat przyszło nowe pokolenie maluchów. Ten prosty fakt przytłaczał ją i przerastał, bo dla niej czas zatrzymał się w chwili, gdy zabrano jej dziecko.

Na początku to miała być kwestia dni. Potem tygodni.

Nie straciła nadziei, oczywiście, że nie. Zrozpaczeni nie tracą nadziei i to najlepiej dowodzi ich rozpacz.

Siedziała na placu zabaw z Rhodą, Tracey i Evan. Eleganckimi młodymi matkami, które pokończyły doktoraty. Ich dzieci nie miały jeszcze pięciu lat.

Jadła sałatkę z tofu i popijała wodą mineralną.

Dinah Whitcomb jest tak miła. Kto by mógł jej unikać?

Gdybym jej unikała, miałabym straszne wyrzuty sumienia.

Matki z pokolenia Dinah już dawno przestały się tu pojawiać. Ich dzieci chodziły do gimnazjów, niektóre do liceów. Choć od czasu do czasu Dinah widywała, lub zdawało jej się, że widzi, młodą matkę z tamtych lat, która na jej widok szybko odwracała wzrok.

Jej syn do tej pory się nie odnalazł? Ile to już lat?

To jej rozdzierające spojrzenie. To ponad moje siły.

W rzeczywistości Dinah Whitcomb roztaczała wokół siebie wesołą atmosferę. Dużo się śmiała i pobudzała innych do śmiechu. Nigdy nie mówiła o swoich problemach ani w żaden sposób do nich nie nawiązywała. Niczym osoba przykuta do wielkiego kamienia, który wszędzie musi ze sobą ciągnąć, nie miała potrzeby rozmowy o swoim kalectwie, przeciwnie, instynktownie je bagatelizowała.

W gorsze dni musiała podpierać się laską, ale takich dni było mało.

Chodziła chwiejnym krokiem, ale cholera, przynajmniej chodziła!

W parku w porze lunchu rozmawiała i żartowała w towarzystwie młodych matek, jakby nie miała trzy-

dziestu czterech lat, jakby nigdy nie przestała być młoda i nie przestała być matką.

Rozmawiając i żartując z Rhodą, Tracey i Evan, patrzyła, jak ich dzieci bawią się razem w piaskownicy. Patrzyła sparaliżowana tęsknotą i zachwytem. Kiedy dawniej przychodziła do parku z Robbiem, drobne macierzyńskie obowiązki zajmowały ją całkowicie, była jak pływak wśród wzburzonych morskich fal, pozbawiona samoświadomości, którą miała teraz; bo nic jej teraz tak nie dziwiło jak to, że sześć lat temu była jedną z tych młodych matek i nie rozumiała, jaki to cud.

Teraz ten cud zapierał jej dech w piersi.

Bawiące się dzieci były takie piękne! Takie zabawne i niesamodzielne, męczące, lecz urocze...

Nie mogła zwierzyć się tym młodym matkom z tego, co ją przeraża: że zaczyna zapominać, jak Robbie wyglądał. Że musi zaglądać do albumów, unosić zdjęcia do światła.

To zapominanie zaczęło się wkrótce po tym, jak zdiagnozowano u niej uraz neurologiczny. Dinah uważała jednak, że to nie wina układu nerwowego, lecz słabość ducha.

To była jej straszliwa tajemnica: czuła się nic niewarta.

Jedenaście lat! Zrobiło się jej słabo, nie była w stanie sobie wyobrazić, jak teraz wygląda jej syn.

Biedna Dinah! Szkoda, że nie postarali się o drugie dziecko.

Nic tylko urodzić drugie albo się zabić. No bo co innego?

Wesołe okrzyki dzieci wprawiały ją w stan rozdrzga-
nia. Kopały dołki w piasku, bawiły się na huśtawkach –
tak jak kiedyś Robbie. Zawsze gdzieś w pobliżu był jakiś
chłopiec bardzo do niego podobny...

Tego ranka pierwszy raz od ponad roku nadłożyła
drogi, żeby przejechać pomału obok przedszkola Mon-
tessori, do której przed sześciu laty chodził jej syn.

Zaskakująco łatwo było sobie wyobrazić, że Robbie
czeka na nią na tyłach budynku, otoczony swoimi ma-
łymi kolegami...

Rozmawiała, żartowała i starała się nie pamiętać.
Opowiadała kolejną smętną dykteryjkę o mężu.

Próbowała być zabawna. Kobiety z placu zabaw zna-
ły Whita Whitcomba, który w regionie Ypsilanti i Ann
Arbor był niemalże postacią publiczną, prowadził im-
prezy charytatywne, współorganizował doroczny wio-
senny marsz dobroczynny na rzecz pacjentów szpitala
dziecięcego, a ostatnio również piętnastokilometrowy
marsz psów oraz ich właścicieleli przez ogród dendrolo-
giczny Uniwersytetu Michigan, podczas którego zebra-
no pokaźną kwotę na pomoc dzieciom z autyzmem.

Whit nie chciał jeszcze jednego dziecka. Nie chciał
próbować.

Dinah próbowała – w tajemnicy. Nic jednak z tego
nie wyszło.

Uważała, że to ułomność duchowa. Nie fizyczna,
w każdym razie nie tylko fizyczna.

Zgubiła wątek. Opowiadała koleżankom o pewnym eksperymencie, którego była świadkiem na zajęciach z psychologii społecznej, ale zapomniała, do czego zmierzała, i czuła, że jej rozmówczynie są zakłopotane.

Biedactwo! Usta jej się nie zamykają.

To przez obecność dzieci na placu zabaw. Rozpraszały ją ich piski. Żywe dzieci, które już od sześciu lat przychodzą na świat, w którym nie ma Robbiego.

Zająknęła się i zamilkła. Jej koleżanki, zmieszane, również milczały.

Chwyciła butelkę i napiła się łąpczywie wody, aż kilka kropeł pociekło jej po brodzie.

Jej matka zwykła mówić tonem srogiej reprimendy: *Dinah! Musisz wziąć się w garść.*

W słowniku Geraldine McCracken był to najcięższy z możliwych zarzutów.

Dinah unikała luster. Największą torturą były dla niej te trójskrzydłowe w ośrodku rehabilitacji.

Cienkie jak papier warstwy tkanki bliznowatej. Oczy o rzadkich rzęsach, spoglądające jak zza maski. Niezwykle subtelnej maski halloweenowej, tym straszniejszej, że przypominającej prawdziwą skórę.

„Dolina niesamowitości” – im bardziej jakaś istota lub robot przypomina wyglądem człowieka, tym większy budzi niepokój. Kiedy Dinah usłyszała o dolinie niesamowitości na wykładzie z psychologii, miała ochotę zażartować na głos: Ja tam mieszkam!

Nieraz we śnie drapała się i drapała po twarzy, potem budziła się zakrwawiona i zdezorientowana, a Whit patrzył na nią przerażony.

Dinah. Chryste Panie.

Wciąż ją korciło, żeby drapać się paznokciem. Ale nie robiła tego.

Nie przy ludziach – żadnego drapania, żadnego dotykania twarzy. Żadnego litowania się nad sobą.

Czas już na nią. Powinna wracać do domu.

Licyła, że może będzie mogła pożegnać się z którymś dzieckiem – uścisnąć je, pocałować – ale nic na to nie wskazywało. Wszystkie dzieci bawiły się w piaskownicy i głupio jej było do nich podejść.

Bały się jej. Bały się lekko przekrzywionej szczęki i dziwnego spojrzenia w prawym oku.

Na ulicy często czuła na sobie wzrok przechodniów. Tak samo na uniwersytecie, gdzie studiowała teraz psychologię społeczną.

Albo wiedzieli, kim jest, albo się domyślali.

Chyba że nie mieli pojęcia i po prostu zdumiewali się jej wyglądem.

Kiedy podniosła się z ławki, jedna z młodych matek wstała, żeby jej pomóc, bo ugięło się pod nią prawe kolano.

Noga drżała jej z bólu, lecz Dinah robiła dobrą minę.

Choć krew odpływała jej z twarzy, zaśmiała się wesoło na pożegnanie i ruszyła dzielnie w stronę parkingu.

Wiedziała, że jest odprowadzana wzrokiem, że litują się nad nią. Że będą o niej rozmawiać.

Biedna Dinah! Usta jej się nie zamykają...

Myslicie, że jest na prochach?

Boże. To musi być piekło. Dla jej męża też...

Myslicie, że w domu też tyle mówi?

Miały rację, Dinah rzeczywiście mówiła zbyt dużo. Mówiła, nie słuchając swojego chrapliwego głosu. Lubiła, kiedy jej rozmówcy śmiali się lub uśmiechali. Kiedy udało jej się kogoś rozbawić.

Whit twierdził, że to się stało jej nałogiem.

Nie było łatwo, ale odstawiła oxycontin i vicodin. Na ból i na sen brała tylko paracetamol. Alkoholu nie piła w ogóle, nawet lampki wina do obiadu, bo bała się, że jak zacznie, nie będzie umiała przestać.

Odwiedzała parki i place zabaw. A nawet centrum handlowe Libertyville. Przejeżdżała też czasem obok przedszkola Montessori. To były jej nałogi.

Zdecydowanie więcej sensu miał jej wolontariat. To także był nałóg, ale przynajmniej pożyteczny dla innych.

Whit nie miał do niej pretensji o wolontariat. Sam jednak angażował się w zupełnie inną działalność niż ona.

Przekraczając ulicę, omal nie straciła równowagi. Nie zabrała z domu laski tylko przez dumę.

Pomóc pani, proszem pani?

Nie, nie, dziękuję. Nic mi nie jest.

Dziewczyna spoglądała niedowierzająco. Młoda Jamajka w białym stroju pielęgniarskim.

Whit powtarzał: Weź chociaż laskę, na Boga! Ta twoja duma. Mnóstwo ludzi chodzi o lasce.

Jej matka nie znosiła, gdy Dinah chodziła o lasce. Nie mówiąc już o balkoniku. Dinah, skarbie, jak ty wyglądasz! Moja córka.

Kiedy wstawała z miejsca po dłuższym odpoczynku, często szumiało jej w głowie. Potrzebowała paru minut, żeby dojść do siebie, ale podkreślała, że to nic poważnego.

Zrobiono jej rezonans magnetyczny. Nie stwierdzono żadnych dalszych uszkodzeń w tej części mózgu, która ucierpiała w wypadku.

W ostatnich miesiącach miała kolejne badanie mózgu, echokardiogram, angiogram, kolonoskopię, morfologię.

Kontynuowała, z przerwami, fizjoterapię. Przestała natomiast chodzić do psychoterapeuty, podobnie jak Whit. Oboje uznali, że jedyną rzeczą, której potrzebują, by odzyskać radość życia, jest powrót Robbiego.

Prawda była taka, że puściła Robbiego. Trzymała go mocno za rękę, aż nagle...

Terapeuta może wysłuchać pacjenta dręczonego poczuciem winy. Ale żeby skutecznie rozwiązać jego problem, musiałby cofnąć czas i zapobiec zdarzeniu, które stało się źródłem poczucia winy.

To dzieci z placu zabaw tak ją rozstroiły. Zawsze był tam jakiś chłopiec, który z boku lub z tyłu wyglądał jak Robbie.

Zawsze w oddali rozlegał się jakiś głos, wesoły, pod-
ekscytowany, który przypominał głos Robbiego. *Mamo?*
Mamo!

Czasem ten smutny głos – to był jej głos.

Mamo...

Matka przysyłała jej linki do stron poświęconych za-
ginionym dzieciom. A tych było mnóstwo.

Kiedy odwiedzała ją w domu, a Whita nie było, nie-
raz wyciągała jakiś artykuł z „Detroit News” o porwaniu
dziecka gdzieś w Nowym Meksyku albo na Florydzie,
albo w Dakocie Północnej. „Siedmiolatek uprowadzony
z podwórka. Policja szuka świadków”.

Albo: „Mężczyzna porwał samochód z dzieckiem.
Matka w szpitalu”.

Mamo, proszę cię, nie pokazuj mi takich rzeczy –
błagała Dinah.

Przez tych sześć lat Geraldine również się postarza-
ła. Jednak aby to zauważyć, trzeba było przyjrzeć się jej
prawie nieskazitelnej twarzy w ostrym świetle, zwrócić
uwagę na mocno napiętą skórę wokół oczu.

To był jeden z głównych tematów rozmów młodych
matek w parku: ich matki oraz teściowe.

Taki urok świata kobiet. Dinah przypomniła sobie
tytuł angielskiej sztuki renesansowej: *Kobiety, strzeżcie
się kobiet.*

Może i nie było to zbyt grzeczne, ale robiły to wszyst-
kie – i młode matki, i nie taka już młoda Dinah Whit-
comb: każda z nich od czasu do czasu zerkała na te-

lefon, żeby sprawdzić, czy nie dostała wiadomości lub e-maila.

Tyle że Dinah robiła to częściej niż jej koleżanki.

Kilkadziesiąt razy dziennie. Za każdym razem z nadzieją.

Kiedyś bowiem nadejdzie upragniona wiadomość. Kiedyś jej oczekiwanie dobiegnie końca.

Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Była pewna.

Inaczej niż Whit, który z ponurym śmiechem powtarzał, że niczego nie jest pewien, włącznie z ziemią, po której stąpa.

W biurze Rejestru Zaginionych Dzieci padła twarzą na biurko. Proste, wysłużone biurko Armii Zbawienia z telefonem – gorącą linią, na którą rzadko kiedy ktoś dzwonił. Czuła się taka słaba, energia uciekała z niej jak woda z odetkanej umywalki. Z oddali dolatywały głosy. Dlaczego zależy nam na ludziach, dlaczego ich kochamy, opłakujemy, potrzebujemy, dlaczego tęsknimy za nimi, skoro i tak umrzemy samotnie?

Była taka słaba! Mogłaby tak leżeć z ciężką głową na skrzyżowanych ramionach, z oszpeconą twarzą przyściśniętą do blatu, zasnąć i już nigdy się nie zbudzić.

Dinah? Dinah?

Nigdy się nie zbudzić.

O! Pokaż – powiedziała Leila.

Pokazał jej jeden z portretów kolorową kredą.

Jaki piękny chłopiec... Miał na imię Robbie?

Uśmiechnął się. Uśmiechnął się, żeby nie odpowiedzieć kąśliwie.

Ma na imię Robbie.

No tak. Oczywiście.

Sześć lat temu Whit zaczął rysować. Zawsze miał ciągoty w tym kierunku, lubił i potrafił robić karykatury, a kiedy Robbie zniknął i wszystkie media publikowały jego zdjęcia, Whit zaczął rysować portrety kolorową kredą, z pamięci, ale też wzorując się na fotografiach. Zamierzał na bieżąco uaktualniać portret Robbiego, jednak nie był do końca zadowolony z rezultatów i w końcu zrezygnował.

Policja stanu Michigan i FBI od czasu do czasu wypuszczały „uaktualniony” wizerunek Robbiego, ale Whit i Dinah nie lubili tych dziwnych portretów. Zwłaszcza Dinah, która reagowała na nie bardzo emocjonalnie.

Ich syn miał na nich coś z robota. Jak gdyby w pięcioletnim Robbiem zagnieździła się jakaś obca istota, która zmieniała kształt jego ciała, zmieniała wygląd jego twarzy, czyniąc go coraz mniej podobnym do siebie.

Pokój Robbiego pozostał z grubsza nietknięty. Whit wiedział, że Dinah zagląda do niego co najmniej raz dziennie, nie wiedział natomiast, co tam robi ani jak dużo czasu tam spędza. On sam rzadko wchodził do tego pokoju, mimo stale otwartych drzwi.

Najbardziej oczywistą zmianą był brak strasznych plakatów. Zastąpili je kredowymi portretami Robbiego autorstwa Whita.

Whit najchętniej wyprowadziłby się z tego domu – małego, ciasnego, do bólu zwyczajnego. Nacierpiał się w nim podczas wielu bezsennych nocy. Odległe wspomnienia z lat, kiedy był szczęśliwym, beztroskim ojcem, zatarły się pod wpływem tych nowszych, wypełnionych gniewem i bezsilnością.

Wolałby zamieszkać w położonym kilkanaście kilometrów dalej na zachód Ann Arbor, gdzie miał wielu przyjaciół i znacznie więcej oddanych słuchaczy niż w Ypsilanti.

Ale Dinah nie chciała się na to zgodzić. Dla niej porzucenie tego domu, tego pokoju równałoby się porzuceniu Robbiego.

Whit nie chciał się kłócić. Starał się szanować jej zdanie – jej przesady.

Pomyśleć, że jego dowcipna, ironiczna żona chodziła teraz do Kościoła Społeczności Chrystusa w Ypsilanti.

Gwoli sprawiedliwości, Dinah sama się tego wstydziała. Ukrywała to przed matką, niepraktykującą katoliczką. Twierdziła, że chodzi tam dla atmosfery. Ludzie śpiewają, trzymają się za ręce, radują się życiem. Nie trzeba myśleć.

Carmella powiedziała mu kiedyś: Nigdy jej nie zostawisz, Whit. Bo to tak, jakbyś zostawił jego.

Whit nie zaprzeczył. W swojej próżności chciał wierzyć, że kobieta pokroju Carmelli Fontaine, dyrektorka artystyczna eksperymentalnego teatru tańca w Ann Arbor, nigdy nie przestanie się w nim kochać.

Po Carmelli były inne. Whit czuł się taki samotny, taki zrozpaczony.

Jego seksualność, stanowiąca przecież rdzeń jego duszy, uległa zniszczeniu z chwilą porwania jego syna. Stracił poczucie kontroli nad własnym życiem. Nie czuł się już w pełni mężczyzną, dumnym ojcem. Inny mężczyzna, drapieżnik, odebrał mu syna.

Może to jest właśnie najstarsza i najdotkliwsza zniewaga, myślał. Gorsza niż porwanie żony.

Bo czy opowieść o Abrahamie i Izaaku, w której kochający ojciec staje się narzędziem w rękach gniewnego Boga, nie była najstraszliwszą ze wszystkich biblijnych opowieści?

Do tego dochodziło kalectwo Dinah.

Whit bardzo rzadko próbował kochać się z Dinah, bo bał się, że zrobi jej krzywdę. Poza tym – cóż – po prostu nie czuł do niej tego pociągu co dawniej, tamto pożądanie umarło na zawsze, niezależnie od tego, jak bardzo biedna Dinah starała się być wyzywająca i uwodzicielska.

Whit, powinniśmy się postarać o jeszcze jedno dziecko. Błagam.

Dinah, przecież nie czujesz się dobrze.

Nic mi nie jest. Kobiety w dużo gorszym stanie niż ja zachodzą w ciążę i rodzą dzieci.

Jesteś zbyt słaba. Rozmawialiśmy już o tym.

Rozmawialiśmy, ale nie podjęliśmy decyzji. Kiedy Robbie w końcu do nas wróci, będzie się spodziewał młodszej siostry albo brata. Będzie się spodziewał normalnej rodziny.

Whit nie wiedział, jak odpowiedzieć na ten nonsens.

Inną rzeczą, na której punkcie Dinah dostała bzika, był wegetarianizm.

Czuła wstręt na sam widok mięsa, na samą myśl o rzezi niewinnych zwierząt. Kilka razy, będąc w gościach u znajomych, bladła i dostawała mdłości od zapachu grillowanego mięsa, przeproszała wszystkich i biegła chwiejnym krokiem do ubikacji.

Wyborne towarzystwo, ci Whitcombowie!

Dla Whita był to problem tym większy, że uwielbiał grillowane żeberka, sushi, pieczeń wieprzową, tataro wołowe, łopatkę jagnięcą, nie mówiąc o dobrym steku.

Prawda była taka, że znenawidził Dinah.

Prawda była też taka, że nadal ją kochał. Oczywiście, że ją kochał. Przysięgał, że zawsze będzie kochał Dinah McCracken, zawsze będzie ją chronił.

Dinah i Robbie. Miłość do żony i syna przyszła z wielką siłą, był nią odurzony, jak gdyby nawdychał się bezwonnych, lecz upojnych oparów. Nigdy wcześniej nie kochał nikogo tak mocno – dopóki nie urodził mu się syn, nie był na to wystarczająco dojrzały.

A teraz nieuchronnie oddalał się od Dinah, tak jak to się dzieje z dwiema łodziami dryfującymi bez wioseł.

Przez jakiś czas prąd niósł ich w tym samym kierunku, a potem każde popłynęło w inną stronę.

Po tych sześciu latach Whit czuł się wypalony. Po zniknięciu syna nie zamknął się w sobie, przeciwnie, brał udział w poszukiwaniach porywacza, regularnie obdzwaniał miejskie i stanowe komisariaty, drukował coraz to nowe ulotki, występował w telewizji i apelował o pomoc. I tak w kółko – bo to był dla niego jedyny sposób, żeby nie zwariować.

Nie przesypiał połowy dnia w pozycji embrionalnej na łóżku syna. Nie chodził na nabożeństwa do ewangelików, by trzymać się za ręce z obcymi ludźmi, by razem z nimi płakać i śpiewać hymny.

Miejmy dziecko. Paraplegiczki mogą rodzić dzieci. Chodź, pokażę ci w internecie.

Proszę cię, Whit! Jestem pewna, że Robbie wolalby wrócić do normalnej rodziny.

Kalectwo Dinah nie rzucało się w oczy. Przynajmniej dopóki siedziała w miejscu i mówiła, a mówiła dużo i z ożywieniem. Dopóki nie wstała i nie próbowała chodzić z dawną lekkością i gracją.

Na pierwszy rzut oka nie sprawiała też wrażenia zdeformowanej. Wyglądała na nieco więcej niż swoje trzydzieści cztery lata. Stopniowo przybierała na wadze; zaczynała od czterdziestu pięciu kilogramów, a teraz Whit dawał jej około sześćdziesięciu. Urosła w barkach i ramionach, co było wynikiem rehabilitacji, ćwiczeń z ciężarami, długich miesięcy chodzenia o lasce albo z bal-

konikiem, odpychania się od blatów, oparcie i poręczy („napędzania się”, jak mawiał z uznaniem Whit), by ulżyć boleśnie przeciążonym nogom – była wtedy jak niepełnosprawny sportowiec, który walczy niezłomnie o medal na paraolimpiadzie. Nogi miała chude i stosunkowo słabe, zwłaszcza prawe kolano było podatne na ból. Miewała napady migreny, od których ciemniało jej w oczach. Dużą trudność sprawiało jej pisanie, odręcznie i na komputerze. Jej ciało obchodziło swoje ułomności, tak jak nieraz drzewo rośnie krzywo, by ominąć przeszkodę.

Whit był dumny z Dinah: bez słowa narzekania znosiła długie miesiące morderczej fizjoterapii. Była teraz o wiele sprawniejsza ruchowo niż pięć lat wcześniej, kiedy lekarze nie dawali jej wielkich szans na powrót do zdrowia. Irytował go jednak upór, z jakim twierdziła, że odzyskała pełnię sił, co nie było prawdą: wciąż łatwo się wywracała, kilka razy trzeba ją było zawieźć na pogotowie z powodu hiperwentylacji, ataku częstoskurczu lub silnych bólów żołądka i jelit. Mimo to uparcie wmaśniała sobie, że jest „prawie w pełni sprawna”.

Właśnie z powodu tej swojej cholernej dumy tak rzadko używała laski. A Whit kupił jej nie byle jaką, bo wiktoriańską, pięknie wyrzeźbioną z kości słoniowej.

(Oburzyła się na niego: Mam chodzić z laską z kości słoniowej? Whit, dla tej kości zabito słonia!).

Ta sama дума nie pozwalała jej zgodzić się na to, by Whit podwoził ją autem pod same drzwi. Oczywiście

kończyło się tym, że musiała stawać w połowie drogi i wspierać się na jego ramieniu. „Nie, nie! Nic mi nie jest. Po prostu się zdyszałam, czasami tak mam...”

Często chowała przed nim twarz. Nie lubiła, gdy patrzył jej prosto w oczy, nie lubiła też, gdy zdawał się unikać jej wzroku.

Przynajmniej nie przeproszała za swój wygląd. Chybaby tego nie wytrzymał.

Jej twarz bynajmniej go nie brzydziła. Spod przezroczystej bliznowatej tkanki przeświecała ta prawdziwa Dinah. I te niezmiennie piękne ciemnobrązowe oczy o rzadkich rzęsach.

Któregoś razu, gdy Dinah nie słuchała, Geraldine powiedziała mu zniżonym głosem: Myślisz, że nie wiemy? Mylisz się.

Miał ochotę ją odepchnąć. Zawsze, kiedy z nim rozmawiała, bawiła się w złośliwe niedopowiedzenia. Nigdy też nie mówiła o nim jak o mężu jej córki, ojcu jej wnuka, zawsze był dla niej „Whitem” Whitcombem, disc jockeyem, farbowanym lisem ze słabością do marihuany i przygodnego seksu. Może i potrafił świetnie mydlić oczy, ale ona przejrzała go na wylot.

Oznajmiła mu ze złością, że wie, ale nic nie powie. Bo Dinah taką już ma naturę – jest słaba i ufna. Ale przynajmniej mógłby zachować większą ostrożność.

A kiedy Whit nic nie odpowiedział, bo nie chciał się zniżyć do jej poziomu, dodała z jadem w głosie: Czyli ostrożność. Przynajmniej mógłbyś zachować więk-

szą... Dziękuję, Geraldine, ale wiem, co znaczy roztropność.

Może w końcu odejdziesz od Dinah. Bo tylko w ten sposób zdoła się uwolnić od tej głupiej francy.

Ale przedtem Dinah musiałaby wrócić do zdrowia. I musieliby znaleźć Robbiego.

A jeśli zdarzy się cud i odzyskają Robbiego, Whit Whitcomb na pewno nie zostawi żony i syna.

Tak czekali.

Czekali już szósty rok.

Matka nie kryła nadziei, że ich dziecko się odnajdzie, ojciec miał tej nadziei znacznie mniej.

A mimo to czasem wystarczało im jedno spojrzenie, by zrozumieć się bez słów.

Widok dziecka na ulicy, przypadkowa uwaga wypowiedziana przez obcą osobę, twarz kogoś, kto przypominał, na przykład, jednego z detektywów, który przed laty prowadził sprawę zniknięcia Robbiego – niewiele było trzeba.

Czasem Dinah zaczynała płakać bez wyraźnej przyczyny. Whit wiedział dlaczego.

Opowiadała mu swoje sny. On rzadko mówił o swoich.

Lecz o dziwo, czasem śniły im się bardzo podobne rzeczy.

Dinah często śniła o Robbiem. Nie widziała jego twarzy, tylko niewyraźną plamę, jak gdyby ktoś rozmazał

ją gumką. *Zapominam jego twarz* – uświadamiała sobie ze zgrozą.

W tych snach Robbie się odnajdywał. Za każdym razem pojawiały się jednak problemy. Sen ciągnął się i ciągnął niczym długa wędrówka w deszczu po rozjeżdżonych drogach.

Ile razy Dinah czuła, jak palce chłopca wyslizgują się z jej dłoni! Ile razy uderzała o ziemię, a samochód porywacza włókł ją po asfalcie jak szmacianą kukłę... Opowiadała Whitowi, jak wyrwały ją ze snu trzeszczące głosy nieznajomych, jak gdyby z automatycznej sekretarki albo syntezatora mowy; rodzice porwanego dziecka co rusz musieli podpisać albo wypełnić jakiś dokument; zgrzytliwe głosy jakby z radia; jasny blask parzących oczy świetlówek; w końcu oznajmiono jej, że Robbiego nie ma przy niej, w ogóle go tam nie było.

Whit myślał wtedy: *Przecież mnie śniło się to samo!*

Odkąd Dinah zgłosiła się na ochotnika do obsługi gorącej linii, miewała wyjątkowo dręczące koszmary, w których cichy, słabnący głos (Robbiego?) w słuchawce błagał ją rozpaczliwie, by się nie rozłączała.

Nie zostawiaj mnie! Nie zostawiaj mnie!

Tymczasem Whit starał się spędzać jak najwięcej czasu poza domem. *Nic na to nie może poradzić, to jego nałóg.*

Kiedy otrząsnął się z kosmaru, okazało się, że jest (pomniejszym, lokalnym) celebrytą. Za każdym razem,

gdy media obiegała wiadomość o porwaniu dziecka, gazety i telewizja zwracały się do niego z prośbą o komentarz. Ze strachu przed ciszą i samotnością żył na pełnych obrotach: praca, obowiązki, seks, piwo z kolegami, sporadycznie trawka, czasem nawet przedwieczorny seans w multipleksie, w pojedynkę. Filmy akcji z mnóstwem idiotycznej i bezlitosnej przemocy, której Dinah by nie zniosła.

Dinah czuła się samotna, ale nie robiła mu wyrzutów. Widocznie przyrzekła sobie, że nie będzie robić wyrzutów towarzyszowi załoby.

Jej własne życie, choć mniej gorączkowe, było do pewnego stopnia podobne: zajęcia na uczelni, wolontariat, poznawanie ludzi, podtrzymywanie nowych przyjaźni, wieczory w kościele. Ona, przed narodzinami Robbiego nad podziw samowystarczalna, a po jego narodzinach całkowicie nim zaprzątnięta, teraz rozpaczliwie łaknęła towarzystwa, choćby przypadkowego i chwilowego.

Choćby nawet towarzystwa swojej matki. Whit nie mógł tego pojąć.

Kiedy wracał do domu, natychmiast siadał przed komputerem, jakby ciągnęła go tam jakaś przemożna siła – czarna dziura, jak ze smutkiem zauważyła Dinah. O ile tylko nie miał żadnej pracy w radiu ani nie był z nikim umówiony, potrafił cały dzień sprawdzać pocztę i esemesy, kilkanaście razy na godzinę.

Na godzinę? Chyba raczej na minutę.

Whit był jak człowiek, który obudził się na gruzach zniszczonego miasta i szukał prostego schronienia i sposobu na przeżycie.

Tutaj mogę żyć. Mogę oddychać.

Nie chciał być dla niej niemiły.

Zawsze był miły w stosunku do kobiet. A one prawie wszystko mu wybaczały.

Hedy Proxmire była jednym z bogatych darczyńców wspierających WCYS-FM – zwłaszcza audycję *American Classics & New Age* Whita Whitcomba. A ściślej rzecz biorąc, tym bogatym darczyńcą był jej mąż.

Na rautach połączonych ze zbiórką pieniędzy Proxmire'owie w swych eleganckich wieczorowych kreacjach należeli do najczęściej fotografowanych osób. Whitowi zdarzyło się kilka razy ucisnąć rękę Tracy'emu Proxmire'owi, jego znacznie młodsza żona Hedy stała wtedy obok, piękna i uśmiechnięta.

Powtarzała Whitowi, że oczywiście rozumie – on nigdy nie odejdzie od żony.

– Taka jesteś pewna? No, no.

– Wiesz co, Whit, tak sobie myślę, że tragedia osobista przeszkadza w życiu.

– Naprawdę? Coś podobnego. Ciekawe w jaki sposób?

– Bo człowiek ma wtedy u wszystkich taryfę ulgową i nie dociera do niego, jakim jest dupkiem.

Roześmiał się, choć skóra zapiekła go jak po siarczystym policzku.

– Przeszkadza w inny sposób – odparł. – W taki, że potem w swojej głowie łączysz wszystko z tą tragedią, każde uczucie, każde niepowodzenie. Nie potrafisz sobie wyobrazić innego życia. Jest tylko to jedno. Nie ma od niego żadnej ucieczki.

Mówił prawdę. Smutną, banalną, pretensjonalną, ale prawdę.

Czyżby to miał być koniec tej znajomości? Może to już czas – pomyślał.

W każdym jego związku – poza tym jednym najważniejszym – przychodził taki moment.

Czasem bardzo szybko, bo już po kilku schadzках. Czasem później, gdy namiętność i pożądanie zaczynały się przeradzać w coś trwalszego.

Jego kobiety nigdy nie były przygotowane na ten moment. W przeciwieństwie do niego.

Co ciekawe, z początku to Whit był bardziej namiętny. Niczym dziecko spragnione czułości, ciepłego dotyku.

Chciał z nią postąpić elegancko. Starał się nie zwracać uwagi na paznokcie, którymi głaskała go po ramieniu.

Te paznokcie za każdym razem były pomalowane na inny kolor: blad różowy, brzoskwinowy, koralowy, lawendowy. Z początku rozplątywał się nad nimi w dowcipnych zachwytach. Później zaczął wyrażać zdziwienie, a ostatnio – wręcz zakłopotanie. (Czy to dla niego

była ta rewia kolorów, te przemyślane i czasochłonne starania?). Bawiła go myśl, że kobiety z własnej nieprzymuszonej woli poddają się takim absurdalnym zabiegom.

(Oczywiście problem ten nie dotyczył Dinah. Jej paznokcie były krótkie, popękane, cienkie jak papier, jakby organizm pozbył się całego białka).

Dzisiaj paznokcie Hedy były perłowe. Opalizujące.

Przede wszystkim jednak zmienił się ich kształt: nie były już owalne, lecz prostokątne, jak małe łopaty. Whit wlepił w nie wzrok, zastanawiając się, jak Hedy radzi sobie z nimi w codziennych sytuacjach – na przykład używając telefonu?

– Problem polega na tym – odezwała się Hedy ostrożnie, by nie urazić swojego przewrażliwionego kochanka – że nie wiesz, jak wyglądałoby twoje życie, gdyby wszystko potoczyło się inaczej. Mam na myśli twoje uczucia...

Whit nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Wciąż wpatrywał się w jej paznokcie, zastanawiał się, czy coś, co wygląda tak sztucznie, może być mimo wszystko prawdziwe, i czy zdołałby odłamać któryś z tych paznokci, czy okazałoby się to niemożliwe, bo to jednak przedłużenie jej ciała.

Hedy, nie zdając sobie sprawy z rosnącej w nim złości, ciągnęła:

– Być może wasze małżeństwo tak czy inaczej nie byłoby szczęśliwe. Być może.

– No i?

– Nic, po prostu chcę ci to uświadomić. Może niepotrzebnie.

– Może rzeczywiście, Hedy.

– Chodzi mi o to, że może to nielogiczne i bezsensowne, a nawet niesprawiedliwe: pokutować całe życie z powodu jednego strasznego zdarzenia...

Nie przerywał jej chaotycznego wywodu. Przestało go interesować, czy te absurdalne paznokcie są prawdziwe, czy sztuczne, tak samo jak nie obchodziło go, czy prawdziwe, czy sztuczne są uczucia tej kobiety względem niego – a może jedne i drugie mieszają się w niej w niemierzalnych ilościach, jak pierwiastki śladowe?

Ich czas minął. Mając tego świadomość, Whit oznajmił znienacka, że musi wracać do domu. Nigdy przedtem nie żegnał się z Hedy Proxmire w ten sposób, z tak nagłym pośpiechem.

– Jak to? Masz coś ważnego w domu?

– Czy nie tym właśnie jest dom? Czymś ważnym?

– Jakoś nigdy mi o tym nie mówiłeś, Whit.

– I już nie będę.

W połowie drogi z Ann Arbor Hills do Ypsilanti zadzwonił telefon – znajomy dźwięk, który przyprawiał go na moment o szybsze bicie serca – ale nie odebrał, bo kilka razy w podobnej sytuacji, rozmawiając przez telefon na tej drodze, omal nie spowodował wypadku.

Kiedy zajechał pod dom, Dinah czekała na niego na oświetlonej werandzie.

Czekała, mimo że Whit często wracał do domu bardzo późno.

Trzymała w ramionach coś żywego – rudego kota sąsiadki. Whit pomachał jej wesoło, ale poczuł w duszy lęk. Czy to Dinah próbowała się do niego dodzwonić? Często dzwonili do siebie w ciągu dnia, choć nie mieli dla siebie żadnych wiadomości. Wolałby już nigdy nie mieć od niej wiadomości.

Kiedy otworzył drzwi samochodu, Dinah zbiegła niezdarne po schodach werandy. Twarz miała ożywioną, oczy jej płonęły.

– Whit! Znaleźli Robbiego!

CZEŚĆ TRZECIA

ANN ARBOR, MICHIGAN
WRZESIEŃ 2012

Gdzie on się podziewa?

Czekali na niego w atrium na parterze przeszklonego Washtenaw Building w Ann Arbor.

Wcześniej spędzili pięćdziesiąt minut w gabinecie doktor Kozdoi na drugim piętrze, po czym wyszli, zostawiając Robbiego sam na sam z terapeutką na kolejnych pięćdziesiąt minut.

Robili tak od kilku miesięcy, odkąd ich syn zaczął terapię.

Było dwanaście po dwunastej. Robbie powinien był skończyć punkt w południe.

– Mam iść go poszukać?

– Może jest w ubikacji na górze.

– Możemy poczekać jeszcze parę minut. Nie dawajmy mu odczuć, że na niego czekamy.

Whit wziął Dinah za rękę i pogłaskał ją. Delikatnie.

Obróciła dłoń, tak jak zawsze, i chwyciła jego palce od spodu. Czuła siłę tętniącą w tym mężczyźnie, jej mężu. *Znów stanowimy jedność. Jesteśmy rodziną.*

Postanowili, że jeszcze trochę poczekają. Robbie miał jedenaście lat. Być może potrzebował chwili dla siebie po spotkaniu z terapeutką.

Państwa syn robi olbrzymie postępy – zapewniła ich doktor Kozdoi. – Jak na piekło, które przeszedł, radzi sobie wyjątkowo dobrze.

Robbie nie rozmawiał z rodzicami o sesjach w cztery oczy z terapeutką; również doktor Kozdoi, rzecz jasna, nie mówiła im niczego, co chłopiec powiedział jej w zaufaniu.

Whitcombowie wiedzieli, że czasem, gdy Robbie nie chciał lub nie potrafił wyrazić czegoś słowami, dostawał od terapeutki kawałek węgla i rysował nim na kartkach z bloku. Jego prace nie opuszczały jednak gabinetu doktor Kozdoi, a Dinah i Whit jeszcze ich nie widzieli.

Pewnego dnia Dinah zadzwoniła do terapeutki i zapytała, czy Robbie opowiedział jej coś więcej o tym człowieku.

„Tym człowiekiem” Dinah nazywała porywacza i pedofila znanego policji pod nazwiskiem Chester Cash.

Doktor Kozdoi odparła, że na razie nie może z nią o tym rozmawiać. Co innego, jeśli ten temat pojawi się podczas spotkania w czteroosobowym gronie.

Ale pani doktor – powiedziała Dinah – ja nie chcę, żeby pani mi powtórzyła słowo w słowo, co powiedział

mój syn. Chciałabym tylko wiedzieć, czy... czy wspominał o tym człowieku...

Doktor Kozdoi jak najgrzeczniej powtórzyła, że bardzo jej przykro, ale niestety nie może z nią o tym rozmawiać – jeszcze nie teraz.

Oczywiście Whitcombowie nie mieli wątpliwości, że Robbie opowiada terapeutce o tym człowieku. Tak jak wcześniej, co prawda krótko i nieraz chaotycznie, opowiadał o nim policjantom.

Przyjdzie taki czas, że opowie i rodzicom. Kiedy poczuje, że jest gotowy.

Doktor Kozdoi wytłumaczyła im, że w tak delikatnym przypadku pośpiech może tylko zaszkodzić. Przedwczesne wyznania przynoszą efekt przeciwny do zamierzonego. Rozmowa nie może mieć charakteru przesłuchania. Młody pacjent nie powinien czuć się przepytywany, naciskany czy wręcz „atakowany”.

Kiedy Dinah swoim pogodnym tonem zapytała Robbiego, czy lubi doktor Kozdoi – bo ona ją lubi – wymamrotał pod nosem: „Ta, jest w porzo”.

Whit zapytał go, czy te spotkania mu pomagają. Robbie wymamrotał: „Uhm, chyba”.

Jedenastoletni Robbie w niczym nie przypominał szczebiotliwego dziecka sprzed sześciu lat.

Trudno było uchwycić jego spojrzenie.

Był nieśmiały i małomówny. Zapytany o cokolwiek, reagował jakby z lekkim opóźnieniem.

Nie uśmiechał się spontanicznie, jego uśmiechy także sprawiały wrażenie lekko spóźnionych.

Dinah bardzo nie lubiła mu przypominać – nienawidziła siebie w tej roli – żeby prostował plecy, nie garbił się, nie spuszczał głowy.

Nie potrafiła się zmusić, żeby mu powiedzieć: *Nie możesz się kulić i garbić. Z nami jesteś bezpieczny, kochamy cię.*

Fakt pozostawał faktem: w twarzy jedenastolatka niewiele zostało z jej pięcioletniego syna.

Jego oczy, ciemne, nieufne i czujne, nie były oczami dziecka.

Włosy, nieudolnie farbowane na kilka odcieni – jasny blond, ciemny blond, brąz – w większości odrosły. Whit zabrał chłopca do fryzjera, by pozbyć się ostatnich farbowanych końcówek, i teraz wreszcie – Whit odnotował to z satysfakcją – ciemnowłosy Robbie wyglądał jak ktoś, kto mógł być jego synem.

Kiedy był mały, wołał: Mamusiu! Tatusiu!

Od rana do wieczora ten sam rozkoszny głosik: Mamusiu! Tatusiu!

Po wielu namowach, mówił do nich „mamo” i „tato”.

Takie czułe słowa wciąż przychodziły mu z trudnością. Dinah nieraz widziała panikę w jego oczach, jak u jękającego się dziecka, które ma przed sobą zbitkę trudnych dźwięków.

Mamo. Tato.

Często go przytulali. Był taki wysoki – jak na małego chłopca...

W gruncie rzeczy nie odbiegał wzrostem od przeciętnego jedenastolatka. Był po prostu bardzo chudy.

Miał coraz więcej białych krwinek. Prawie całkiem wyleczono go z anemii.

Kiedy się go przytulało, stał nieruchomo, biernie, ze zwieszonymi rękoma.

Jak niewolnik pogodzony ze swoim losem.

W takich chwilach oddychał szybciej. Skóra robiła mu się wilgotna. Jego serce biło mocniej, a może tylko Dinah się zdawało.

Było jej trochę przykro, że Robbie na jej objęcia reaguje tak samo jak na uściski babci Geraldine. Całowany w policzki, mrugał nerwowo powiekami.

Jak dotąd ani razu nie odwzajemnił pocałunku.

Ostatnio za namową Dinah (i prawdopodobnie doktor Kozdoi) otaczał rodziców rękoma, kiedy go przytulali, robił to jednak nieporadnie.

Mimo wszystko Dinah była przekonana, że Robbie lubi być przytulany, a nawet całowany, tak jak zdawał się lubić – co nietypowe dla jedenastolatka – różne domowe zajęcia: gdy skończył jedną rzecz, od razu pytał o następną. Lubił sprzątać ze stołu, opłukiwać naczynia i wkładać je do zmywarki. A nawet robić pranie. I odkurzać!

Lubił też być chwalony za prace domowe. Jeżeli zdarzało mu się samemu uśmiechnąć, to właśnie wtedy.

Whitcombowie dowiedzieli się, że ten człowiek traktował go jak swojego niewolnika. To i inne straszne

upokorzenia musiał znosić ich syn przez sześć lat dzieciństwa.

Ale nie przestał być naszym synem. To wciąż nasz Robbie. Rozpoznalibyśmy go na drugim końcu świata.

Od pamiętnego telefonu minęły prawie cztery miesiące. Cztery miesiące, odkąd Whitcombowie udali się do New Jersey na spotkanie z odnalezionym synem.

Polecieli do Newark i stamtąd wynajętym samochodem pojechali do szpitala dziecięcego imienia Roberta Wooda Johnsona w New Brunswick, do którego Robbie trafił z powodu niedożywienia, anemii i wycieńczenia organizmu po mniej więcej dwóch dobach u podnóży gór Kittatinny, na wschód od przełomu rzeki Delaware.

Dwa miesiące później przeprowadzili się z Ypsilanti do Ann Arbor, zamieszkali w ładnym wiktoriańskim domu przy 3rd Street, wynajętym od profesora biologii Uniwersytetu Michigan, który wyjechał za granicę na roczny urlop naukowy.

Była to dla nich wielka ulga, zamieszkać w niedużym mieście uniwersyteckim, opuścić Ypsilanti, uwolnić się od nadmiernej troski – nadmiernej ciekawości – sąsiadów i od całej masy złych wspomnień.

Ann Arbor zamieszkiwała najbardziej kosmopolityczna społeczność uniwersytecka w Michigan, jeżeli nie na całym Środkowym Zachodzie. Whit żartował, że tutaj co trzecia osoba na ulicy ma azjatyckie rysy.

Doktor Miriam Kozdoi, absolwentkę Uniwersytetu Michigan, uznaną specjalistkę w dziedzinie psychologii dziecięcej i rodzinnej, Whitcombowie odwiedzali od kilku miesięcy.

Dinah bardzo ją lubiła. Whit też ją lubił, choć z pewnymi zastrzeżeniami.

Taki już był podział ról w ich małżeństwie: ona była optymistką, on sceptykiem.

Obojgu podobało się, że doktor Kozdoi jest szczerą, wesołą, no i bardzo inteligentną. Podobało im się, że w rozmowie często nawiązuje do książek, filmów, muzyki, opery, sztuki, telewizji, internetu, sportu. (Okazało się, że jeszcze całkiem niedawno była zapaloną narcisarką i turystką górską). Dobre wrażenie zrobił na nich nietuzinkowo urządzony gabinet: młody pacjent, jeśli miał ochotę, mógł się rozsiąść w fotelu w kształcie rękawicy baseballowej; dorośli mieli do dyspozycji bardziej konwencjonalne meble. Na ścianach wisiały reprodukcje klasyków amerykańskiej czarno-białej fotografii: Ansel Adamsa, Edwarda Westona, Alfreda Stieglitza, Dorothei Lange, Bruce'a Davidsona. Sięgające sufitu regały wypełnione były książkami, czasopismami i fachowymi periodykami, które wyglądały na często używane.

W gabinecie panował nastrój odprężenia i zaufania. Stary szafkowy zegar cicho wybijał połówki godzin. Doktor Kozdoi siedziała nie przy biurku, lecz przy zielonkawym stole o zaokrąglonych narożnikach. Nie mogło

na nim jednak zabraknąć kwadratowego pudełka z chusteczkami w hebanowej szkatułce, takiego, jakie Dinah widywała u wszystkich terapeutów, do których chodziła w ostatnich sześciu latach.

Proszę śmiało wziąć chusteczkę. Płacz to nic złego.

Sama doktor Kozdoi była wysoką, mocno zbudowaną, uśmiechniętą kobietą o siwiejących włosach obciętych po męsku na krótko, ale z puszystą grzywką opadającą na brwi, w ozdobnych, ręcznie wykonanych srebrnych kolczykach. Nosiła prosto skrojone kostiumy ze spodniami, na które zarzucała egzotyczne indyjskie lub chińskie szale. Jeżeli Whit lubił ją mniej niż jego żona, to zapewne dlatego, że doktor Kozdoi wydawała mu się mało „kobieca” – lecz mimo to miała hipnotyzujące spojrzenie.

Podczas wspólnych sesji rodzinnych Whit mówił mniej niż Dinah. Robbie nie odzywał się prawie wcale.

Dinah, odkąd poznała doktor Kozdoi – którą polecił jej gorąco jeden z wykładowców z wydziału psychologii – sama zaczęła nosić rzucające się w oczy kolczyki. Uświadomiła sobie, że to świetny sposób na odwrócenie uwagi od własnej twarzy.

Widziała, jak badawczo terapeutka przyglądała się jej na pierwszym spotkaniu. Z jaką serdecznością, i jednocześnie stanowczością, przetrzymała jej dłoń przy powitaniu.

Na pewno rozumiała, jak bardzo Dinah wstydzi się swojego wyglądu, jak bardzo niekobieca się czuje,

i zarazem jak bardzo stara się to wypierać ze swojej świadomości.

Proszę nikomu nie zdradzać mojego sekretu. Błagam!

Na cotygodniowe spotkania z terapeutką Dinah zawsze przychodziła atrakcyjnie ubrana. Nie w swoich codziennych spranych dżinsach ani nawet w eleganckich czarnych spodniach z nylonu, ale w sukienkach, spódniczkach. Oraz w szalach, nie tak kolorowych jak te doktor Kozdoi. Od powrotu Robbiego znacznie bardziej dbała o swój wygląd, często myła włosy i używała szminki. Eksperymentowała nawet z makijażem, pudrowała niektóre blizny. Efekt chyba nie był najgorszy, zwłaszcza przy niepełnym świetle.

Szczyście. Odzyskałam swoje życie.

I zdrowie. Prawie.

Chodzenie wciąż sprawiało jej pewną trudność, choć mniejszą niż kiedyś. Już od lat się nie przewróciła.

Gdyby zresztą straciła równowagę albo poślizgnęła się i upadła w domu, kto by się o tym dowiedział? Za nic w świecie nie przyznałaby się przed Whitem, a Robbie na szczęście niezbyt jej się przyglądał.

Kilka razy dostrzegła w oczach syna, kiedy na nią patrzył, wyraz bolesnego współczucia.

Powiedziano mu – nie było innej możliwości – że jego matka jest „w lekkim stopniu niepełnosprawna” z powodu tego mężczyzny, który go porwał i który próbował ją zabić minivanem. Whit uważał, że pod żadnym pozorem nie można tego przed Robbiem ukrywać.

Dinah, gdyby to od niej zależało, raczej by mu nie powiedziała.

Z czasem jednak uznała, że była to słuszna decyzja. Bo Robbie mógł sobie lepiej uzmysłwić, jak bardzo go kochała w tamtej dalekiej przeszłości, z której ledwie cokolwiek pamiętał. I może nie będzie się wstydził, że jego matka ma „coś nie tak” z twarzą.

Trudno było stwierdzić, czy Robbie naprawdę pamięta cokolwiek z wczesnego dzieciństwa, czy tylko udziela ogólnych odpowiedzi, sugerując się oczekiwaniami dorosłych. Kiedy w maju, po wyjściu ze szpitala, pierwszy raz odpowiadał na pytania policji, nie potrafił nawet powiedzieć, jak się wtedy nazywał – „Gedeon Cash”.

Dinah powtarzała sobie: *Nie wstydzi się mamy. Tego, że jestem pokraką. Czuje ze mną bliższą więź niż z Whitem.*

Siłą rzeczy spędzała z Robbiem więcej czasu niż Whit, który przez pierwsze dwa miesiące brał dużo wolnego, ale potem wrócił do swojego normalnego grafiku.

Twój tata ma bardzo dużo pracy. Ludzie go uwielbiają! Nie było to do końca prawdą. „Whit” Whitcomb miał w okolicach Ypsilanti i Ann Arbor wielu wrogów, słuchaczy, którym nie w smak były jego lewicowe poglądy i duża popularność. Nawet gdy w mediach zrobiło się głośno o odnalezieniu Robbiego, otrzymał przy tej okazji kilka obraźliwych, jadowitych maili.

Dinah zaczęła nowe życie – dużo jeździła samochodem, wozila syna do lekarzy i dentystów, zabierała go na

spacery po uniwersyteckim ogrodzie dendrologicznym, zawiozła go na organizowany pod auspicjami Uniwersytetu Michigan letni kurs, na którym dzieci w jego wieku z różnymi problemami bądź przerwami w nauce mogły w przyspieszonym trybie uzyskać dyplom odpowiadający ukończeniu ostatniej klasy szkoły podstawowej. W New Jersey, uczęszczając do szkoły jako Gedeon Cash, Robbie miał prawie same dobre oceny; jednak podczas półtoramiesięcznego letniego kursu był roztargniony, miał problemy z koncentracją i nie zaprzyjaźnił się z żadnym z rówieśników.

Młoda i sympatyczna nauczycielka z kursu wiedziała oczywiście, kim jest Robbie Whitcomb. Jej spojrzenie powiedziało Dinah wszystko: *Wiem. Strasznie mi przykro! Ale obiecuję, że nikomu nie powiem.*

Dinah uśmiechnęła się sztywno.

Ona też nikomu nie mówiła, z drugiej jednak strony nie zamierzała paranoicznie utrzymywać wszystkiego w tajemnicy.

Ypsilanti i Ann Arbor razem wzięte tworzyły dość małą społeczność. Latem 2012 wszyscy już wiedzieli, kim jest Robbie Whitcomb i jego rodzice, Dinah i Whit.

Historia porwania, sześciu lat niewoli, ucieczki i ponownego spotkania chłopca z rodzicami w New Jersey była wielokrotnie opisywana w najdrobniejszych i niezrządkiem drastycznych szczegółach. Whitcombowie przystali na jedną konferencję prasową na początku czerwca, w siedzibie radia WCYS-FM; nie było na niej Robbiego,

a wszystkie zaprezentowane dziennikarzom zdjęcia były znane z rozlepianych przed laty plakatów i przedstawiały chłopca w wieku pięciu lat.

W telewizjach kablowych drażono temat „seryjnego zabójcy i pedofila Chestera Casha”, który uprowadził podobno kilku chłopców, a co najmniej trzech zabił i zakopał niedaleko swojego domu w Kittatinny Falls w stanie New Jersey. Pokazywano zdjęcia tych chłopców – byli tacy mali, tacy śliczni! – w tym również małego Robbiego; ale Robbie na szczęście nie był „ofiara śmiertelną”.

Whitcombowie nie mieli nic wspólnego z tymi materiałami i konsekwentnie odmawiali wywiadów. Whit z ponurą miną oglądał większość tych programów, wychodząc z założenia, że jako ojciec Robbiego powinien wiedzieć o sprawie jak najwięcej; Dinah unikała ich jak ognia.

Whit nagrywał je i oglądał późnym wieczorem, kiedy Robbie już spał. A przynajmniej taką mieli nadzieję: że gdy położyli go do łóżka, pocałowali na dobranoc i przykryli po szyję kołdrą, Robbie spał.

Dinah była w rodzinie tą spokojniejszą, łagodniejszą, tonującą emocje – jak przystało na kalekę o twarzy rodem z sennego koszmaru. (Był to jej specyficzny rodzaj humoru, którego jednak oszczędzała Robbiemu).

Whit był w rodzinie tym bardziej zapalczywym, ostrzej reagującym na ludzkie wścibstwo, gotowym chronić syna i żonę przed dziennikarzami.

Tym ostatnim nieraz wytrącał z rąk smartfony, gdy próbowali fotografować lub filmować jego rodzinę na ulicy. Nie wiedział, jak Dinah to znosi, czy w ogóle daje sobie z tym radę, bo nie rozmawiali o tym.

Kiedy Dinah odbierała Robbiego z letnich zajęć, czekała na niego w sąsiadującej z kampusem okolicy pełnej sklepików, butików i antykwariatów; spacerowała bez pośpiechu po uliczkach, delectując się nawet bólem nóg i pleców, napawając się myślą, że czeka na swojego syna, że niedługo zawiezie go do domu.

Miała nadzieję, że widać to po niej. *Matka czekająca na dziecko. Jaka szczęśliwa!*

Często czekała na Robbiego w kawiarnioksięgarni. Przychodził do niej po zajęciach i jedli tam lekki lunch, ewentualnie w sąsiedniej restauracji, serwującej organiczne potrawy wegetariańskie. Okazało się bowiem, że Robbie nie lubi mięsa, że mięso i niezdrowe jedzenie w rodzaju pizzy szkodzi mu na żołądek.

W szpitalu w New Brunswick przez pewien czas trzeba go było karmić przez rurkę. Potem zaczął jeść sam, ale tylko miękkie pokarmy. Dopiero z czasem odzyskał zdolność trawienia normalnej żywności. Nie tykał jednak mięsa, wydawało mu się wstrętne.

Stopniowo przekonywał się do jogurtów, koktajli owocowych, musli, smażonego tofu, brązowego, dzikiego i jaśminowego ryżu, rozmaitych makaronów. Na deser najbardziej lubił ciasto marchewkowe, piernik, truskawki, koktajl bananowy, mrożony jogurt. Rodzice

zadbali, by poznał kuchnie chińską, tajską, blisko-wschodnią i indyjską, bogate w potrawy wegetariańskie. Dinah namawiała go, by zamiast napojów gazowanych pił znacznie zdrowsze napoje owocowe i na bazie herbaty.

Robbie był świadomy istnienia żywności organicznej. Coraz częściej szukał tego określenia na etykietach.

Rodziców to cieszyło – w każdym razie cieszyło to Dinah. Martwiło ich natomiast, że ich syn zdradza pewną skłonność – może niezbyt rzucającą się w oczy, ale widoczną dla pozostałych domowników – do zachowań kompulsywnych.

Dinah dobrze pamiętała grę w szukanie samochodu. Kazała Robbiemu zapamiętać, gdzie zaparkowali, a potem on bardzo się tym przejmował. Możliwe, że nieumyślnie zaszczerpiła mu w głowie mechanizm, który przyniósł nieoczekiwany rezultat.

Robbie przestał być dzieckiem. Dorósł. Ale to nie znaczy, że nie musimy go chronić.

Dinah oczywiście już nie paliła. Nawet potajemnie.

Ostatniego papierosa – w każdym razie całego papierosa – wypaliła w tamto popołudnie 11 kwietnia 2006 roku.

To był paskudny nałóg. Wstydziła się, że kiedyś paliła w obecności syna.

Mimo problemów z koncentracją i ze snem – rzadko przesypiał w nocy siedem godzin – Robbie ukoń-

czył letni kurs z niezłym wynikiem. Rodzice zapisali go do gimnazjum w Ann Arbor; rozpoczęcie roku szkolnego wypadało w następnny wtorek, tuż po Święcie Pracy.

Matka usilnie namawiała Dinah, by zamiast do Ann Arbor przeprowadzili się do Birmingham, zamieszkali razem z nią w jej pięciopokojowym domu przy Bayberry Drive i posłali Robbiego do tamtejszej szkoły.

– Jesteś to winna swojemu synowi – podkreślała Geraldine – powinnaś go chronić. W Ypsilanti i Ann Arbor wszyscy o was wiedzą. W Birmingham ludzie są dyskretniejsi.

Dinah wąpiła, by na Środkowym Zachodzie albo w ogóle w kraju istniało miejsce, gdzie nikomu nie obito się o uszy nazwisko Whitcomb.

Swego czasu był przecież, anonsowany na okładce, artykuł w magazynie „People”. A stacja CBS w ramach cyklu detektywistycznego „48 godzin” pokazała odcinek zatytułowany *Chester Cash, seryjny gwałcieciel i zabójca*.

W mediach roztrząsano fakt, że przez sześć lat niewoli Robbie prawdopodobnie ani razu nie próbował uciec ani szukać pomocy, mimo że oprawca przetrzymywał go w drewnianej skrzyni, molestował i torturował. Nawet gdy przywiózł do domu innego chłopca, ośmiolatka, tak zwany Gedeon Cash nie zbuntował się.

Dlaczego nikomu nic nie powiedział? Nauczycielom, kolegom? Dlaczego nie poszedł na komisariat w Kittatinny Falls? Dlaczego nie próbował uciec? Przez sześć lat.

To pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Dinah za-
broniła sobie snuć domysły.

Nie rozmawiała też o tym z Whitem.

*Ktoś, kto sam nie doświadczył podobnego piekła, nie jest
w stanie go zrozumieć. I nie ma prawa oceniać.*

W mediach i w sieci pojawiały się złośliwe komenta-
rze. Dinah była tego pewna, choć przestała używać in-
ternetu, chyba że do sprawdzenia prognozy pogody albo
jakiegoś przepisu. Powiedziała Whitowi, że wolałaby na-
łykać się potłuczonego szkła niż wpisać do przeglądarki
„Robbie Whitcomb”.

Whit chronił ją przed niepotrzebną wiedzą i było jej
z tym dobrze.

Geraldine upierała się przy swoim.

– Byłoby dla was najlepiej, gdybyście zaczęli nowe
życie. W nowym miejscu. Whit pracuje w tym radiu
większość dorosłego życia. Powinien sobie znaleźć coś
innego – jakieś pewniejsze zatrudnienie. Takie, które nie
będzie zależało od wyników słuchalności i datków od
słuchaczy.

Przy tym Geraldine dawała niedwuznacznie do zro-
zumienia, że jest gotowa wspomóc Whitcombów finan-
sowo. Dinah czuła się obrażona, choć wiedziała, że jej
matka chce dobrze.

Nie mówiła o tym Whitowi. Wiedziała, jak by zareago-
wał. Jak bardzo byłby urażony i jak mocno by się wściekł.

*Powiedz swojej matce, żeby zostawiła nas w spokoju.
Na zawsze.*

Dinah podziękowała matce za propozycję, ale nie skorzystają.

– Musisz się liczyć z tym, że popełniasz błąd – powiedziała Geraldine. – Zostając w tej części Michigan. – Niewiele zabrakło, żeby powiedziała „zostając z nim”.

– Jakoś to przeżyjemy, mamo. Jeżeli uważasz, że przyносimy ci wstyd, to nic na to nie poradzimy.

– Dinah, przecież ja się was nie wstydzę! Kocham was.

Ale my cię nie kochamy. Nie potrzebujemy cię. Mamy siebie.

Nowa szkoła Robbiego znajdowała się w odległości trzech kilometrów od domu przy Third Street. Dinah zawiozła go tam któregoś razu, zaparkowali samochód i przespacerowali się wokół budynku. Wyczuwała, że jest podekscytowany – chciała wierzyć, że to podekscytowanie, a nie strach czy niepokój.

– Wygląda na bardzo fajną szkołę – zauważyła z entuzjazmem, z jakim często się do niego zwracała, nie oczekując, że cokolwiek odpowie. – Wszyscy mówią, że nauczyciele są świetni.

Była to prawda. Poza tym kadra i pracownicy sekretariatu, których poznała, zapisując Robbiego, zrobili na niej jak najlepsze wrażenie.

Również doktor Kozdoi była dobrego zdania o tej szkole. Choć zaznaczyła, że jest gorliwą zwolenniczką edukacji publicznej.

Uważała też, że Robbie będzie się dobrze czuł wśród dzieci należących do mniejszości etnicznych, bo raczej nie będą się one interesowały sensacyjnymi doniesieniami tabloidów.

Doktor Kozdoi była dla nich coraz bardziej jak członek rodziny. Jej (niewidzialna) obecność miała dobroczynny wpływ. I Dinah, i Whit doceniali cotygodniowe spotkania w gabinecie, ponieważ bardzo często zahaczały one o ich związek; oboje bardzo się starali, ze względu na Robbiego, ale też na siebie, by przedstawić swoją wzajemną relację w jasnych kolorach.

Dinah przyznawała: „Może jestem zbyt gadatliwa. Zbyt entuzjastyczna. Może dla innych to jest męczące”.

Whit przyznawał: „Może jestem zbyt sceptycznie nastawiony do świata. Zbyt pesymistycznie”.

Żadne jednak nie było gotowe przyznać, że nie łączy ich już miłość, tylko co innego. Poczucie winy?

Whit nabierał szacunku do doktor Kozdoi. Zaczął ją nawet nazywać „dobrą babcią” Robbiego.

Wielbiciele „Whita” Whitcomba zauważyli, że po odzyskaniu syna wyraźnie się zmienił. Zgolił brodę, przystrzygł włosy, wyglądał niemalże jak pracownik korporacji.

Dlaczego właściwie? Tego nikt nie wiedział. Nawet Dinah nie wiedziała, że Whit postanowił zgolić brodę, jak tylko zobaczył zdjęcia Chestera Casha zrobione przez policję z New Jersey. Jego zarośniętą twarz, włosy do ramion, całą tę luzacką, hipisowską pozę. Whit był prze-

rażony, że do pewnego stopnia ten gwałcieciel i morderca jest do niego podobny. A największym szokiem było dla niego to, że – o ile się nie mylił – poznał Chestera Casha jesienią 2001 roku, po zamachach z jedenastego września. Zaangażował się wtedy w akcję pomocy potrzebującym w regionie Ann Arbor i Detroit, organizowaną na kampusie uniwersytetu stanowego, i słuchał przemówień kilku lokalnych społeczników, między innymi charyzmatycznego „pastora Casha”, związanego z działającym w centrum Detroit niewielkim afroamerykańskim Kościołem Nieustającej Nadziei. Whitowi nie podobały się jego afektowana skromność i chrystusowa poza, szczeniasty zarost i świdrujący wzrok. Kiedy Whit skończył swoje przemówienie, pastor Cash podszedł uściskać mu dłoń... Na tym wspomnienie się urywało, ginęło w przyprawiającej o dreszcz gęstej białej mgle niepamięci. To było dla Whita zbyt wiele – nie dopuszczał do siebie myśli, że mógł uściskać dłoń szaleńcowi, który później porwał mu syna i trzymał go przez sześć lat w niewoli.

Dinah nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Robbie czuje się pewniej przy niej niż przy ojcu, który bez przerwy się do niego uśmiechał – przynajmniej mięśniami twarzy.

Uśmiech jest natarczywy, pomyślała Dinah. Uśmiech domaga się odpowiedzi.

A Robbiemu odwzajemnienie uśmiechu, uśmiechnięcie się na zawołanie sprawiało wyraźną trudność. Whit powinien subtelniej okazywać synowi miłość.

Dinah po wypadku nabrała wprawy w uśmiechaniu się we właściwy sposób we właściwej chwili. Potrafiła uśmiechać się do nieznanomych uśmiechem, który mówił: tak, wiem, że mam oszpeconą twarz, ale spokojnie, nic mi nie jest. Do Robbiego uśmiechała się rzadziej, bo wiedziała, że go to peszy, jak podsuniecie lustra pod sam nos.

Zależało jej, żeby Robbie wiedział, jak bardzo go kocha i że wtedy, przed sześcioma laty, nie oddała go bez walki. Wobec tego faktu stopień jej kalectwa wydawał się całkiem nieistotny. Widziała, jak syn na nią patrzył, gdy ten temat wypływał podczas terapii. Jego spojrzenie mówiło: „Moja mama prawie zginęła, próbując mnie ratować. Musiała mnie bardzo kochać”.

Łzy zamgłyły jej oczy. Sięgnęła na oślep po chusteczkę z kwadratowego pudełka doktor Kozdoi.

Kiedy ujrzała syna w szpitalu w New Brunswick, nie mogła wyjść ze zdumienia na widok jego chudej twarzy, wąskiej i zapadniętej klatki piersiowej, smutnych oczu i ust. Ale też bardzo wyrósł. Nie był już dzieckiem, lecz chłopcem.

Zrobiło jej się słabo na myśl, że stracili sześć lat jego dzieciństwa. Sześć lat własnej młodości.

Ten człowiek pozbawił ich części duszy. Żadna kara, nawet śmierć, nie mogła im tego wynagrodzić.

– Zaczęłam wierzyć w sens kary śmierci. Myślę, że mogłabym osobiście wstrzyknąć mu truciznę – powiedziała kiedyś Whitowi w przyпыływie gniewu.

– Zabiłbym go gołymi rękoma – przytaknął.

Ale Dinah wiedziała, że takie myślenie prowadzi do nikąd. Doszła do tego wniosku dzięki jodze, treningowi medytacji, wyciszającym spacerom, na które chodziła, gdy Robbie uczył się na letnim kursie.

– Chociaż i tak nigdy nie zdołam mu przebaczyć. Chryste!

Wypowiedziała te słowa na głos. Whit posłał jej pytające spojrzenie, ale nie drążył tematu.

On też często zatracał się we własnych myślach. Były jak konie, które poniosły i ciągnęły go za sobą, nie troszcząc się o jego zdrowie.

Bardzo się cieszymy, że odzyskaliśmy syna.

Tak, to dla nas duży stres. Każdy dzień, każda godzina oczekiwania.

Tylko właściwie – na co?

Czekali, czy mężczyzna znany jako Chester Cash przyzna się do popełnienia zarzucanych mu czynów, czy też z pomocą jakiegoś spragnionego rozgłosu adwokata pro bono będzie próbował dowieść swojej niewinności.

To drugie oznaczałoby proces w stanie Michigan, przed sądem hrabstwa Washtenaw, gdzie doszło do uprowadzenia Robbiego Whitcomba. A także proces w stanie New Jersey, w hrabstwie Lenape, gdzie między rokiem 2006 a 2012 chłopiec był więziony i wielokrotnie molestowany.

Poza tym nie można było wykluczyć innych, osobnych procesów, w których Chester Cash byłby sądzony za morderstwa, porwania i gwałty na nieletnich. Dotychczas w odległości półtora kilometra od domu Casha w Kittatinny Falls odkryto ciała trzech chłopców.

Był jeszcze ośmioletni Kendall McCane, porwany 26 maja 2012 roku z rodzinnego domu w Toms River w stanie New Jersey i znaleziony przez policję stanu Indiana w „zamkniętej skrzyni o rozmiarach trumny” w minivanie Casha. Również za to porwanie mężczyzna musiał stanąć przed sądem.

Dziewięć Myrny Helmerich, nieżyjącej żony Casha, domagały się od władz hrabstwa Mercer w stanie New Jersey ekshumacji zwłok matki, pochowanej na cmentarzu w Grindell Park, dzielnicy mieszkalnej Trenton. Przypuszczały, że została ona zamordowana przez swojego męża, który następnie upozorował naturalny zgon, a wszystko po to, by otrzymać pieniądze z polisy ubezpieczeniowej i odziedziczyć majątek zmarłej.

Podobnej sprawy nie było w New Jersey od dobrych kilkudziesięciu lat. Począwszy od końca maja, największe stacje telewizyjne nieprzerwanie relacjonowały jej przebieg. Sam Cash przebywał w areszcie dla mężczyzn w hrabstwie Lenape, gdzie ze względów bezpieczeństwa obowiązywała segregacja rasowa.

Cash kontaktował się ze światem wyłącznie przez swojego gadatliwego prawnika Cheyenne’a Brady’ego, który regularnie wysyłał do mediów komunikaty, iż

jego klient, pastor Cash, nie popełnił czynów, o które jest oskarżany, a zatem nie może „przyznać się do winy”.

Robbiego znaleźli turyści wędrujący pieszo po odludnych zakątkach gór Kittatinny. Z jego chaotycznych wyjaśnień wynikało, że zgubił się i spędził tam dwa dni i dwie noce. Twierdził, że ktoś go szuka i chce mu zrobić krzywdę. Był wycieńczony, ledwie stał na nogach, mówił nieskładnie. Nie był w stanie iść o własnych siłach, więc turyści wezwali ratowników i przenieśli chłopca do najbliższej drogi.

Trafił na oddział pogotowia w niedalekim Clinton. Stamtąd, w pogarszającym się stanie, do szpitala dziecięcego w New Brunswick, gdzie na pewien czas podłączono go do respiratora i karmiono przez rurkę.

Chłopiec był odwodniony i niedożywiony, stwierdzono u niego anemię i szok nerwowy. Ciśnienie spadło mu do pięćdziesięciu dziewięciu na sześćdziesiąt, miał też mocno przyspieszony puls.

Całe jego ciało, nie wyłączając genitaliów i odbytu, pokrywały ślady ran i uszkodzeń.

Kiedy już wydobrażał na tyle, by móc rozmawiać, próbowano się od niego czegoś dowiedzieć, ale zachowywał się tak, jakby nie wiedział, jak ma na imię ani gdzie mieszka; sprawiał wrażenie dziecka maltretowanego, porzuconego przez rodzica lub rodziców, opóźnionego w rozwoju bądź chorego na schizofrenię. Po kilku dniach powiedział jednak pracownikom opieki społecznej,

że uciekł od człowieka, który więził go w swoim domu przy Saw Mill Road w Kittatinny Falls.

Że ten człowiek jest na niego wściekły i chce go zabić.

Że kazał mu wziąć łopatę i pójść razem z nim w góry – „chyba chciał mnie zakopać obok swoich innych synów”.

Zapytany, czy ten człowiek jest jego ojcem, chłopiec najpierw potwierdził, a po chwili zaprzeczył.

Zapytany, co to za człowiek, odparł po chwili wahania: „Tatulo”.

Tatulo? Ale jak się nazywa?

Chłopiec pokręcił głową.

A gdzie są twoi rodzice?

Oddali go. Nie wiedział, gdzie mieszkają ani kim są. Ten człowiek powiedział mu, że już nie żyją. I że poszli do piekła, Bóg ich pokarał.

Kiedy zdjęcie bezimiennego chłopca pokazały stacje telewizyjne w New Jersey, kilku mieszkańców Kittatinny Falls zadzwoniło na policję z informacją, że to Gedeon Cash, syn Chestera Casha z farmy przy Saw Mill Road.

Wydano nakaz aresztowania. Kiedy policja stanowa dotarła na farmę, nikogo tam nie zastała. Nie było też samochodu, a wewnątrz domu wyglądało, jakby opuszczono je w pośpiechu.

Korzystając z rejestru zaginionych dzieci, wytypowano Robbiego Whitcomba, pięcioletka porwanego z cen-

trum Libertyville w Ypsilanti w kwietniu 2006 roku. Zadzwoniono do jego rodziców, którzy nadal mieszkali w Ypsilanti i nie zmienili numeru telefonu.

Chestera Casha ujęto po kilku dniach, o drugiej nad ranem na autostradzie międzystanowej I-70 w pobliżu Terre Haute w Indianie. Tamtejsi policjanci zauważyli minivana marki Chrysler, który pasował do opisu poszukiwanego pojazdu i który jechał zygzakiem, jak gdyby kierowca przysypiał za kierownicą. Zmuszony do zjechania na pobocze, Chester Cash wytoczył się z samochodu i próbował uciekać, ale został schwytany, rzucony na ziemię i skuty kajdankami.

Ku swojemu wielkiemu zdumieniu policjanci odkryli wewnątrz minivana zaryglowaną drewnianą skrzynię podobną do trumny, a w niej półprzytomnego małego chłopca, poważnie odwodnionego; przewieziono go na pogotowie i wkrótce ustalono, że to ośmioletni Kendall McCane z Toms River w New Jersey, uprowadzony kilka dni wcześniej z podwórka swojego domu.

Media z upodobaniem podkreślały zdumienie i przerażenie policjantów na widok chłopczyka uwięzionego w „skrzyni przypominającej trumnę”: „scena jak z filmu grozy, tylko straszniejsza, bo prawdziwa”.

Mieszkańcy Kittatinny Falls, którzy znali Chestera Casha i jego syna Gedeona, opowiadali policji, że Chet Cash wydawał się „normalnym facetem”. Twierdził, że matka chłopca zmarła i że przeprowadzili się do New Jersey z Maine, a może z Michigan. Cash lubił

towarzystwo innych ojców, na przykład na meczach softballu, na grillach, w kościele. Będąc z synem, rzadko spuszczał go z oka. Nie pozwalał mu jeździć do szkoły autobusem ani odwiedzać kolegów w ich domach. Inna sprawa, że w ostatnich miesiącach chłopiec często jeździł sam rowerem po mieście i okolicy. Według małżeństwa McIntyre'ów, którzy mieszkali po sąsiedzku, dziecko było przez ojca zaniedbywane.

Wszyscy byli wstrząśnięci odkryciem, że farma przy Saw Mill Road była więzieniem dla dwóch chłopców.

Po nieudanej ucieczce przed policjantami w Indianie i ekstradycji do New Jersey Chester Cash nie chciał rozmawiać z policją. Oznajmił, że korzysta z przysługującego mu prawa do milczenia.

Adwokat Cheyenne Brady, chętnie udzielający wywiadów wiecznie nienasyconym dziennikarzom całodobowych kanałów informacyjnych, twierdził, że Chet Cash jest „gorliwym pastorem i sługą bożym”, który ratował chłopców krzywdzonych przez rodziców. Małego Robbiego Whitcomba „uratował od złej matki”, za co chłopiec „był mu wdzięczny”. Taka też była jego oficjalna linia obrony: „Mój klient zdaje sobie sprawę, że wykroczył poza granice prawa świeckiego w imię wyższego prawa moralnego. Pastor Cash nie jest winny porwania i reszty stawianych mu zarzutów, ponieważ nie pogwałcił wyższego prawa”.

Whitcombowie obawiali się koszmarnego scenariusza, w którym Cash będzie dalej upierał się przy swojej

niewinności i stanie przed sądem. Wówczas ich wrażliwy syn będzie musiał zeznawać przeciwko swojemu oprawcy, człowiekowi, który przez sześć lat więził go i dręczył.

Będzie musiał cofnąć się do tych strasznych dni.

– Bóg chyba do tego nie dopuści. Zwrócił nam Robbiego, nie będzie zadawał jemu i nam kolejnych cierpień.

Tak mówiła Dinah, co bardzo drażniło jej męża.

– Gdybym tak mógł go zabić gołymi rękoma. To dopiero byłby wspaniałomyślny gest Boga.

Tak mówił Whit, na przemian zaciskając i rozkurczając pięści.

Według cyfrowego zegarka Whita dochodziło dwadzieścia po dwunastej. Robbie wciąż nie pojawiał się na schodach ani za balustradą drugiego piętra, skąd mógłby pomachać stojącym w atrium rodzicom.

– Może jednak zajrzysz do łazienki? Albo do gabinetu doktor Kozdoi...

– Nie siedziałyby u niej tak długo. A gdyby się zasiedział, zadzwoniłaby do nas.

Po tych rodzinnych sesjach terapeutycznych mieli w zwyczaju jadać razem lunch w którejś z pobliskich restauracji. Na ogół Dinah i Whit rozprawiali wtedy o różnych rzeczach, a Robbie siedział w milczeniu ze spuszczoneym wzrokiem. Oni wychodzili z gabinetu ożywieni, a nawet w nastroju euforii; on po terapii był jeszcze mniej rozmowny niż zwykle.

O czym on myśli? Może rozpamiętuje?

Tylko co?

Whit wjechał windą na drugie piętro i zajrzał do męskiej toalety. Potem sprawdził pierwsze piętro i parter.

Raz, przed kilkoma tygodniami, kiedy Robbie długo nie schodził na dół po spotkaniu z terapeutką, Whit poszedł go szukać i znalazł w toalecie na drugim piętrze.

A właściwie wszedł do niej i usłyszał stłumione, żałosne odgłosy, coś jak szlochanie, dobiegające z jednej z kabin.

Usłyszał też odgłosy fizycznego cierpienia. Bólu brzucha, biegunki. Jego syn męczył się na sedesie i z pewnością wolał to robić bez świadków. Dlatego Whit wycofał się bez słowa, wrócił na dół do atrium i tam czekał z Dinah, aż chłopiec do nich zejdzie.

Powiedział Dinah, że Robbie jest w ubikacji, ale to nic poważnego i niedługo przyjdzie.

Tak też się stało. Kiedy Robbie zszedł na dół, powoli, trochę jak lunatyk, blady i sztywny, zdawało się przez chwilę, że nie poznaje rodziców. Wreszcie uniósł dłoni w chłopięcym pozdrowieniu.

Cześć, mamó. Cześć, tato.

Jego głos brzmiał cicho, płasko, mechanicznie. Unikał ich oczu.

Zagryzając wargę, Dinah podeszła do Robbiego i przytuliła go bez słowa.

Mamó, nic mi nie jest.

Jego dłonie pachniały mydłem. Umył je bardzo dokładnie.

Innym razem Whit zastał Robbiego na drugim piętrze, ale nie w toalecie. Siedział w rogu na końcu korytarza, z głową opuszczoną na kolana, ze schowaną twarzą, jak gdyby spał albo był bardzo zmęczony. Kiedy Whit zbliżył się ostrożnie, Robbie wzdrygnął się, jakby wyczuwając czyjąś obecność, ale nie podniósł głowy, a gdy Whit ukucnął przy nim, żeby go zagadnąć i przytulić, zareagował dopiero po kilku sekundach.

Cześć, tato. Nic mi nie jest.

Teraz Whit jechał windą na drugie piętro, a Dinah przeszła korytarzem z atrium do holu wejściowego. W budynku, mającym dopiero kilka lat, wykonanym z przyciemnianego szkła i aluminium, mieściły się biura, gabinety medyczne i apartamenty. W ten wrześniowy poranek w środku tygodnia przez hol przewijało się wielu gości, w tym osoby na wózkach inwalidzkich; była wśród nich młodsza od Dinah kobieta ze skrzywionym kręgosłupem, o bladym, przyklejonym do twarzy uśmiechu, w towarzystwie mężczyzny, który mógł być bratem lub mężem. Dinah uśmiechnęła się do niej sztucznie, ale spojrzenie nieznanym nie zatrzymało się na niej ani na moment.

Dinah wyszła z budynku przez obrotowe drzwi. Na dworze panował upał, nieznośny zwłaszcza przez kontrast z klimatyzowanym wnętrzem. Ale choć do jej płuc wdzierało się ciepłe powietrze, Dinah zadrżała.

Jestem taka szczęśliwa. Bóg nas pobłogosławił.

W zasadzie nie była wierząca. Do kościoła chodziła sporadycznie. Ale jeśli istniał jakiś Bóg, to według wszelkich oznak w końcu się nad nią zlitował.

Zlitował się nad nią i nad Whitem, zwracając im syna.

Ich syna. Ich Robbiego.

W więzieniach i aresztach dzieciobójcy pokroju Chestera Casha często ginęli z rąk współwięźniów. Podrzynano im gardła pod prysznicem. Chester Cash mógł nie dożyć procesu. Boska sprawiedliwość mogła zwyciężyć.

Tatulo – tak mówił o nim ich syn. Użył tego słowa w zarejestrowanej kamerą rozmowie z policjantami. Dinah nie widziała tego nagrania, ale Whit jej opowiedział.

Tatulo! Modliła się, żeby miłosierny Bóg wymierzył sprawiedliwość.

Szła chodnikiem, nie pamiętając, co robi, gdzie jest ani kogo szuka. Ocknęła się dopiero na tyłach budynku, w prażącym słońcu. Nie mogła uczciwie powiedzieć, że jest zdrowa. Tak naprawdę, w duszy, była bardzo chora. Człowiek, który nazwał się Tatulem, chyba to wyczuł.

Po lewej ręce miała parking, po prawej kawiarnię z ogródkiem, przez którą można było wejść z powrotem do atrium. Postanowiła wrócić do środka i spotkać się z Whitem i Robbiem. Nie śpieszyło jej się, nie chciała być tam pierwsza, żeby się nie denerwować.

Lawirując między stolikami, ściągając spojrzenia, które zatrzymywały się na jej twarzy o sekundę dłużej, niż powinny (czy z tą kobietą jest coś nie tak?), Dinah spostrzegła – chyba że tylko jej się zdawało – nie, widziała go wyraźnie – chłopca przypominającego Robbiego, siedzącego w cieniu na murku. Parę kroków obok, przy jednym z okrągłych żeliwnych stolików, siedział mężczyzna. Dinah w pierwszym odruchu pomyślała, że może to Whit, ale to nie był on. Mężczyzna siedział okrakiem na krześle, zwrócony twarzą do chłopca, jakby z nim rozmawiał. Miał na sobie szorty khaki oraz podkoszulek bez rękawów odsłaniający bicepsy i umięśnione barki. Nogi muskularne i mocno owłosione, z klapkami na stopach. Na oko czterdziestolatek, sympatyczna, opalona twarz, lekki zarost, zawadiacko przekrzywiona czapka baseballowa z logo Detroit Tigers.

Serce Dinah zamarło.

Nieznajomy uśmiechał się i zagadywał Robbiego. Prawdopodobnie o coś go pytał. Nie wyglądał groźnie. Robbie zapewne go słuchał, choć patrzył w inną stronę. Siedział zgarbiony nad papierowym talerzykiem i łapczywie coś zajadał.

Czyżby nieznajomy kupił mu jedzenie? Poczęstował go swoim?

Wyciągnął w stronę chłopca plastikową butelkę z wodą. Robbie potrząsnął głową, krótko i szybko, jak miał w zwyczaju, Dinah dobrze знаła ten gest.

Podeszła na miękkich nogach, modląc się w duchu: Boże, nie pozwól, żeby moje kolano zawiodło mnie w tej chwili.

Robbie zobaczył ją i podniósł wzrok. Jadł hamburgera, a może cheeseburgera. Miał brudne usta i plamę keczupu na brodzie, którą szybko wytarł wierzchem dłoni.

Mężczyzna w czapce baseballowej po cichu wstał od stolika i opuścił kawiarnię, nie oglądając się za siebie.

Robbie odezwał się swoim matowym głosem, wycierając usta zmiętą serwetką, mrużąc oczy w uśmiechu:

– Cześć, mammo.